Nr. 271 Poniedziałek, 21 listopada 1932 Rok 122

GAZETA LWOWSKA

wychodzi codziennie rano

Ceny prenumeraty we Lwowie:
bez doręczenia do domu miesięcznie zł. 5·—
z dostawą do domu . . . . zł. 5·30
na prowincji:
z przesyłką pocztową . . . . . . zł. 5·30
za granicą . . . . zł. 8·—

Telefony: REDAKCJI 27, 71-02. ADMINISTRACJI 21-17.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: LWÓW, UL. ZIMOROWICZA 15 L p.

Listy należy frankować. — Reklamacje otwarte wolne od opłaty. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

CENA NUMERU 20 gr.

ROKOWANIA Z PRZESZKODAMI

Wszystko zdawało się zapowiadać, że stosunki polsko - gdańskie weszły w fazę pojednawczą. W październiku roku bieżącego rozpoczął prywatne rozmowy prezydent senatu gdańskiego dr. Ziehm z członkami delegacji polskiej w Genewie a rozmowy te miały doprowadzić do uzgodnienia poglądu czynników polskich i gdańskich na sposób likwidacji przywilejów Gdańska, specjalnie w kwestji obrotu uszlachetniającego i kontyngentów, któreto przywileje zostały Gdańskowi czasowo przyznane w tzw. umowie warszawskiej z dnia 24 października 1921 roku, obecnie zaś stanowią poważną przeszkodę w rozwoju polskiego obrotu towarowego wewnątrz polskiego terytorjum celnego, co oczywiście odbija się także ujemnie na handlu gdańskim.

W dniu 1 listopada rozpoczęły się wreszcie w tych sprawach oficjalne rokowania polsko-gdańskie w Warszawie. Rząd polski świadomie wyznaczył na miejsce rokowań Warszawę, aby zdala od miejscowych gdańskich nastrojów, w atmosferze objektywnej życzliwości można rozpatrzeć sprawę i znaleźć rozwiązanie poszczególnych zagadnień.

Niestety, od początku rokowań okazało się, że delegacja gdańska odbiega od rozmów genewskich. Trudności piętrzyły się na każdym kroku, piętrzyła je delegacja gdańska i wkońcu dojść musiało do przerwania rokowań.

Bez względu na to, czy rokowania te podjęte zostaną z powrotem w czasie bliższym czy późniejszym, stwierdzić należy, że bezpośrednim powodem ich onegdajszej przerwy stała się zasadnicza różnica zdań między delegacją gdańską a Rządem polskim co do sprawy przyznania Gdańskowi specjalnych kontyngentów przywozowych. W Genewie pan Ziehm porozumiał się z delegacją polską co do tego, że obie strony dążyć będą do stopniowego znoszenia tych kontyngentów i zastąpienia ich ogólnemi przepisami celnemi. Tymczasem delegacja gdańska nietylko zażądała utrzymania i powiększenia kontyngentów dla obszaru celnego Wolnego Miasta Gdańska, ale ponadto przyznania Gdańskowi przez Rząd polski gwarancyj, że i na przyszłość kontyngenty takie będą Gdańskowi udzielane w miarę potrzeby. Żądanie to przekreśliło odrazu zasady porozumienia osiągnięte w Genewie i zniweczyło możliwość osiągnięcia szybkiego i pozytywnego zakończenia rokowań. Również sprawa biernego obrotu uszlachetniającego nasuwała duże trudności, gdyż delegaci gdańscy nie chcieli żadną miarą zgodzić się na najsłuszniejsze polskie żądanie, aby przyrost wartości towarów, pochodzących z tego obrotu wynosił na polskiem terytorjum celnem 50 procent.

Popełnił Gdańsk w tym wypadku jeszcze jedno z długiej serji swych pobładzeń, dokonanych w stosunkach z Polską. Pierwszym jego błędem zasadniczym, który zaciążył na całych minionych losach Gdańska, była jego ongiś niewiara w trwałość odrodzonego Państwa, z którem Wolne Miasto połączył traktat wersalski. Konsekwencją tego pobładzenia było uczynienie ze strony Gdańska wszystkiego, co było możliwe by w owych ciężkich dla nas dniach lata 1920 roku amunicja angielska nie przedostała się do radzymińskich okopów. Nastały potem czasy codziennych bróżdżeń o rzeczy wielkie i małe, żywotne i prestiżowe. Te bróżdżenia stworzyły baseny portowe i betonowe łamacze fal u progów gdyńskiego portu.

Ale przyszedł czas, gdy wreszcie Gdańszczanin, ten prawdziwy, nie importowany, uwierzył bo uwierzyć już teraz musiał w trwałość „Saisonstaatu". I przyznać trzeba, że radby on teraz wyciągnął ku nam chętną do współpracy rękę. Ale tu ma do przezwyciężenia ciężką przeszkodę. Bo ów prawdziwy Gdańszczanin nie jest czynnikiem decydującym w swem mieście. Są nim „bronzowe koszule", których na terytorjum gdańskiem ma być coś około 15.000. Są tym czynnikiem decydującym wysocy urzędnicy gdańscy, powoływani z poza Gdańska a nabywający prawo obywatelstwa przez sam fakt objęcia urzędu. Jednym z nich był pierwszy prezydent senatu gdańskiego dr. Sahm, obecny nadburmistrz Berlina.

Wiadomość o przerwaniu rokowań wywołała w poważnych kołach gdańskich deprymujące wrażenie. Wysoki Komisarz Ligi Narodów zainicjował już wczoraj próbę dalszych rozmów i rozmowy te nawet zostały podjęte przez Komisarza Generalnego Rzeczypospolitej w Gdańsku dr. Pappee oraz prezydenta senatu gdańskiego dra Ziehma. Oczywiście stanowisko Rządu polskiego w tych dalszych rokowaniach zależeć będzie od tego, by prawne podstawy rokowań, przyjęte raz w rozmowach genewskich były wreszcie ustalone i aby nie powracać w dyskusji do martwych punktów wobec których Gdańszczanie z taką zmiennością poglądów stają na stanowiskach nieustępliwych. Wszelkie ugodowe porozumienie musi być oparte na dobrej woli i skłonności do kompromisowego załatwienia sprawy. Natomiast w rokowaniach dotychczasowych zaznaczyła się tego rodzaju nieustępliwość ze strony delegacji gdańskiej, iż próby porozumienia stały się iluzorycznemi.

Wierzymy, że dalsze rokowania przyniosą jednak pewne rezultaty. Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że z rokowań dotychczasowych wynika, że czynniki urzędowe gdańskie nie rozumiały potrzeb gospodarczych swej własnej ludności. Jest niewątpliwem, iż to antygospodarcze nastawienie Gdańska jest wynikiem stuletniej polityki władz pruskich, która usidliła Gdańsk węzłami ciasnej, dziś już zupełnie nieaktualnej polityki.

Nasze stanowisko wobec Gdańska jest niezmienne: historja włożyła na nas misję w stosunku do Gdańska. Nie leży w tradycjach Narodu polskiego dybać na cudzą narodowość, wiarę i kulturę. To też po prawa Gdańska w tej dziedzinie nikt w Polsce ręki nie wyciąga i wyciągać nie myśli. Cudzej krzywdy nie chcemy, ale do swojej nie dopuścimy. Pamiętać musimy o tem, czem ma być według traktatu pokojowego Gdańsk dla Polski i spaczyć tej jego właściwej roli ani właściwego stosunku do Rzeczypospolitej nie pozwolimy. Ułożyć się z Gdańskiem gotowi jesteśmy każdej chwili, ale wyzyskać się nie damy. „Wolne miasto może być jednym z konarów na drzewie gospodarstw Rzeczypospolitej, nie może być jednak jemiołą, wysysającą z tego drzewa soki" — jak to powiedział przed kilku dniami z okazji obchodu święta wskrzeszenia Państwa Polskiego Komisarz generalny Rzeczypospolitej p. dr. Pappee.

—o—

Japoński plan rozbrojeniowy

(Telefonem od naszego korespondenta).

Warszawa, 19 listopada. (G) Z Londynu donoszą: „Daily Mail" informuje, że Japończycy na konferencji rozbrojeniowej przedłożą w przyszłym tygodniu daleko idące propozycje, tyczące się ograniczenia zbrojeń morskich. Plan ten ma zapewnić trwały pokój na Oceanie Spokojnym.

Ten krok Japonji wespół z porozumieniem francusko-włoskiem w dziedzinie zbrojeń morskich wywrzeć może rozstrzygający wpływ na powodzenie prac konferencji rozbrojeniowej.

Z Genewy donoszą, że dowódca partyzantów chińskich przesłał depeszę do Ligi Narodów, protestując przeciw metodom walk, stosowanym przez wojska japońskie w Mandżurji.

Powstanie przeciw królowi Hedżasu.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G) Z Kairu donoszą, że, według otrzymanych tam doniesień z Arabji, wybuchło powstanie przeciw królowi Hedżasu i Nedżedu — Ibn Saudowi. Rząd Hedżasu twierdzi, że ruch powstańczy jest bez znaczenia. Wiadomości jednak z innych źródeł mówią o poważnem powstaniu, które przybiera groźny charakter.

Nowa przysięga faszystów.

Charakterystyczne zmiany w statucie partji.

Rzym, 19 listopada. Opublikowanie nowego statutu partji faszystowskiej dało okazję do komentarzy na temat wprowadzonych zmian. Jedną z najciekawszych jest modyfikacja formuły przysięgi, w której każdy faszysta obowiązuje się do słuchania rozkazów il Duce bez dyskusji. Obecnie dodatek ten został zniesiony.

Nowy statut nakłada przeciwnie na sekretarza generalnego partji obowiązek zwoływania co roku ogólnych zebrań dyskusyjnych.

Nowy statut przynosi silne zaakcentowanie hierarchji i dyscypliny, wraz z wzmocnieniem kontroli góry do dołu w zakresie utrzymania charakteru milicji cywilnej na służbie Duce i państwa faszystowskiego. (PAT)

Min. Beck w drodze do Genewy.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (Sch.) Dziś o godz. 12'30 w południe p. Min. Beck w towarzystwie szefa gabinetu M. S. Z. Dębickiego i sekretarza osobistego p. Frydrycha wyjechał do Genewy na sesję Rady Ligi Narodów, rozpoczynającą się 21 bm. P. Min. Beck przybędzie do Genewy w niedzielę wieczorem.

W Berlinie spotka się p. Min. Beck z Wicemin. Szembekiem, z którym odbędzie dalszą podróż do Genewy.

Na dworcu żegnali odjeżdżającego Ministra ambasador francuski p. Laroche, radca ambasady włoskiej p. Petrucci, podsekretarz stanu p. Tadeusz Lechnicki, minister Schaetzel, dyr. Lipski, r. Sokołowski oraz przedstawiciele prasy.

Apel ochotników włoskich do ministra Becka.

Rzym, 19 listopada. „La Volonta d'Italia", organ związku ochotników włoskich zamieszcza fotografię Ministra Spraw Zagranicznych Becka, drukując jego deklarację, w sprawie kontynuowania dotychczasowej polityki zagranicznej Polski.

Pismo podkreśla, że ochotnicy włoscy, którzy mają zaszczyt osobiście znać min. Becka, oczekują od niego zintensyfikowania stosunków polsko-włoskich. (PAT)

—o—

Orzeczenie sądu klubowego BBWR w sprawie senatora M. Wyrostka.

(Telefonem od naszego korespondenta).

Warszawa. 19 listopada. (Sch.) Dziś ogłoszone zostało orzeczenie sądu klubowego BBWR. w sprawie zarzutów przeciw sen. Michałowi Wyrostkowi.

W skład sadu wchodzili: przewodniczący sen. A. Dobiecki i członkowie sen. J. Sypniewski. pos. Wł. Starzak i pos. Zb. Madejski. Sąd po ustaleniu, że przedmiotem postępowania sądowego są zarzuty stawiane w prasie opozycyjnej sen. M. Wyrostkowi, jakoby będąc adwokatem, równocześnie i senatorem Rzplitej, reprezentował interesy księcia Pszczyńskiego wobec Skarbu Państwa ze szkodą dla interesów Państwa i w zamiarze ciągnięcia osobistych korzyści, oraz. że występując jako senator. czynił nacisk na Rząd w interesie ks. Pszczyńskiego ze szkoda dla interesów skarbu. wyzyskując swe stanowisko senatorskie, rozpatrzył sprawę, która wszczęta zostala na podstawie regulaminu klubu BBWR. przez prezesa tego Klubu z inicjatywy sen. Wyrostka.

Sąd odbył dwa posiedzenia, na których zbadał całokształt sprawy, przesłuchał świadków i rzeczoznawcę, oraz zapoznał się ze złożonemi dokumentami.

Po przytoczeniu obszernych motywów. sąd orzekł. że sen. Wyrostek nie nadużył swego stanowiska senatorskiego i nie popełnił nic, coby ze stanowiska senatora i obywatela było niegodne. Orzeczenie powzięte zostało jednomyślnie.

DZISIEJSZE UROCZYSTOŚCI KU CZCI ŚW. ALBERTA WIELKIEGO

Lwów, 20 listopada.

O godz. 7: Uroczysta Prymarja; godz. 8: Msza św. Stowarzyszeń; godz. 8.30: Msza św. Trzeciego Zakonu Św. O. Dominika; godz. 10.30: Uroczystą Sumę celebrować będzie ks. Metropolita dr. Twardowski, kazanie wygłosi ks. dr. Bombas; godz. 3'30 Uroczyste Nieszpory odprawi ks. Metroppolita dr. Twardowski, kazanie: P. O. Superior OO. Jezuitów Kaluża; po kazaniu uroczysta procesja po krużgankach klasztornych.

Wieczorem dnia 20 b. m. o godz. 6 w auli Uniwersytetu J. K. Uroczysta Akademja. Wstęp na Akademję za zaproszeniami.

Intensywna akcja zniżania cen.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G) W Ministerstwie Przemysłu i Handlu trwają — jak już donosiliśmy — intensywne prace w kierunku uzyskania obniżki cen artykułów przemysłu skartelizowanego.

Wchodzą tu w grę zarówno artykuły, których ceny nie uległy zniżce wogóle, jak artykuły. których ceny uległy zniżce, ale w wysokości niedostatecznej.

Akcja zniżkowa w pierwszym rzędzie obejmuje wobec rozpoczynającego się z wiosną nowego sezonu budowlanego takie artykuły, jak żelazo, cement i wapno. Ponadto chodzi o zniżkę cen węgla.

Warszawa, 19 listopada. (Sch) Dnia 29 b. m. odbędzie się posiedzenie Rady Centropapieru, na którem m. in. omawiana będzie sprawa możliwości zniżenia cen niektórych gatunków papieru, a zwłaszcza papieru pakowego.

Roztrwonił kilkaset tysięcy złotych.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G) Lekarz warsz. dr. Tadeusz Stefanowski stał się bohaterem afery. która w kołach lekarskich wywołała duże poruszenie. Dr. Stefanowski spec. roentgenolog. pracował jako lekarz Kasy Chorych, pozatem prowadził pod swojem nazwiskiem zakład roentgenologiczny i miał szeroką praktykę prywatna.

Od pewnego czasu do Kasy Chorych poczęły zgłaszać się rozmaite osoby z żądaniem zwrotu pewnych sum, pożyczonych przez dr. Stefanowskiego. Pretensje zgłaszali chory, lekarze i osoby trzecie.

Rozpoczęto dochodzenia. Tymczasem rodzina dr. Stefanowskiego złożyła w sądzie wniosek o ubezwłasnowolnienie lekarza, twierdząc, że jest on umysłowo chory i nie odpowiada za swe czyny. W ciągu ostatnich dwóch lat zdążył zmarnotrawić kilkaset tysięcy złotych. Władze odbiora prawdopodobnie dr. Stefanowskiemu prawo praktyki lekarskiej do chwili zakończenia jego procesu.

Nowy gmach Collegium pharmaceuticum.

Lwów, 20 listopada.

Uniwersytet lwowski zyskał nową, pożyteczną i piękna placówkę, której uroczyste otwarcie odbyło się wczoraj w południe: „Collegium pharmaceuticum" przy ul. Piekarskiej 52.

Studjum farmaceutyczne reaktywowane zostało obecnie przez Ministerstwo W. R. i O. P., a nowy budynek na jego użytek wzniesiono staraniem specjalnego komitetu z inicjatywy profesora Parnasa przy udziale Izby aptekarskiej.

W sali wydz. lekarskiego przy ul. Piekarskiej odbyła się uroczystość inauguracji nowego zakładu przy udziale przedstawicieli władz. sfer naukowych i świata aptekarskiego. Do obecnych przemówił dziekan wydziału lek. U. J. K. prof. dr. Koskowski, następnie wygłosili przemówienia prez. Izby aptek. Ehrbar, im. Tow. aptek. dr. Poratyński, w zast. p. wojewody dr. Majewski, obejmując w posiadanie gmach imieniem Rządu, dalej zabrał głos nacz. wydz. szk. wyż. Min. W. R. i O. P. Stypiński, rektor ks. dr. Gerstmann, prez. Drojanowski im. miasta, dziekan prof. Parnas, prof. Estreicher im. Uniw. Jag., apt. Müller im. Pol. Tow. farmaceut., imieniem Gremium aptekarzy krak. p. Dawid, mgr. Welman im. Zw. zaw. prac. farmac.

Udano się do gmachu Collegium, zbudowanego według projektów arch. Awina i Rotha. Poświęcił budynek ks. biskup Lisowski, poczem podejmowano gości śniadaniem.

Co oświadczył p. minister skarbu delegacji urzędników skarbowych.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (Sch.) Minister Skarbu prof. Zawadzki przyjął delegację Stowarzyszenia Urzędników Skarbowych, która przedstawiła mu aktualne bolączki urzędników tej dziedziny życia państwowego, a w szczególności sprawy: zakazu przyjmowania nowych pracowników. wstrzymywania awansów i mianowań na stałe, powiększenia funduszu remuneracyjnego, dodatkowych wynagrodzeń dla urzędników celnych itd.

P. Minister wysłuchał z zainteresowaniem wywodów delegacji i oświadczył, że do większości postulatów odnosi się z życzliwością. O znaczniejszem powiększeniu kadr urzędniczych trudno jest jednakże mówić, ze względu na sytuację budżetową Państwa oraz ze względu na zbyt liczną administrację. Zapewnienie urzędnikom skarbowym normalnych warunków pracy zamierza p. Minister osiągnąć drogą uproszczenia przepisów. P. Minister obiecał realizację innych postulatów w miarę możliwości finansowych i prawnych.

Zagadkowa sprawa.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa. 19 listopada. (G) Z Zakopanego donoszą o zagadkowej aferze w pensjonacie „Ostoja".

Do miszkającej tam p. Makijewskiej przybyła z Nicei córka jej Zofja. Do późnej nocy obie panie rozmawiały w sypialni. Gdy p. Zofja Makijewska wróciła do swego pokoju, zauważyła, że z walizy jej skradziono antyczny drogocenny zegarek, 200 zł. i 1.300 fr. Istnieją przypuszczenia, że p. Makijewska padła ofiarą międzynarodowych złodzieji kolejowych, którzy śledzili ją w czasie podróży i ostatniej nocy dokonali kradzieży.

Afera walutowa żony urzędnika poselstwa polskiego we Wiedniu.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa. 19 listopada. (Sch.) Dzisiejsze dzienniki wiedeńskie donoszą, że w Gmünd na granicy austrjacko-czechosłowackiej przeprowadzono przed dwoma dniami rewizję osobistą u żony referenta prasowego poselstwa polskiego w Wiedniu dr. Edmunda Parnesa.

U p. Parnesowej znaleziono 195.000 szyl., ukrytych, oraz inne waluty zagraniczne. Zaznaczyć należy, że p. Parnesowa posiadała paszport zwykły, a nie dyplomatyczny. Pieniądze skonfiskowano, a raport przesłano do Urzędu kanclerskiego w Wiedniu.

Dr. Parnes zwrócił się do posła polskiego w Wiedniu p. Łukasiewicza z prośbą o wszczęcie przeciw sobie dochodzeń dyscyplinarnych. P. min. Łukasiewicz zawiesił w urzędowaniu dr. Parnesa, a akta jego sprawy przesłał do centrali M. S. Z. w Warszawie.

POLACY W KONGRESACH STANOWYCH U. S. A.

Nowy Jork, 19 listopada. W obecnych wyborach Polacy zdobyli niebywały dotąd sukces.

Oprócz pięciu kongresmanów, Polacy otrzymali również liczne mandaty do stanowych kongresów w stanach Michigan, illinois, Detroit. Skarbnikiem w Detroit został Polak Sumeradzki, zaś lekarzem dr. Knobloch. (PAT)

Przed procesem E. Bodo.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G) Proces aktora Eugenjusza Bodo-Junoda w związku z katastrofą pod Łowiczem — (zginął w niej, jak wiadomo, aktor Jerzy Roland Konopka) — odbędzie się dnia 7 grudnia b. r. Na rozprawie rozpatrywane będzie odwołanie prokuratora oraz apelacja obrony od wyroku I-ej instancji. Bodo w I-ej instancji skazany został na 6 miesięcy więzienia z zawieszeniem kary.

Obławy na stada wilków.

Wilno, 19 listopada. W północno-wschodniej części województwa nowogrodzkiego pojawiły się całe stada wilków, które wyrządzają duże szkody. W zaścianku Tułowicze w pobliżu Iwieńca wilki porwały kilkanaście sztuk bydła i kilka koni. Wobec znacznej ilości wilków, grasujących na terenie powiatu Wołożyńskiego, urządzono ostatnio kilka obław, w czasie których zastrzelono 12 sztuk. (PAT)

ś. † p.

Dr. JAN HOŁUB

inż. radca Okręgowego Urzędu Górniczego w Drohobyczu zmarł nagle dnia 17 listopada 193. r. Pogrzeb odbył się w dniu 19 listopada b. r. w Drohobyczu.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się dnia 22 listopada b. r. o godz. 8'30 rano w kościele parafialnym w Drohobyczu, o czem zawiadamiają w smutku pogrążeni

3107 **Żona, Syn i Rodzina.**

Pożar 3-piętrowego młyna.

Łódź, 19 listopada. Wczoraj wieczorem spłonął trzypiętrowy młyn parowy przy ul. Jakóba.

Straty według prowizorycznych obliczeń sięgają 750.000 zł. Przyczyna pożaru dotychczas nie została ustalona.

Niezwykły wypadek.

Waszyngton, 19 listopada. W czasie kampanji wyborczej zaginął pułkownik Robins, osobisty przyjaciel prez. Hoovera, który w czasie akcji wyborczej odegrał wybitną rolę. Z początku przypuszczano, że Robins porwany został przez butlegerów i rzucony do morza.

Obecnie odnaleziono go w pewnej zapadłej miejscowości Karoliny północnej, gdzie błąkał się od dłuższego czasu. Lekarze stwierdzili, że Robins cierpi na zanik pamięci. (PAT)

—o—

Hitler -- von Schleicher -- Gessler.

Kto stanie na czele rządu Rzeszy?

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G) Z Berlina donoszą: W Berlinie krąży pogłoska, że Hitler podczas konferencji z gen. von Schleicherem zgodził się na objęcie stanowiska kanclerza przez gen. Schleichera.

Hitler u Hindenburga.

Berlin, 19 listopada. **Dziś o godzinie 11.30 prezydent Hindenburg przyjął na przeszło półtoragodzinnej audjencji Hitlera. Rozmowa miała początkowo charakter poufny i odbywała się w cztery oczy między Hindenburgiem a Hitlerem.** Dopiero potem zaproszony został sekretarz stanu Meissner.

Komunikat oficjalny donosi, że **rokowania kontynuowane będą w ciągu najbliższych dni.**

Z kół narodowo-socjalistycznych donoszą, że **Hitler zażądać miał oddania sobie teki kanclerza.**

Wiadomość o przyjęciu Hitlera przez Hindenburga zelektryzowała tłumy zwolenników Hitlera, które od wczesnych godzin rannych gromadziły się przed gmachem na Wilhelmstrasse. Opuszczającego gmach Hitlera tłumy powitały owacyjnemi okrzykami, odprowadzając jego samochód do hotelu.

Możliwość koalicji centrum z hitlerowcami.

Prasa donosi, że zbliżenie między centrum i narodowymi socjalistami po stąpiło tak znacznie naprzód, że mówi się o podjęciu wkrótce wspólnej akcji dla uregulowania sytuacji w Prusach i wyboru nowego premjera w ciągu najbliższego posiedzenia sejmu pruskiego.

Wedle informacji prasy, po przyjęciu Hitlera przez Hindenburga **nawiązane zostaną bezpośrednie rokowania między centrum a narodowymi socjalistami.** (PAT)

Gdyby Gessler został kanclerzem

Berlin, 19 listopada. Wymieniany obecnie jako kandydat na stanowisko kanclerza Rzeszy b. minister Gessler ogłosił w „Börsen Ztg." artykuł o polityce Niemiec. Na czoło zagadnień polityki niemieckiej w najbliższej przyszłości — pisze Gessler — wysuwa się walka o rewizję postanowień terytorjalnych traktatów pokojowych, o „wykreślenie znośnych granic na wschodzie i o utworzenie związku niemieckich państw środkowej Europy". Gessler ubolewa, że rząd niemiecki nie wykorzystał ruchów narodowościowych za granicą mimo, że przeważnie przez Niemcy prowadzona organizacja międzynarodowa występowała z odpowiednią inicjatywą. (PAT)

Rewelacje o planach III. międzynarodówki.

Berlin, 19 listopada. Ubiegłej nocy w różnych dzielnicach robotniczych doszło w Berlinie do demonstracyj komunistycznych. Policja kilkakrotnie interwenjowała, rozpędzając demonstrantów.

Rozruchy te łączą się z grożącem zaostrzeniem się kursu polityki w razie dojścia hitlerowców do rządu.

Partja komunistyczna ogłosiła w „Rothe Fahne" odezwę, wzywającą do jednolitego frontu proletarjackiego.

Równocześnie „Kölnische Ztg." ogłasza doniosłe rewelacje o terorystycznym planie komunistów niemieckich, jaki miał być rozważany na posiedzeniu moskiewskiego Politbiura w sierpniu b. r.:

Przedstawiciel III. międzynarodówki Manuilskij w referacie o sytuacji politycznej w Niemczech wskazał wówczas na wielkie niebezpieczeństwo, jakie przedstawia dla komunistów dojście do skutku koalicji między narodowymi socjalistami a centrum.

Przywódca międzynarodówki rewolucyjnych związków zawodowych Łosowskij poruszył kwestję wykorzystania momentu osłabienia aparatu rządowego przez komunistów dla roboty wywrotowej w Niemczech przez organizowanie strajków, aktów sabotażu oraz drogą teroru masowego i indywidualnego. Dalej wspomniał o możliwości wykorzystania pewnych elementów Stahlhelmu oraz w oddziałach służby pracy, na rzecz komunizmu. Pozatem ustalona miała być lista osób wobec których stosowanoby terror w pierwszym okresie walki rewolucyjnej, przyczem szczególną uwagę zwrócono by na przywódców centrum. (PAT)

Ograniczenie okresu zasiłkowego już od Nowego Roku?

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (Sch) Dowiadujemy się, że władze Z. U. P. U. w Warszawie rozpatrzeć mają **projekt ograniczenia okresu zasiłkowego dla wszystkich bezrobotnych pracowników umysłowych z 9 miesięcy do 6 miesięcy.**

Dekret Prezydenta Rzplitej o ubezpieczeniu pracowników umysłowych ustanawiał w zasadzie 6-miesięczny okres zasiłkowy, ale równocześnie dawał władzom Z. U. P. U. prawo przedłużenia tego okresu na 9 miesięcy dla pracowników zabezpieczonych przez czas dłuższy.

Korzystając z tego przepisu, władze Z. U. P. U. zastosowały 9-miesięczny okres zasiłkowy dla pracowników, którzy byli ubezpieczeni conajmniej dwa lata. Wskutek kryzysu, liczba pracowników, którzy po 2-letniem opłacaniu wkładek uzyskali prawo do 9-miesięcznego okresu zasiłkowego, stanowi obecnie większość korzystających z zasiłków.

Z powodu braku funduszów powstał projekt ograniczenia okresu zasiłkowego do ustawowych 6 miesięcy dla wszystkich ubezpieczonych pracowników umysłowych. Władze Z. U. P. U. spodziewają się, że przyniesie im to 25 proc. oszczędności w dotychczasowych wydatkach na wypłatę zasiłków.

Ograniczenie okresu zasiłkowego nastąpiłoby w drodze uchwały władz Z. U. P. U., zatwierdzonej przez Ministerstwo Opieki Społecznej. Istnieje tendencja, **by ograniczenie okresu zasiłkowego weszło w życie już od Nowego Roku.**

Zacieśnienie stosunków przyjaźni między Polską i Jugosławją.

Białogród, 19 listopada. Senat jugosłowiański w obecności posła Rzplitej ratyfikował umowę pomiędzy Polską a Jugosławją, dotyczącą stosunków kulturalnych i szkolnictwa. Podobnie jak w skupczynie ratyfikacja ta zamieniła się w manifestację przyjaźni na rzecz Polski. Poza ministrem oświaty przemawiało 5 senatorów, dając wyraz pragnieniu Jugosławji zacieśnienia jak najściślejszego węzłów duchowych i politycznych z Polską. Umowę ratyfikowano podobnie, jak w Skupczynie przez aklamację. Do senatu polskiego wysłano depeszę z pozdrowieniami w imię braterskiej przyjaźni. (PAT)

Warszawa, 19 listopada. W związku z ratyfikacją przez skupczynę polsko-jugosłowiańskiej umowy w sprawie stosunków kulturalnych i naukowych odbyła się wymiana serdecznych depesz między prezesem skupczyny Kumandim a Marszałkiem Sejmu Rzplitej dr. Świtalskim.

Drożyński we Wronkach.

Warszawa, 19 listopada. Zabójca tancerki Igi Korczyńskiej, Drożyński, któremu Sąd apelacyjny zmniejszył karę z 8 na 6 lat, przewieziony został wraz z partją innych więźniów z więzienia Mokotowskiego, gdzie dotychczas przebywał, do więzienia we Wronkach.

Koncert Paderewskiego w Medjolanie.

Medjolan, 19 listopada. Koncert Ignacego Paderewskiego zgromadził olbrzymie tłumy publiczności. Wiele wybitnych osób przybyło z poza Medjolanu, m. in. żona następcy tronu i kilka osób z rodziny królewskiej. Świetny pianista był przyjmowany owacyjnie przez publiczność. Na ulicach zgromadziły się olbrzymie tłumy, które oczekiwały na powracającego z konserwatorjum do hotelu artystę. (PAT)

Uroczystości szczypiórniańskie.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G) Donoszą z Kalisza: Dnia 26 listopada r. b. odbędzie się uroczysta ekshumacja zwłok legionistów na cmentarzu w Szczypiórnie. Prochy legionistów sprawadzone będą do Kalisza, gdzie złożone zostaną na katafalku w kościele Św. Józefa. Następnego dnia w obecności Prezydenta Rzplitej i członków Rządu odbędzie się uroczyste złożenie prochów legionistów w specjalnie zbudowanem mauzoleum na cmentarzu kaliskim.

Unieruchomienie fabryk Scheiblera i Grohmana.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G). Zakłady Scheiblera i Grohmana w Łodzi zostały dziś unieruchomione. Bez pracy pozostało kilkuset urzędników i 6000 robotników. Zarząd fabryki twierdzi, że przerwa w pracy zależy od od wyniku starań w sprawie uzyskania ulg w spłacie należności z tytułu świadczeń socjalnych. W Łodzi uważają unieruchomienie fabryki za manewr zarządu skierowany na zaszachowanie czynników, od których fabryka spodziewa się ustępstw.

Od Redakcji.

Z powodów technicznych zmuszeni byliśmy przerwać na początku listopada druk powieści A. Donalda p. t. „Krew, dynamit i miłość". Pragnąc wywiązać się z obowiązku dostarczenia naszym prenumeratorom całości tej powieści, kazaliśmy wydrukować dalszy jej ciąg na osobnych arkuszach i arkusze te będziemy dołączać do numerów „Gazety Lwowskiej".

Kto wygrał na loterji?

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G) 19 bm w trzecim dniu ciągnienia I. klasy Pol. Loterji Klasowej padły wygrane na następujące numery:

10.000 zł. na nr. 8779.

po 5000 zł. na nry 118016, 71165.

po 1000 zł. na nry 97927, 147278, 59478, 75947, 141903, 85430.

po 500 zł. na nry 139392, 75930, 115548, 78821, 136815, 95080.

po 400 zł. na nry 54932, 155525, 14403, 116049, 74260, 146976, 23471, 32375, 127042, 112368, 6038, 59818, 103857, 6029.

po 200 zł. na nry 45162, 129982, 80586, 63834, 61926, 62371, 95155, 122514, 83440, 102597, 64116, 129982, 114081, 23487, 134270, 6001, 37494, 25087, 61690, 62190, 55658.

Hindenburg rozstrzygnął spór
między dwoma rządami Prus.

Berlin, 19 listopada. Ogłoszono dekret prezydenta Rzeszy, zarządzający ścisłe rozgraniczenie kompetencji między komisarycznym rządem pruskim a gabinetem Brauna. Rządowi komisarycznemu przysługiwać będzie m. in. prawo decydowania w sprawach budżetowych kraju, prowadzenie rokowań z rządem Rzeszy oraz uczestniczenie w jego posiedzeniach. Również prawo amnestji należy do komisarycznego rządu. Reprezentacje Prus, w Reichstagu, w Radzie Państwa Rzeszy i w sejmie pruskim zatrzymuje nadal gabinet Brauna. Prasa republikańska podkreśla, że dekret ten ma na celu ugruntowanie stanowiska Papena jako komisarza Prus. (PAT)

Konferencja u Hindenburga.

Berlin, 19 listopada. Konferencje Hindenburga z przedstawicielami stronnictw rozpoczęły się 18 listopada w południe. Hindenburg przyjął Hugenberga, potem kolejno prałata Kaasa i Dingeldeya. Hitler przybył do Berlina w towarzystwie szefa sztabu szturmówek hitlerowskich kpt. Roehma oraz posła Fricka.

Grupa wpływowych przedstawicieli ciężkiego przemysłu zwróciła się do Hindenburga z memorjałem, zalecającym powołanie Hitlera na czoło gabinetu. Za udziałem narodowych socjalistów w gabinecie wypowiada się z naciskiem również min. Schleicher.

Nieudały zamach na Papena.

Berlin, 19 listopada. Dopiero w piątek, dzięki rozprawie sądowej, ujawniony został nieudały zamach, przygotowywany na kanclerza Papena przed kilku dniami.

Sędzia skazał na 3 miesiące więzienia żonę inspektora poczty Buddo, która wdarła się do gmachu kancelarji Rzeszy, chcąc dostać się do gabinetu Papena. W ostatniej chwili służba obezwładniła Buddo, przy której znaleziono sztylet. Na rozprawie oświadczyła ona, że należy do partji socjaldemokratycznej a chciała zmusić Papena do zmiany obecnego kursu polityki. (PAT)

Londyńska City rzuca groźby
pod adresem nowojorskiej Wallstreet.

Londyn, 19 listopada. Na giełdzie londyńskiej panowało w piątek silne rozgoryczenie wskutek pesymistycznych wiadomości z Ameryki w sprawie długów wojennych. Funt spadł do najniższego w tym roku poziomu 3.27 dol. za 1 ft. Po południu wskutek interwencji Banku Angielskiego nastąpiła poprawa. Przy zamknięciu giełdy funt notowany był w wysokości 3.30 i pół dol. za 1 ft. Zwłaszcza angielskie papiery obligacyjne, a głównie 300-miljonowa pożyczka konwersyjna doznały deprecjacji. Cena złota wzrosła o 8 i pół pensa do 123 szyl. 7 pens. za uncję.

W City panuje zniecierpliwienie i rozgoryczenie z powodu stanowiska Ameryki. Dają się w City słyszeć głosy pełne gróźb pod adresem Ameryki, że o ile nie zgodzi się na odroczenie płatności długów, przypadających na 15 grudnia b. r., to wogóle nic nie otrzyma. (PAT)

—o—

Amy Johnson pobiła rekord męża.

Kapsztad, 19 listopada. Słynna lotniczka angielska Amy Johnson-Mollison przybyła tu o godz. 13.30 według czasu Greenwich, bijąc rekord swego męża, lotnika Mollisona, o 1 godzinę. W czasie lotu Amy Jonhson dała dowody niesłychanej odwagi i sprawności technicznej. Obecny lot jej, podobnie jak jej lot do Australji w maju 1930 stanowi ważny etap w historji lotnictwa. Amy Johnson odbywała swój lot na aparacie angielskiej konstrukcji, marki Pussmoth. Lotniczka wyruszyła z Lympne o świcie w dniu 14 b. m. i pobiła rekord Mollisona, przelatując dziennie średnio 1400 mil ang. (PAT)

Wielka paryska afera lotnicza.
Minister Painleve udziela wyjaśnień Izbie Deputowanych.

Paryż, 19 listopada. W Izbie Deputowanych rozpoczęła się w piątek dyskusja nad aferą Aeropostale. Do głosu zapisało się trzech mówców. Według posłów, socjalista Renaudel miał udzielić rewelacyjnych informacyj i wystąpić ponownie z wnioskami utworzenia komisji ankietowej. Min. lotnictwa Painleve miał odpowiedzieć na interpelację.

Wiadomość, że Renaudel ma wystąpić z nowemi rewelacjami, zgromadziła na galerjach Izby liczne rzesze publiczności. Również w kuluarach rozprawiało się z ożywieniem o interpelacjach w głośnym skandalu awjacyjnym.

Istotnie po otwarciu posiedzenia Izby o godz. 15'10 zabrał głos Renaudel, który zaznaczył, że dyrektor Aeropostale Bouilloux-Lafont zwrócił się w swoim czasie do socjalistycznego dziennika „Le Populaire" z prośbą o opublikowaniu dokumentów w sprawie afery lotniczej, chcąc w ten sposób zrzucić z siebie odpowiedzialność na dziennik.

Socjaliści woleli uprzednio zasięgnąć dokładnych informacyj. Mówca przypomina, że Bouilloux - Lafont, uzyskawszy audjencję u ministra lotnictwa, nie zgodził się na pozostawienie mu w tej sprawie jakichkolwiek dokumentów.

Minister lotnictwa Painleve odpowiada ze swego miejsca, że podczas wizyty Bouilloux - Lafonta zapytał go czy może pozostawić teczkę, lecz otrzymał odpowiedź przeczącą, z podkreśleniem, że dokumenty są tajne. Na propozycję ministra oddania sprawy prokuratorowi, skoro dokumenty są autentyczne, Bouilloux - Lafont od rzekł, że sprawa zainteresuje raczej „Oddział II.". Na to minister radził odesłać sprawę gen. Weygandowi.

Renaudel, zabierając ponownie głos, stwierdza, że teczkę z fałszywemi dokumentami otrzymał gen. Weygand, który je potem odesłał do Oddziału II. do sprawdzenia. Dopiero dnia 27 lipca Painleve zażądał ich od gen. Weyganda, polecając przesłać akta do ministerstwa lotnictwa. Według Renaudela w tajnej teczce znajdowały się dokumenty, wskazujące że Waller dyrektor firmy „Gnome" poczynił rozmaite wypłaty poszczególnym deputowanym i dziennikarzom. Mówca wymienił niektóre nazwiska.

Dep. Renaudel gwałtownie protestuje, stwierdzając ostro, iż dowiedział się z dzienników, o nadużywaniu jego nazwiska w związku z powyższą aferą, dowodząc, że padł tylko ofiarą zemsty za to, że z trybuny wykazał pewne sprawki Boilloux - Lafonta i barona Nicaize'a.

W związku z aferą korupcji funkcjonarjuszów, dep. La Lorraine wyraża żal, że ręk ny lotnictwa nie wahają się przed użyciem niskich sposobów, aby tylko pochwycić w swe ręce broń przeciwko konkurencji. (PAT)

Jeszcze jedna koepenikjada.

Berlin, 19 listopada. Z Koźla donoszą o tragikomicznym incydencie, przypominającym żywo aferę „kapitana z Köpenick". W czwartek przed południem zjawił się w gmachu rządowym nieznany osobnik, żądając audjencji u prezydenta prowincji.

Wprowadzony do gabinetu prezydenta, nieznajomy przedstawił się jako ajent policyjny i oświadczył, że otrzymał polecenie aresztowania prezydenta za udział w przemytnictwie. Wezwana policja aresztowała natręta, którym jest wydalony ze służby urzędnik kryminalny. (PAT)

—o—

Wściekły pies pokąsał dziecko.

Lwów, 19 listopada. Wczoraj na ul. Snopkowskiej, koło domu nr. 61 na idącą tamtędy 13-letnią uczenicę Stefanję Ząbkównę (Kozielnicka 104) rzucił się znienacka pies zdradzający objawy wścieklizny, i pokąsał ją w lewą łydkę. Na pomoc dziewczynie rzucił się Władysław Bujak i zabił psa widłami. Dziewczynę odesłano zaraz do Fizykatu miejskiego celem zbadania.

Z narad rozbrojeniowych.

Genewa, 19 listopada. W prezydjum konferencji rozbrojeniowej dyskutowano 18 b.m. raport komitetu do reglamentacji handlu i fabrykacji broni. Raport wygotował delegat Polski p. Komarnicki. Przedłożony przez sprawozdawcę raport spotkał się z przychylnem przyjęciem prezydjum, które powierzyło p. Komarnickiemu przygotowanie dokumentu, reasumującego debaty prezydjum. (PAT)

—o—

Otwarcie wystawy lotniczej w Paryżu.

Paryż, 19 b. m. nastąpiło tu otwarcie XIII. Międzynarodowej wystawy lotniczej. Otwarcie odbyło się w obecności prezydenta Lebruna, oraz najwybitniejszych osobistości ze świata politycznego, dyplomatycznego i artystycznego Paryża.

Obecny był również ambasador R. P. Chłapowski. (PAT)

—o—

Austrja otrzyma pożyczkę?

Wiedeń, 19 listopada. Nieoficjalny komunikat rządu austrjackiego donosi o pomyślnym wyniku rokowań londyńskich w sprawie Zakładu Kredytowego. Prasa podkreśla doniosłe znaczenie rozmów londyńskich, dla przywrócenia kredytów zagranicznych Austrji. Na drodze do sfinalizowania pożyczki londyńskiej i pożyczki wewnętrznej nie stoi nic na przeszkodzie. (PAT)

—o—

Pojedynek złodziejski.

Wczoraj w Zboiskach znany złodziej z Zniesienia Piotr Sułtanów spotkał kolegę po fachu 16-letniego Stanisława Wirgę. Ponieważ obaj mieli ze sobą porachunki złodziejskie, wszczęli bójkę. Wyjęli rewolwery i poczęli się ostrzeliwać. Wirga został trafiony kulą w pachwinę koło brzucha. Sułtanów zaś w rękę. Kontuzja Wirgi jest bardzo ciężka. Odwieziono go do szpitala.

—o—

Samobójstwo poborcy.

Wczoraj wieczorem o godzinie 18-tej w kamienicy przy ul. Wołyńskiej 3 rozegrała się tragiczna scena. W mieszkaniu na I piętrze mieszkał z rodziną em. poborca akcyzowy Jan Gilewski. Cierpiał on na raka i ta nieuleczalna choroba martwiła go stale i doprowadzała do desperacji. Wczoraj wieczorem znaleziono jego zwłoki ostygłe, wiszące na klamce okiennej. Nieszczęśliwy poborca zadał sobie śmierć. Zwłoki jego odstawiono do Instytutu Medycyny Sądowej.

Pożar w piwnicy.

Wczoraj przy ul. Łyczakowskiej 22 wybuchł w piwnicy wielki pożar. Lokatorka Karolina Flarowa zostawiła w piwnicy palącą się świecę. Od świecy zajęła się drewniana ścianka a wkrótce wszystkie przepierzenia stanęły w ogniu. Wezwana straż pożarna po dłuższej akcji z trudem stłumiła pożar.

—o—

Lekarz — krzewiciel morfinizmu.

Poznań, 18 b. m. w sądzie apelacyjnym w Poznaniu został ogłoszony wyrok przeciwko dr. med. Gęsikowskiemu, skazanemu przez sąd okręgowy za dostarczanie pacjentom za wysokiemi opłatami morfiny. Sąd apelacyjny obniżył wymiar kary do 1 roku więzienia, z czego połowę darowano mu na podstawie amnestji, wykonanie zaś drugiej połowy zawieszono na trzy lata. Pozatem odebrano Gęsikowskiemu prawo uprawiania praktyki lekarskiej na przeciąg trzech lat. (PAT)

Bomby w stawie.

Wiedeń, 19 listopada. Z Gracu donoszą, że w miejscowości Rotenman w Styrji znaleziono w szlamie pewnego stawu znaczną ilość bomb. Dotychczas wydobyto 17. Jeszcze pewna ilość bomb znajduje się w stawie. Żandarmerja prowadzi energiczne śledztwo. (PAT)

Krewcy posłowie.

Białogród, 19 listopada. W gmachu parlamentu w czasie przerwy w obradach doszło do gwałtownego starcia między deputowanym Nikiczem, przywódcą jugosłowiańskiej grupy włościan, a dep. słoweńskim Cererem. Cerer uderzył Nikicza w twarz. Posłowie rozdzielili walczących. (PAT)

Polak zagranicą wydaje dużo, cudzoziemiec w Polsce — mało.

Ruch turystyczny skutkiem kryzysu zmniejsza się z każdym rokiem. Ponieważ ostatnio podniesiono u nas znacznie opłaty od paszportów zagranicznych, przeto ilość wyjazdów uległa dalszej redukcji, już bowiem w r. 1931 wydano paszportów na wyjazd zagranicę nie w celach zarobkowych o 24 proc. mniej, aniżeli w r. 1930.

Czy zmniejszy się również ilość cudzoziemców przyjeżdżających do nas? — narazie trudno jeszcze o tem sądzić, ponieważ brak danych co do ogólnej ilości wiz, wydanych przez nasze placówki konsularne za ostatni rok, o ile wszakże można sądzić z rejestracji, którą Gł. Urząd Statystyczny prowadzi w kilkunastu miastach, ilość odwiedzających jo cudzoziemców zmniejszyła się niewątpliwie. Tak naprzykład w ciągu drugiego kwartału r. ub. w 23 miastach zarejestrowano 22.119 cudzoziemców, a w r. b. w tym że czasie w 25 miastach tylko 17.916, t. j. o 19.0 prc. mniej.

Nie byłoby w tem nic szczególnego, gdyż nietylko my, ale i zagranicą sfery nawet zamożniejsze musiały się skutkiem przesilenia i uszczuplonych dochodów ograniczyć w swych wydatkach. Chodzi natomiast o to, że całkiem inny charakter ma ruch turystyczny, skierowany od nas zagranicę, a zupełnie odmienny — z zagranicy do nas. Już bowiem na pierwszy rzut oka widać, że ruch cudzoziemców do nas koncentruje się prawie wyłącznie w większych ośrodkach miejskich, jak Warszawa, Łódź, Katowice, Kraków, Bydgoszcz itd. Jakkolwiek każde z tych miast ma pewne osobliwości godne zwiedzenia, jednak parodniowy zazwyczaj pobyt wystarcza i turysta bądź wraca do domu, bądź wyjeżdża do innego miasta, gdzie znów spędza parę dni. Tym sposobem jedna i ta sama osoba może być zarejestrowana parę razy. Jeszcze większa jest ilość osób, które przyjeżdżają do danego miasta tylko celem załatwienia interesów, na co wystarcza parę dni, poczem opuszczają Polskę. Natomiast prawdziwy ruch turystyczny, skierowany do znanych w kraju uzdrowisk, kąpielisk itp., jest nader nikły. Wówczas bowiem, gdy w ciągu ostatnich paru lat Warszawę odwiedza około 24—25 tys. cudzoziemców rocznie, Łódź — 6—7 tys., Katowice 7—8 tys., to Krynicę w ciągu 1931 r. odwiedziło tylko 512 cudzoziemców, Zakopane 887, inne mniej znane i reklamowane miejscowości oglądały gości zagranicznych w znacznie mniejszej ilości.

Zupełnie inny charakter ma ruch turystyczny, skierowany od nas zagranicę. I od nas pewna ilość osób wyjeżdża dla załatwienia różnych interesów, lecz paszporty handlowe stanowią tylko 13.1 prc. ogólnej ilości paszportów zagranicznych, główny natomiast kontyngent wyjeżdżających stanowią kuracjusze, studjująca młodzież, udający się dla rozrywki itp. Pobyt ich trwa zazwyczaj miesiące całe, a nawet lata (np. studenterja).

Jednem słowem do nas przybywają cudzoziemcy przeważnie dla załatwiania interesów, a więc na krótko, wówczas gdy my udajemy się zagranicę przeważnie w celach kuracyjnych, dla studjów lub rozrywki, a stosunkowo rzadko w celach handlowych. To też gdy my bawimy zagranicą przez dłuższy czas, cudzoziemcy spędzają u nas najwyżej kilka dni.

Tem się wyłącznie tłómaczy niezrozumiałe i dziwne na pierwszy rzut oka zjawisko, że jakkolwiek ilość odwiedzających nas turystów jest większą, aniżeli udających się od nas zagranicę, jednak turyści ci zostawiają u nas znacznie mniej pieniędzy, aniżeli my wydajemy w obcych krajach.

Wynika to z następujących zestawień. Porównując cyfry dotyczące cudzoziemców obywateli polskich, udających się zagranicę, przekonamy się, że w r. 1927 do nas przyjechało 155.090 osób, od nas wyjechało zagranicę 65.567, w r. 1928 — 135.313 i 86.446, w r. 1929 — 137.445 i 87.428, w r. 1930 — 198.000 i 114.246 itd. Natomiast w bilansach płatniczych Polski w rubryce „turystyka" znajduje się suma przychodu i rozchodu, w r. 1927 — 71 i 122 milj. zł., w r. 1928 — 98 i 169 milj., w r. 1929 — 167 i 165 milj., w r. 1930 — 158 i 245 milj. zł. itd.

Z liczb tych wynika, że poszczególny cudzoziemiec wydał u nas w r. 1927 457.7 zł., a Polak zagranicą — 1860.7 zł., w r. 1928 — 724.2 i 1955 zł., w r. 1929 — 1215.0 i 1887.3 zł., w r. 1930 — 798.0 i 2.144.5 zł. itd. Nadmienić przytem należy, że w liczbach powyższych nie wzięto całkiem pod uwagę cudzoziemców, posiadających wizy przejazdowe, które stanowią około 40 prc. ogólnej ilości wiz, a które nie dają prawa dłuższego pobytu u nas, gdyby bowiem i tych cudzoziemców włączyć do liczby ogólnej, to wydatek na jednostkę wypadłby niemal dwukrotnie niższy. Cudzoziemiec wydał zatem w ciągu tych czterech lat u nas 798.7 zł., a Polak zagranicą zostawił przeciętnie 1961.9 zł. Oznaczając wydatek cudzoziemca u nas liczbą 100, otrzymamy dla Polaka cyfrę 245.6 tj. prawie dwa i pół raza więcej. I nauka zatem, po którą jeździmy, i kuracja i rozrywki, których szukamy zagranicą, kosztują nas dosyć drogo.

Z. Z.

DRZEWOM PRZY DRODZE.

Żyjemy obok siebie — rośniemy obok siebie
ja i wy, gałęziami proszące się po niebie.
Poprzez szerokość drogi mówimy wzajem do się,
jednego chcące: słońca u Boga się doprosić...

Przetrwamy razem jesień i zimę przeżyjemy;
przeboleiemy ciemność, samotność i zwątpienie —
pobróżażą nas łzy szarug, otrzęsą wichry z liścia —
dla was i dla mnie wtedy nie będzie z bólu wyjścia...

Wrośnięte korzeniami w biegnącą w bezkres drogę
uciec z niej nie możecie — i ja stąd pójść nie mogę...
Litujmyż się nad sobą, kochajmyż drzewa siostry,
w ten chłód śmiertelny zimy — w ten czas niedoli ostrej...

...Dopiero kiedy wicher i płacz jesiennej pory
ostatni liść oderwą z bolesnej serca kory —

dopiero kiedy mróz się, zbratany z ani boleścią,
dobierze do korzeni i samą targnie treścią —

dopiero gdy w nas tyle w śmiertelnej skrzepnie ciszy,
że drzewo już w człowieku skowytu nie dosłyszy —

dopiero wtedy staniem, zdziwione sobą wzajem,
ja i wy, drzewa z drogi, okwitłe świeżym majem —

dopiero wtedy — sercem i rozśpiewanym liściem
pójdziemy wspólną drogą na nowej wiosny przyjście...

JADWIGA GAMSKA-ŁEMPICKA.

Albertus Magnus.

Jakkolwiek średniowiecze w całym swoim rozwoju kulturalnym nie wykazało rozmachu i pędu życiowego w dziedzinie technicznych wynalazków, ulepszeń mechanicznych, czy nauk doświadczalnych, to jednak na polu nauk spekulatywnych, filozofji, teologji, sztuki, życia prawno-społecznego może poszczycić się takiemi wynikami jak mało która epoka w dziejach ludzkości.

Do XII. w. życie ogólno-społeczne toczy się zwolna, nie wykazując szerszych aspiracyj czy dążności. Dopiero po wyprawach krzyżowych, które wniosły do życia religijnego, społecznego i kulturalnego Europy przebogate pierwiastki cywilizacji hellEńsko-arabskiej, tempo rozwoju niepomiernie się wzmogło. Nowe wartości kulturalne okazały się niezwykle silnym czynnikiem, budziły całe życie, wywoływały nowe dążności i postulaty, wciągając na arenę życia publicznego, tak politycznego jako też i religijnego, szersze warstwy społeczeństwa. Te nowe pierwiastki mogły być zarówno symptomami budowy, jako też i rozkładu społeczeństwa, tak religijnego, jak i państwowego. Dlatego potrzeba było ludzi niepoślednich, ażeby wielkie porywy ducha ówczesnego skierować na odpowiednie tory.

Pierwszym, który wyzyskał przełomowy moment czasu był właśnie Albert Wielki. Kto to był i czem zdołał zasłużyć sobie na zaszczytne nazwy: „Wielkiego", „Świętego" i „Doktora Kościoła"?

Albert Wielki urodził się około roku 1206 w Lauingen, mieście bawarskiem, ze znakomitej rodziny hrabiów z Bollstädt, będącej w bliskich stosunkach z cesarzem Fryderykiem II.

Jako student uniwersytetu w Padwie, pokonawszy trudności ze strony rodziny, wstępuje do świeżo powstałego zakonu Dominikanów, pociągnięty jego naukowością i duchem apostolskim. Po ukończeniu studjów filozoficznych i teologicznych, zostaje duchownym i rozpoczyna tak olbrzymią i wszechstronną pracę, że ludzkość obdarzyła go przydomkiem „Wielki". Powszechnie zna się Alberta Wielkiego może wyłącznie ze strony naukowej (siedzącego stale nad księgami). Bo był on istotnie człowiekiem nauki niepospolitej, rzadko spotykanej w dziejach ludzkości; równocześnie atoli okazał wiele zdolności na polu praktycznem, w dziedzinie pracy zewnętrznej. Pracował jako kaznodzieja, profesor w kolegjach zakonnych, kilkakrotnie mianowany legatem papieskim; jest rozjemcą między powaśnionemi stronami, z tego też tytułu Bulla kanonizacyjna z grudnia 1931 r. „In thesauris sapientiae" — nazywa go — „arbiter pacis" — patronem pokoju, polecając go jako wzór dla współczesnego świata, tak tęskniącego i szukającego tego pokoju.

Występuje zkolei Albert W. jako prowincjał dominikanów niemieckich. Na tem odpowiedzialnem stanowisku, powierzonem mu za namową biskupów, przebiega olbrzymi szmat ziemi od Renu po Odrę, od Alp aż do morza Północnego, głosząc słowo Boże, zwalczając błędy, zakładając klasztory. W 1260 r. rządzi jako biskup, djecezją Ratyzbony, lecz składa tę godność, aby tem łatwiej móc oddać się pracy. Jeszcze raz tylko występuje jako legat papieski w 1264 r., organizując krucjatę. W 1274 r. widzimy go na soborze liońskim.

Historyczne znaczenie i wielkość Alberta ma jednak źródło gdzieindziej. Jeśli jego osobistość olbrzymio wyrosła w XIII w. i zagórowała nad całem średniowieczem, a nawet do naszych dni nie straciła nic ze swojej wielkości, to główna przyczyna tego leży w jego uczoności ponad zwykłą miarę, w jego wszechstronności oraz w wprowadzeniu i odnowieniu nauk przyrodniczych. Albert Wielki objął swym genjalnym umysłem całokształt wiedzy i prądów umysłowych starożytnego i ówczesnego świata naukowego. Do jego czasów na Zachodzie panowali prawie niepodzielnie Platon i Augustyn, teraz zaczyna wywierać coraz większy wpływ Arystoteles. Neo-platonicy, jużto wprost, jużto przez filozofów arabskich: Awicennę, Averroesa, Alkindiego, Alfarabiego, Algazela i inn., wytworzyli nowy system tzw. averoizm łaciński. Do tego dołączają się systemy filozofów żydowskich: Maimonidesa Avicebrona. Ibn Gebirola i inn. Teraz przychodzi znowu do głosu Ojcowie Kościoła i dorobek scholastyki od IX. wieku.

Albert Wielki potrafił opanować ten olbrzymi materjał, tak częstokroć chaotyczny, sprzeczny, pomięszany; oczyścił go od różnych błędów i naleciałości. Zajął się szczególnie Arystotelesem, dając mu pierwszeństwo w dziedzinie filozoficznej. Wszystko to przekazał nam jednak raczej encyklopedycznie, nie zdołał już ująć metodycznie w pewien głębiej przemyślany i uporządkowany system, będący podkładem nauki chrześcijańskiej a

Wiadomości bieżące

20
listopada 1932

Niedziela

Feliksa

Jutro: Of. N. M. P.

Wschód słońca 7·05

Zachód słońca 15 38

TEATR WIELKI.

Niedziela 20 XI godz. 12 w poł. „Pinokio" bajka dla dzieci.

Niedziela 20 b. m., godz. 3'30: „Marjusz" (ceny zniżone).

Niedziela 20 b. m., godz. 7'30: „Zbyt prawdziwe, żeby było dobre", (abonament 3).

Poniedziałek, 21 b. m., godz. 7'30 wiecz.: „Cavaleria Rusticana" oraz koncert arji operowych i pieśni (Alfred Piccaver).

Wtorek 22 XI godz. 7.30 „Zbyt prawdziwe, aby było dobre". (Abonament 3.)

Środa 23 XI godz. 7.30 „Zbyt prawdziwe, aby było dobre". Przedstawienie sprzedane.

Czwartek 24 XI godz. 7.30 „Zbyt prawdziwe, aby było dobre". (Abonament 3.)

Piątek 25 XI godz. 7.30 Opera.

Sobota 26 XI godz. 7.30 „Zbyt prawdziwe, aby było dobre". (Abonament 3.)

TEATR ROZMAITOŚCI.

Niedziela 20 b. m., godz. 3'30: „Olimpia" (ceny zniżone, abonament 2).

Niedziela 20 b. m., godz. 7'30: „Pocałunek przed lustrem". (abonament 3).

Poniedziałek 21 XI godz. 7.30 „Olimpja". Przedstawienie sprzedane.

Wtorek 22 XI godz. 7.30 „Pocałunek przed lustrem". (Abonament 3.)

Środa 23 XI godz. 7.30 „Pocałunek przed lustrem". (Abonament 3.)

Czwartek 24 XI godz. 7.30 „Pocałunek przed lustrem". (Abonament 3.)

Piątek 25 XI godz. 8.15 Leo Fuksa, recytacje, monologi, piosenki.

Sobota 26 XI godz. 7.30 „Pocałunek przed lustrem". (Abonament 3.)

Sala Colosseum. Film: „Samotni". Rewja: „Tęcza nad Lwowem".

KINOTEATRY.

ADRJA: „Melodja serc".
APOLLO: „Niepotrzebna".
ATLANTIC: „Pieśń nocy".
CASINO: „Pieśń nocy"
CHIMERA: „Kapitan Wawlau".
GRAŻYNA: „Ułani, Ułan".
KOPERNIK: Harold Lloyd „Kinomanjak".
MARYSIENKA: Harold Lloyd „Kinomanjak".
OAZA: „Ulica potępionych dusz".
PALACE: „Musisz być moja".
PAN: „Przeżycia jednej nocy".
PASAŻ: „Tajemnicza szóstka"
PROMIEŃ: „Czterech z Legji".
RAJ: „Księżna Łowicka".
STYLOWY: „Rok 1905. wygnańcy".
ŚWIT: „Tragedja na Montblanc".
UCIECHA: „Najeźdźcy

Dzień 22 listopada 1932 r.

Na murach miasta pojawiła się następująca odezwa:

W dniu 22 listopada 1932 r. święcić będą mieszkańcy Lwowa 14-tą rocznicę oswobodzenia miasta. Lwów, który czynem zamanifestował swą przynależność do Macierzy, ma szczególne powody do uzewnętrznienia w tym dniu swych radosnych uczuć.

Komitet Obywatelski zwraca się do patrjotycznego społeczeństwa we Lwowie z gorącą prośbą, aby dzień oswobodzenia Lwowa godnie uczciło i oddało hołd poległym w jego obronie.

Program uroczystości:

Niedziela 20. XI. 1932: godz. 10.30 odsłonięcie pomnika ku czci poległych w obronie Lwowa w Rzęśnie Polskiej poprzedzone uroczystem nabożeństwem w kościele parafjalnym.

Wtorek 22. XI. 1932: godz. 8.45 uroczyste podniesienie flagi państw. na wieży ratuszowej; godz. 9 uroczyste nabożeństwo w Bazylice Archikat. rzym.-kat.; godz. 10.30 złożenie wieńców na cmentarzu Obrońców Lwowa.

Prezydjum honorowe Komitetu:

Wacław Drojanowski, prezydent miasta, gen. dyw. Juljusz Rómmel, insp. Armji, gen. Bryg. Bolesław Popowicz, D-ca OK. VI, Wojciech hr. Gołuchowski, prezes Federacji, dr. Konrad Zieliński, prezes Sądu apel., ks. dr. Adam Gerstman, rektor Uniw. J. K., dr. inż. Kazimierz Zipser, rektor Politechniki, dr. Bronisław Janowski, rektor Akad. wet., dr. August Zierhoffer, rektor WSHZ., Jerzy Gadomski, kurator Okr. szk. Lwow.

Za Komitet wykonawczy:

Dr. Zdzisław Stroński, wiceprez. miasta, Franciszek Irzyk, wiceprez. m., dr. Aleksander Domaszewicz, poseł na Sejm, inż. Konrad Lisowski, prezes Związku Obr. Lwowa, dr. Norbert Huth, prezes MSO., Kazimiera Neumannowa, przewodn. Straży Mogił Pol. Boh., Bronisław Laskownicki, prez. Synd. Dziennik., dr. Henryk Löwenherz, senator, Włodzimierz Krynicki, sekr. Federacji, Marjan Dziędzielewicz, sekr. Komitetu, Mr. T. Drwęski, sekr. Komitetu.

* * *

Nalepki w cenie po 10 gr., z których dochód przeznaczony jest na fundusz cmentarza Obrońców Lwowa, do nabycia w kioskach i sklepach.

* * *

— **Zarząd Związku Obrońców Lwowa** z listopada 1918 r. zaprasza całe społeczeństwo polskie i wszystkich obrońców Lwowa na nabożeństwo żałobne za poległych i zmarłych obrońców II. Odcinka, które odbędzie się dnia 21 listopada 1932 r., o godzinie 9-tej w kościele św. Marji Magdaleny.

— **Zarząd Związku Obrońców Lwowa** z listopada 1918 r., zaprasza niniejszem przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych oraz przedstawicieli wszystkich Związków i Stowarzyszeń, tudzież wszystkich obrońców Lwowa na Uroczyste Nabożeństwo Dziękczynne, które odbędzie się w Bazylice Archikatedralnej w rocznicę oswobodzenia Lwowa we wtorek, dnia 22 listopada 1932, o godz. 9 rano. Po nabożeństwie zaprasza się wszystkich do wzięcia udziału w pochodzie na cmentarz Obrońców Lwowa, celem złożenia wieńca i oddania hołdu poległym i zmarłym Obrońcom.

— **Zarząd P. O. W.** wzywa swych członków do wzięcia udziału w nabożeństwie, które się odbędzie w Katedrze łacińskiej, w dniu 22 b. m. o godz. 8'30 rano, poczem nastąpi wymarsz na cmentarz Obrońców Lwowa.

— **Rozkaz M. S. O. Członkowie** Małopolskiej Straży Obywatelskiej jawią się we wtorek, dnia 22 listopada 1932 r., o godz. 8'15 rano w lokalu przy ul. Halickiej 20, II. p., skąd udadzą się na nabożeństwo do Archikatedry łacińskiej. Po nabożeństwie nastąpi wymarsz na cmentarz Obrońców Lwowa.

Przyjaciel samotnika.

Mówiono, że stryj Karol zdziwaczał, że jest nudny i swarliwy, że się nigdzie nie pokazuje, że od wszystkich stroni i zrzędzi, przy lada okazji. A właściwie stryj Karol był tylko samotny — i tego nie rozumiano. Pustka czterech ścian wytwarzała w nim ten ferment goryczy, to skrzywienie warg, które odpychało i czyniło go nie sympatycznym.

Stara Marjanna, gospodyni zawołana, naprożno biedziła się w kuchni nad przysmakami, które wywołały uśmiech zadowolenia na twarzy pana. Nawet osławione kołduny litewskie nie zmieniły wyrazu jego twarzy.

Przecież dawniej było inaczej!

— Jak żyła nieboszczka pani... — tu Marjanna wycierała nos hałaśliwie i kończyła w myślach: — Musi smutek pana tak gnębi i samotność dokucza.

Tak upłynęło kilka lat, w rodzinie kiwano głowami i powoli zapomniano o starym dziwaku.

Kiedyś jednak młoda bratanica, Wanda wpadła do stryja wiedziona resztkami dawnej sympatji. Otworzyła drzwi Marjanna, jakaś odświętna, uradowana.

— Co się Marjannie stało?

— Nic proszę panienki, ale niechże panienka pozwoli do pana.

— Kto w pokoju gwiżdże, macie gości?

— Nie, to pan sobie tak... do taktu — zaśmiała się Marjanna.

— Do taktu?! — Wanda rozumiała coraz mniej wchodząc do pokoju stryja.

— Ach to ty, Wando? Dobrześ zrobiła odwiedzając mnie, starego, choć ja się teraz nie nudzę.

Wanda patrzy w twarz stryja, jakaś młodszą, jaśniejszą?

— Stryj się teraz lepiej czuje?

— Doskonale, wyobraź sobie, że przed chwilą śmiałem się do łez, ten Krukowski jest bezkonkurencyjny! Znasz to? „Przyrzekało się, umierało się — gdzie trup!" Ha! ha! Ale wiesz, radziłbym ci słuchać odczytów kobiecych, wiele praktycznych rad mogą ci udzielić przed małżeństwem, nawet Marjanna dowiedziała się wczoraj o nowym sposobie marynowania grzybów.

— Słuchać? Ależ stryjku, gdzie słuchać, kogo?

— Jakto kogo? — Radja. Że też ja jestem taki roztrzepany, zapomniałem ci powiedzieć, że mam radjo w domu. Samotność przestała mnie zupełnie gnębić. Nawet nie mam do was żalu, żeście o mnie zapomnieli. Gdy radio mam, nie jestem sam! 3199

— **Teatr Wielki.** „Zbyt prawdziwe, żeby było dobre", kazania sceniczne w 3 aktach G. B. Shawa, zdobyły sobie we Lwowie ogromne uznanie. Zdarcie maski z dnia dzisiejszego, obnażenie duszy współczesnego, powojennego człowieka, urasta w sztuce genjalnego Anglika do trafnej charakterystyki współczesności. Sztuka ta grana będzie dziś godz. 7.30 wiecz. oraz w dnie następne, z wyjątkiem dni operowych.

— **Teatr Rozmaitości.** Dziś i codziennie sensacyjna sztuka L. Fodora p. t. „Pocałunek przed lustrem". Sprawa trójkata małżeńskiego jest w niej potraktowana nie zwykle oryginalnie przez powtarzanie się tych samych wydarzeń, prowadzących na ślad zdrady żony niejako w dwu wydaniach. Świetnie zainscenizowana rozprawa sądowa trzyma widzów w nieustannem napięciu.

— **Dzisiejsze popołudniówki w Teatrach Miejskich po cenach popularnych.** Teatr Wielki gra o godz. 3.30 znakomitą komedję M. Pagnola p. t. „Marjusz". Egzotyczna dla nas atmosfera dalekich mórz, poezja wędrówek marynarzy po wszystkich morzach świata, uśmiechnięci południowi ludzie, łączący tradycyjny, spokojny żywot, z jakąś nieokreśloną tęsknotą za dalą i przygodą — wszystko to działa na widza jak świeży, orzeźwiający powiew.

Teatr Rozmaitości wystawia o godz. 3.30 świetną sztukę p. t. „Olimpja". Dowcip, humor, wdzięk, czar życia wysokich klas dawnej c. k. Austrji składa się na pogodną, obfitującą w cudownie pomyślane sytuacje i przezabawne typy komedję.

Bilety do nabycia w kasach Teatrów Miejskich oraz w kasie biletowej biura ABO (ul. Rutowskiego 2, firma „Anoda"),

— **Ostatni występ Piccavera.** Szczególnie wypełniony wczoraj Teatr Wielki huraganowemi wprost oklaskami wynagrodził Alfreda Piccavera, dając wyraz swemu entuzjazmowi i zadowoleniu. Podobnych tłumów nie oglądano od ostatnich lat w teatrze lwowskim. Niemniej dobrze zapowiada się ostatni występ Piccavera, który się odbędzie w poniedziałek 21 b. m. Na całość tego wieczoru złożą się: „Cavaleria Rusticana", oraz koncert arji operowych i pieśni. Usłyszymy szereg pieśni w wykonaniu Piccavera, które mogliśmy dotąd słuchać z płyt gramofonowych, czy głośników radjowych. Zainteresowanie tym spektaklem olbrzymie. Nieliczne już bilety są do nabycia w Małop. Ajencji Reklamowej, ul. Chorążczyny 7 i w kasie teatru Wielkiego. Karty uczestnictwa ważne.

— **Kasyno i Koło Literacko-Artystyczne we Lwowie.** Wtorek dnia 22 listopada 1932. Początek o godz. 19'30. „Zajazd pod pegazem kopytem" (Wieczór poezji i prozy) za stołem Henryk Balk, Leon Chwistek,

zwłaszcza teologji, co było jego celem. To przekraczało już siły jednego człowieka, nawet tak niepospolitego i genjalnego umysłu, uwzględniwszy do tego jego działalność społeczną. W kilka lat później zdobył się dopiero na tę arcypracę jego umiłowany uczeń, św. Tomasz z Akwinu, mając materjał przez mistrza przygotowany, częściowo obrobiony, i cel wytknięty.

Albert Wielki pozostawił nam ogółem 75 dzieł (około 40 tomów in folio) z najróżnorodniejszych dziedzin wiedzy. Z zakresu teologji: Komentarz do Pisma św., do Pseudo-Djonizego, do Pietra Lombarda, dwie „Sumy" i cały szereg pism ascetycznych.

Filozofji podporządkowuje całą wiedzę ogólnie pojętą, a więc nietylko metafizykę, logikę, etykę, psychologję, ale pod tym samym kątem widzenia pisze o wielu zagadnieniach naturalnych, jak o astronomji, astrologji, arytmetyce, chemji, botanice, zoologji, mechanice, antropologji, mineralogji, klimatologji i wielu innych. To też słusznie powiedziano, że chociażby jakimś przypadkiem zaginęła cała średniowieczna wiedza, możnaby ją odtworzyć z samych tylko dzieł Alberta Wielkiego. Ponadto Albert, tak co do formy, jak i co do treści, sięga daleko naprzód, przerasta nietylko współczesnych, ale jest uczonym nowożytnym. Łączy w sobie całą wiedzę, niczego nie wyklucza, począwszy od teologji a skończywszy na uprawie roli, o czem świadczą katalogi jego dzieł.

Lecz i to jeszcze nie wszystko. Albert W. jest przyrodnikiem, badaczem, prowadzi prace doświadczalne ze wspaniałemi wynikami, jak na ówczesne czasy, zwłaszcza, gdy uwzględnimy brak wszelkich przyrządów. Tak np. Hertling stwierdza, że Albert wprowadza terminologję o chemicznem pokrewieństwie materji. Inni przypisują mu odkrycie arszeniku jako pierwiastka.

W zoologji uwzględnia, w przeciwieństwie do Arystotelesa, człowieka na pierwszem miejscu. Podkreśla znaczenie centralne stosu pacierzowego, do czego dopiero później nauka dochodzi. Jego wyniki w dziedzinie frenologji i botaniki są cenione nawet w dzisiejszych czasach, według zdania przyrodników. Wedle zapisków archiwalnych, Kolumb w swej podróży, kierował się wskazówkami z dzieł Alberta o nawigacji, a nawet — jak wielu przypuszcza — jego kompasem magnetycznym. Wiele też kursowało dzieł i anegdotek, opowiadających o jego odkryciach mechanicznych, jak np. o automacie człowieczym, lub różnych sztukach magicznych, na podstawie czego Tritemius oparł swe zdanie: „Albertus magnus in magia, maior in philosophia, maximus in theologia".

Jakkolwiek Albert W. zajmował się wszystkiemi dziedzinami wiedzy, to jednakże nigdy nie były one dla niego celem, tylko podstawą, drogą, wiodącą do tem lepszego poznania Boga, do teologji. Teologja jest, jego zdaniem, nauką najwyższą ze względu na swój przedmiot, wobec czego inne nauki winny być jej podporządkowane, bo światło rozumu podlega światłu wiary i Boga. Tak rozstrzygnął wiecznie palącą kwestję stosunku wiary do wiedzy. Z tego też względu Papież, w bulli kanonizacyjnej, stawia go za wzór dzisiejszemu światu naukowemu, błąkającemu się nieraz wśród sprzeczności i wahań.

Dzisiaj oczy świata naukowego zwrócone są znów na średniowiecze, nietylko na myśl religijną tej ogromnej epoki, ale także i na jej myśl filozoficzną i społeczną. Wraca się często do niej po wielu kryzysach, załamaniach i błędach. Bo była to epoka, kiedy czysty rozum, oświecony wiarą, usiłował rozwiązać wszystkie zagadnienia i stworzyć jeden, potężny zwarty system, ów „tomizm", którego ojcem jest właśnie Albert Wielki, a twórcą jego uczeń, św. Tomasz, obaj Dominikanie. O ruchu tym mówi nam dzisiaj przebogata literatura; np. o Albercie Wielkim mamy kilkaset dzieł i rozpraw, mnożących się z każdym dniem, a liczne akademje urządzane są ku jego czci.

Jeśli drogie są nam pamiątki i zabytki z dziedziny sztuki i architektury średniowiecznej, które z taką pieczołowitością przechowujemy i ochraniamy, jako coś niezwykle cennego, to czyż mniej winniśmy czcić ducha wielkich ludzi tej epoki, naukę i formę ich życia? Kto widział katedrę kolońską, staje w niemym podziwie, a przecież wielu przypisuje jej plan właśnie Albertowi Wielkiemu. Ale to tylko słabe odbicie wielkości jego ducha.

Św. Albert Wielki, Doktor Kościoła, przez swoje naukowe dzieła jest wyrazem potęgi średniowiecza wogóle, a myśli scholastycznej w szczególności. Chociaż o wieki całe odbiegliśmy od tych czasów, od torów tamtych umysłowości i wzlotów tamtego ducha, z podziwem patrzymy na tytana wiedzy i pracy, na badacza nieznanych a tajemnych dziedzin przyrody, na niestrudzonego pisarza. Nauka wyniosła go na piedestał, Kościół na swoje ołtarze. Zakon Dominikanów tak silnie związany z Polską, słusznie uważa go za jedną z chlub swoich.

S. M.

Wiljam Horzyca, Włodzimierz Lewik, Mieczysław Lisiewicz, Anna i Jerzy Kowalscy, Stanisław Maykowski, Beata Obertyńska, Andrzej Rybicki, Tymon Terlecki. Bilety do nabycia w kancelarji Kasyna i Koła Lit.-Art.

— **Towarzystwo Geograficzne i Kasyno Literacko - Artystyczne we Lwowie.** We środę dnia 23 listopada 1932. Początek o godz. 19-tej. Prof. dr. Eugenjusz Romer, wygłosi odczyt p. t.: „Ameryka i Amerykanie". Odczyt będzie ilustrowany licznemi przeźroczami. Bilety do nabycia w kancelarii Kasyna i Koła Lit. - Art.

— **Polskie Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika.** We wtorek, dnia 22 listopada b. r., o godz. 18-tej w sali wykł. Instytutu Geologicznego U. J. K. przy ul. Długosza 8, odbędzie się posiedzenie naukowe z referatem prof. dr. Jana Czekanowskiego, p. t.: „Ogólne wyniki badań nad systematyką człowieka". Goście mile widziani.

— **Polskie Towarzystwo Politechniczne** zawiadamia swych członków, że w poniedziałek 21 b. m. punkt. o godz. 18.30 odbędzie się posiedzenie Sekcji mechaników w sali Laboratorjum maszynowego Politechniki przy ul. Ujejskiego 5. Na porządku dziennym referat inż. Samolewicza p. t. O problemie bezkorbowej silniko-sprężarki beztłokowej. Goście wprowadzeni przez członków mile widziani.

— **Sodalicja Marjańska Studentek Uniw. J. K. we Lwowie.** Zebranie ogólne w niedzielę 20 b. m. Msza św. o godz. 8.30. Na zebraniu ks. dr. prof. Klawek wygłosi referat p. t. „Obce wpływy na religijność Starego Testamentu".

—o—

IRENA RUŻYCKA
lekcje śpiewu solowego ulica Dwernickiego 42. 3205

—o—

— **Towarzystwo Naukowe we Lwowie.** Posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego odbędzie się w poniedziałek 21 b. m. o godz. 6 wiecz. w Instytucie Zoologicznym U. J. K. ul. św. Mikołaja 4, z następującym porządkiem dziennym: 1) Prof. Tołłoczko przedstawi pracę własną p. t. O kondenzacji metanu w polu cichych wyładowań elektrycznych. 2) Prof. Żyliński przedstawi pracę własną p. t. O układach d'Alemberta. 3) Prof. Weigl przedstawi pracę własną p. t. Biologja zarazka tytusu meksykańskiego. Po posiedzeniu naukowem odbędzie się posiedzenie administracyjne.

Nieoczekiwane odzyskanie brylantowych kolczyków.

W domu Laury Wurmowej (Gródecka 59), rozwiedzionej żony lekarza, panowało w czerwcu br. wielkie zamieszanie. Umarł jej ojciec i wskutek tego przez mieszkanie jej przewinęło się wiele ludzi. Po pogrzebie Wurmowa zauważyła brak drogocennych kolczyków brylantowych, wartości 300 dol. Zawiadomiła o zgubie policję, która zaraz wszczęła dochodzenia. Złodzieja kolczyków nie znaleziono, podejrzenie tylko padło na sąsiadkę Wurmowej, krawczynię Genię Pfau, która w czasie pogrzebu szczególnie często zachodziła do mieszkania żałoby.

Sprawa kolczyków zdawała się już przegrana, gdy przed kilku dniami policja lwowska otrzymała wiadomość, że kolczyki ma ciotka Pfauowej w Krakowie, gdzie zamierza je sprzedać za 220 dol. Natychmiast wysłano wywiadowcę do Krakowa, gdzie w ostatniej chwili zdołał zapobiec sprzedaży kolczyków. Skonfiskował oczywiście drogocenny łup i przywiózł go do Lwowa, gdzie zwrócono go ucieszonej żonie lekarza.

Kryzysowy hazard w nocnej kawiarni

Wczorajszej nocy Wałami Hetmańskiemi szedł patrol policji śledczej z oficerem na czele. Gdy przechodzono koło ul. Łukasińskiego, oficer polecił jednemu z wywiadowców zajrzadnąć przez okienn ce do wnętrza małej kawiarenki „Muzeum". Jest to znane miejsce zbiorowe złodziejskiego świata. Lokal ten wśród przestępczej elity nosi wymowną nazwę „Wyrywaj".

Wywiadowca zauważył, że wewnątrz lokalu siedzą przy stolikach jacyś goście, mimo, że kawiarnia oficjalnie była już zamknięta. Patrol policyjny wkroczył więc do środka. Na widok wywiadowców goście kawiarniani porwali się w popłochu do ucieczki, ale zagrodzono im drogę. Okazało się, że właśnie „odchodził" hazard. Była to jednak gra wybitnie kryzysowa, tak małemi stawkami operowano. W „banku" było aż 28 zł., przy graczach zaś i ich „kibicach" znaleziono niewiele grosiwa. Całe towarzystwo sprowadzono do Wydziału Śledczego, skąd po spisaniu protokołu puszczono wszystkich wolno, dwóch tylko zatrzymując w areszcie.

—o—

— **Prośba mieszkańców ul. Zamkowej.** Mieszkańcy ul. Zamkowej, po kilku od kilku lat bezskutecznie wnoszonych prośbach do Magistratu, zwracają się za naszem pośrednictwem z gorącym apelem o zainstalowanie możliwie przyzwoitego oświetlenia na tej ulicy, przynajmniej w części stanowiącej przedłużenie ulicy Smerekowej (gdzie jest światło gazowe) do murów klasztoru Bazyljanów.

Potrzeba takiego światła okazuje się koniecznością już nie tyle ze względów estetycznych, ile raczej ze względów bezpieczeństwa, gdyż przy kagańcowym obecnie jej oświetleniu (mamy 2 lampy naftowe) często jesteśmy narażani na napady różnych szumowin ciągle po Zamku wałęsających się, które korzystają z ciemności wiecznie tu panującej. Równocześnie proszą mieszkańcy o zaopiekowanie się tym odcinkiem naszej drogi, która również pozostawia wiele do życzenia, urągając swym wyglądem najprymitywniejszym zasadom higjeny.

— **Zmiana przystanków tramwajowych.** Dyrekcja Miejsk. Kolei Elektr. zawiadamia, iż z dniem dzisiejszym zmienia się przystanki na Placu Ctowym dla linji „1" i „8" jak następuje: Przystanek dla linji „1" w kierunku na Łyczaków naprzeciw bramy Oddziału kablowego i przystanek dla linji „8" w kierunku na Łyczaków w ul. Czarnieckiego znosi się. Na miejsce zniesionych przystanków ustanawia się wspólny przystanek dla linji „1" i „8" w kierunku na Łyczaków obok wysepki u wylotu ul. Łyczakowskiej.

— **Z życia Czechów we Lwowie.** „Czeska Beseda", grupująca czeską kolonję we Lwowie, urządziła przed kilku dniami w salach restauracji Szkowron-Kafka niejako uroczystość z powodu rocznicy czechosłowackiego święta państwowego. Na uroczystości tej p. dr. W. T. Wisłocki, kustosz Ossolineum, prezes Klubu polsko-czechosłowackiego we Lwowie, wygłosił dłuższą i nader zajmującą prelekcję o „Pionierach kultury polskiej w Czechach", podnosząc m. in. zasługi znakomitych polonofilów Sztulca, Jelinka i Kvapila. Zebrani długotrwałemi oklaskami wyrazili prelegentowi uznanie za jego cenny wykład.

—o—

— **Walka z nieoficjalnym nierządem.** Policja przeprowadziła wczoraj w śródmieściu obławę w poszukiwaniu niezarejestrowanych dziewcząt ulicznych.

— **Kradzież brylantów.** Dr. Arnold Herschendorfer (Kościuszki 16) doniósł policji, że ktoś skradł mu z mieszkania 3 pierścionki z brylantami, wartości 1500 zł.

Komu złodzieje ukradli futro?

PRZEGLĄD ODEBRANYCH ZŁODZIEJOM PRZEDMIOTÓW.

Wczoraj policja podczas rewizji u paserów znalazła kilkanaście skór futrzanych. Właściwie były to podbicia płaszczów, oderwano tylko od nich pokrycie i podszewkę, by utrudnić poznanie skradzionych futer. Ci więc, którym w ostatnich czasach pokradziono futra, powinni zgłaszać się w Wydziale śledczym PP. (Kazimierzowska 30, I. p.), gdzie owe skóry oderwane od płaszczów są złożone.

Przed kilku dniami pewien posterunkowy w pociągu do Pustomyt znalazł w jednym z przedziałów leżący na ławce pierścień z brylantem wartości 40 dol. Pierścień ten, którego właściciel jest nieznany, porzucił niewątpliwie złodziej w pociągu, zląkłszy się policjanta.

Budynek po gimn. Królowej Jadwigi przejmuje miasto.

Jak wiadomo niedawno gimnazjum Król. Jadwigi we Lwowie, które mieściło się przez szereg lat w budynku przy ul. Akademickiej, przeniosło się do nowego nowoczesnego gmachu na ul. Potockiego. Wobec opróżnienia budynku przy ul. Akademickiej, powstała kwestja dalszego użycia tego budynku.

Dowiadujemy się, że w łonie czynników rządowych w Warszawie zapadła już zasadnicza decyzja, aby budynek ten oddać na własność gminy m. Lwowa. Zabiegi gminy trwały czas dłuższy, a szereg razy w imieniu miasta interwenjował w Warszawie wiceprez. dr. Stroński. Ostatecznie zapadła decyzja oddania tego budynku miastu w zamian za świadczenia gminy m. Lwowa a mianowicie za udzielenie terenów pod budynki gimnazjum Król. Jadwigi przy ul. Potockiego i gimnazjum przy ul. Dwernickiego.

Jak się dowiadujemy, Magistrat zużytkuje budynek przy ul. Akademickiej na pomieszczenie szeregu biur, pracujących dotychczas w warunkach niehigienicznych i trudnych. M. in. ma być przeniesiony miejski Wydział opieki społecznej, wydział szkolny itd.

POPIERAJMY CELE TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ.

Z TEATRU ROZMAITOŚCI.

Pocałunek przed lustrem.

Sztuka Laszlo Fodora.

Opiera się ta nowa sztuka węgierskiego autora — na dość prymitywnym paraleliźmie. W dwu zaprzyjaźnionych rodzinach dwie wzorowe, „kochane i kochające" żony zdradzają mężów. Jeden z nich odkrywa przypadkiem wiarołomstwo i — przydybawszy żonę w garsonierze kochanka zabija ją. Drugi — adwokat z zawodu i obrońca mordercy — idąc po śladzie jego wyznań, stwierdza to samo. Pocałunek przed lustrem: taki pocałunek, w którym widzi się twarz osoby całowanej, pocałunek odarty z iluzji, z kłamstwa, zdemaskowany w prawdzie — jest motywem, łączącym dwa konflikty uczuciowe. Jest tym motywem, który w sposób szczególny kształtuje stosunek obrońcy do oskarżonego. Dochodzi między nim do pełnego zrozumienia i porozumienia. Obrońca identyfikuje się w losie, znajduje się w tem samem miejscu geograficznem niedoli ludzkiej, co — żonobójca. Jest żonobójcą — możliwym.

I tu zaczyna się dość dziwaczna, dość niezgrabna ekwilibrystyka komediopisarza, który usiłuje się zabawiać analizą psychologiczną. Autor „Dr. Julji Szabo" i „Myszy kościelnej" stawia dość ryzykowną tezę, że niema zbrodni w afekcie, są tylko te, które ktoś określa, jako — „dokonane z premedytacją". Obrońca zasugerował czy udowodnił tę tezę swemu klientowi na nim samym i postępuje w sposób więcej, niż osobliwy. Wbrew przekonaniu chce go uwolnić od winy i kary, a dla siebie obmyśla plan — zgładzenia niewiernej żony po zapadnięciu wyroku. Fodor nie szczędzi nam prób bck wyszukanego sadyzmu męskiego, gdy adwokat broniąc przyjaciela i — siebie skierowuje rewolwer w stronę żony obecnej na sali rozpraw, gdy potem w momencie czytania wyroku zawiesza nad nią wykonanie groźby.

Trzyma rewolwer nad kobiecina, która rozpacza: „poco tyś o tem się dowiedział?..." Te spięcia niby dramatyczne, niby wypełnione treścią uczuciową są tylko — taniemi efektami z rekwizytorni teatralno-obrończej adw. Hoimokla-Ostrowskiego. Wreszcie jego sobowtór z komedji Fodora nie zabije swojej żony. Nie jest nam łaskaw wyjaśnić dlaczego. Mówi tylko jakiś wzniosły frazes o tem, że mężczyźni sami dźwigają swoje niedole i winy. Sztuka robi się prawie manifestacją antyfeministyczną z czerwonemi i odpowiednio głupiemi transparentami. Widzowi sceptycznemu pozostaje tylko jedna supozycja, że instynkt zemsty nasycono w sposób mniej ryzykowny, a bardziej — skuteczny. Adwokatowi zostało jeszcze na dokładkę uczucie łaskawego władcy, który niewolnikowi niewiernemu — darował życie.

Cała problematyka zazdrości seksualnej jest w tej sztuce bardzo dęta i bardzo wczorajsza. Nawet — przedwczorajsza. Jest to zagadnienie może skomplikowane i niedające się rozciąć z miejsca. Trudne do generalizowania. Zdaje się jednak nie ulegać kwestji, że przeżywamy ewolucję w odniesieniu do zazdrości jako — konwenansu obyczajowego i jako przywileju płci. To w tem uczuciu, co gruntowało się na instynkcie posiadania i to, co legitymowało się prawem odwetu — coraz bardziej traci rację bytu. I wogóle te sprawy straciły swą patetyczną grozę. Wydzielenie z nich przez sceptycyzm współczesny średniowieczyzny i romantyki — nie przesądziło oprawda istnienia negatywnego odruchu uczuciowego, ale odebrało mu konwenansowe formy przeciawiania. W miarę wzrostu prawdy, szczerości, intelektualnej i etycznej kontroli wolności obustronnej i tolerancji w stosunkach między płciami — ginie ten zabytek zwyczajowości rycerskiej, która nakazywała zabijać zdrajczynię. Dowcipnie powiedziała mi na premjerze pewna bardzo rozumna kobieta, że jeśli już koniecznie krew ma rozwiązywać te konflikty, należałoby żądać, wprowadzić w prawo zwyczajowe, aby to była krew — zdradzanych, nie zdradzających. Byłaby w tem wyższa. biologiczna konsekwencja, gdyby wychodzili z życia, ci, którzy jego rację stracili, nie ci, którzy ją posiadają.

Sztukę Fodora niezbyt finezyjnie skleconą sposobem fotomontażowym, niezbyt spoistą — reżyserował Wasilewski, usiłując nadać jej tempo, utrzymać napięcie. W wykonaniu aktorskiem Chodecki dał kreację głęboko autentyczną, godną widzenia dla niej samej. Tragiczne akcenty duszy złamanej powikłanej, skłóconej mają zawsze u tego artysty przejmującą grozę prawdy. Marja Malanowicz miała wdzięk duży, ale nie zdołała udowodnić przypisywanego jej przez autora demonizmu. Również Wasilewski w roli adwokata mimo rzetelnego wysiłku nie mógł przełamać nieprawdopodobieństwa postaci. Pogodny duet młodości pięknie odegrali: Bonacka i Pobóg. Pełna wyrazu: Niczewska; dobre epizody: Ratschki i Gołaszewskiego. Dekoracje Rexa dość niejednolite w poziomie i stylu. Najbardziej szczęśliwe te, które operują przejrzystemi, oświetlonemi płaszczyznami.

Jest w tej sztuce: i sensacyjna rozprawa i sala sądowa na widowni i mowa obrońcy i palpitująca chwila oczekiwania wyroku, splatająca się z groźbą nowej zbrodni. I bilety wstępu można dostać — bez trudności. Nawet z udogodnieniami: przez ABO. Należy oczekiwać natłoku bywalców sądowych, żądnych wzruszeń?

Tymon Terlecki.

—o—

Zjazd Powiatowy BBWR. w Dolinie.

W dniu 13 listopada br. odbył się w Dolinie wielki powiatowy Zjazd Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem przy współudziale posłów: dra Wojciechowskiego Bronisława i Wojtowicza Władysława i opiekuna powiatu dra Sokola Kazimierza. W południe odbył się w przepełnionej sali Sokoła wiec, na który w niebywałej dotychczas liczbie (około 600 osób) przybyli przedstawiciele wszystkich klas społecznych, wyznań i narodowości tak z Doliny, jakoteż z powiatu.

Przybyli liczni przedstawiciele urzędów, inteligencji z powiatu, zwłaszcza inżynierów leśnictwa i leśniczych.

Posłowie: dr. Wojciechowski i Wojtowicz, składając sprawozdania poselskie, poruszyli w pięknych i porywających siłą przekonania mowach wszystkie najważniejsze problemy państwowe i społeczne; nieodpartemi argumentami usunęli wątpliwości, sprostowali niektóre jednostronne poglądy i wlali w serca słuchaczy otuchę oraz przeświadczenie, że o ile wysiłkom Rządu dotrzyma kroku karne społeczeństwo, wtedy Państwo musi wyjść zwycięsko z obecnej ciężkiej sytuacji gospodarczej.

Po skończonej dyskusji poseł dr. Wojciechowski podziękował dotychczasowemu prezesowi Rady powiatowej BBWR. p. J. Voelplow', który z powodu objęcia urzędu komisarza miasta w Bolechowie zmuszonym był złożyć godność prezesa, za jego owocną pracę społeczną.

Rezolucję, wyrażającą pełne zaufanie Rządowi i Klubowi parlamentarnemu BBWR., przyjęto jednomyślnie.

Po wiecu spożyto w pięknej sali Kasy Chorych w bardzo miłym i harmonijnym nastroju obiad, w którym uczestniczyli posłowie, starosta powiatowy Czesław Brzostyński, członkowie i mężowie zaufania Rady Pow. BBWR., oraz zaproszeni naczelnicy urzędów — razem około 100 osób.

W czasie obiadu przemawiali: wiceprezes dr. Zabiega, posłowie, starosta powiatowy, A. Rutkowski imieniem Z. S., wójt Czerwoniuk imieniem ludności ruskiej i M. Zwerdling imieniem społeczeństwa żydowskiego.

O godz. 17 otworzył wiceprezes dr. Zabiega posiedzenie pełnej Rady powiatowej BBWR. przy obecności 50 członków, w którem uczestniczył także poseł dr. Sokol K., jako opiekun powiatu.

Po złożeniu sprawozdania z działalności Rady Powiatowej BBWR. przez sekretarza p. Jana Bruno oraz sprawozdania kasowego przez skarbnika p. A. Łagana, wybrano prezydjum Rady Powiatowej BBWR. w następującym składzie: Prezes: inż. Antoni Pawłowski, I. wiceprezes: Albin Zawistowski, II. wiceprezes: dr. Tadeusz Zabiega, sekretarz: Jan Bruno, skarbnik: Eugenjusz Gołębiowski.

Ustępującemu skarbnikowi p. A. Łaganowi podziękował przewodniczący dr. Zabiega za jego ofiarną pracę.

Z kolei wygłosił nowo wybrany prezes Rady Powiatowej BBWR. inż. Antoni Pawłowski interesujący i wszechstronnie opracowany referat pt. „Zadania Bloku Bezpartyjnego w powiecie". W ożywionej dyskusji po referacie najwięcej omawiano sprawę obywatelskiego wychowania młodzieży w duchu państwowym oraz skierowywania dojrzałej młodzieży do „Legjonu Młodych".

Na tem zakończono obrady Zjazdu, który zapoczątkował nowy etap pracy organizacyjnej i społecznej Bezpartyjnego Bloku w powiecie dolińskim.

Śp. prof. M. Christof.

W dniu 18 bm. odbył się pogrzeb śp. prof. Christofa znanego w szerokich kołach Lwowa pedagoga i działacza społecznego. Jako wyraz uznania dla jego prac i zasług były owe tysiączne rzesze starszych i młodzieży, które wzięły udział w ostatniej posłudze. Przy wyprowadzeniu zwłok z krypty kościoła OO. Bernardynów od śpiewał chór Państw. Szkoły ekonomiczno-handlowej „Requiem aeternam", poczem dyrektor dr. K. Sanecki pożegnał w gorących i serdecznych słowach imieniem kolegów i zakładu, w którym śp. Christof przez lat 30 pracował i któremu najlepsze swe siły poświęcił. Mówca podniósł, że w ciągu 30-letniej pracy wychowawczej był śp. Zmarły serdecznym przyjacielem, prawdziwym ojcem młodzieży, której spieszył zawsze z pomocą, a czynił to po cichu i skromnie. Prócz pracy nauczycielskiej zasłużył się śp. Zmarły i w innych dziedzinach. Wiele instytucyj państwowych, banków, spółdzielni zawdzięcza mu uproszczenie administracji i uporządkowanie księgowości. Z licznych prac literackich napisanych po polsku i niemiecku wymienił dyr. Sanecki pracę wydaną w Celowcu „Das Bankwesen, eine volkswirtschaftliche Studie".

Nad otwartą mogiłą przemówili po niemiecku dyrektor ewangelickiego gimnazjum i przedstawiciel klubu sportowego „Vis". Liczne wieńce i kwiaty pokryły świeżą mogiłę.

—o—

Stygmatycy a medycyna współczesna.

Niesłabnące od lat kilku zainteresowanie opinji publicznej stygmatyczką Teresą Neumann z Konnersreuth przybrało znowu na sile na wieść, że Teresa Neumann podda się badaniu klinicznemu na jednym z niemieckich fakultetów lekarskich. Wyników tego badania będzie oczekiwał z niemałem zainteresowaniem świat naukowy. Według danych historycznych liczba stygmatyków znanych w ciągu wieków wynosi ponad 300 osób.

Stygmaty występujące u tej wielkiej liczby stygmatyków były bardzo różnorodne. U jednych zaznaczyły się one jako bóle, trwałe lub ustępujące, bez znaków zewnętrznych, u innych występowały rany, czasami krwawiące, utrzymujące się stale, lub znikające, a czasem zostawiające delikatne blizny. Pierwszym zanotowanym przez historję stygmatykiem był św. Franciszek z Assyżu, u którego stygmaty wystąpiły w 42 roku życia, 17 września 1224 roku. Stygmaty na głowie, rękach i nogach wystąpiły u Niemki, Krystyny von Stumbeln, żyjącej w XIII. w. Do stygmatyków należała Włoszka, św. Katarzyna ze Sjenny (wiek XIV), Holenderka — Lidwina z Schideam (XV w.), Hiszpanka — Joanna z Burgos (XV wiek).

Współczesna medycyna, mimo szacunku, jaki żywi dla niezwykłych, nierzadko świętych postaci stygmatyków, nie cofa się jednak przed naukową analizą zjawisk, stojących niemal na pograniczu cudu, wychodząc z założenia, że dopóki nie zostaną wyczerpane wszelkie stojące dzisiaj do dyspozycji środki badania, dopóty nie będzie można wydać w tej sprawie ostatecznego sądu. Są lekarze, jednostki bardzo nieliczne, którzy sprawę stygmatów sprowadzają do mistyfikacji, są inni, którzy stoją na stanowisku biegunowo przeciwnem, dopatrując się w występowaniu stygmatów cudów; ogromna jednak większość lekarzy zwraca uwagę na pewne wspólne objawy, występujące w życiu wszystkich stygmatyków i na ich podstawie snują oni szereg przypuszczeń. Takim charakterystycznym szczegółem jest zachowywanie przez stygmatyków długo trwałych postów, a nawet głodówek. Wiadomo z doświadczenia, że u ludzi długo poszczących lub wogóle nie przyjmujących pokarmów, występują po pewnym czasie objawy samozatrucia, a dalej inne rozmieszczenie krwi w organizmie, kruchość naczyń krwionośnych i łatwe ich pękanie, stąd łatwe powstawanie krwawień. Posty, względnie głodówki stygmatyków byłyby więc czynnikiem usposabiającym do zjawiania się stygmatów. Oprócz tego czynnika wysuwane są również inne przypuszczenia, tyczące się zwłaszcza systemu nerwowego.

W badaniu Teresy Neumann, które przeprowadzone zostanie w najbliższym czasie, zastosują lekarze w myśl tych zasad wszelkie metody analizy, nie wyłączając promieni Roentgena.

ak.

Poprzednicy wielkich wynalazców.

Przysłowie: „nic nowego pod słońcem" nie może być chyba w stosunku do żadnej dziedziny tak trafnie użyte, jak w odniesieniu do historji kultury ludzkości, a mianowicie wynalazków technicznych. Kiedy ja dokładnie studjujemy, okazuje się, że rozmaite wynalazki występowały już w tej czy innej formie w czasach minionych, znajdując mniejsze lub większe zastosowanie.

Druga połowa wieku XIX. stoi pod znakiem pojazdów bez koni, które całkowicie zrewolucjonizowały życie miast, nadając mu inny charakter. Jednakże historja mówi, że już w II. stuleciu po Chr. ces. rzymski Commodus posiadał wehikuł bez zaprzęgu, poruszany zapomocą skomplikowanego mechanizmu kołowego. W starożytnej Aleksandrji zbudowano nawet wóz po pędzany parą, który był protoplastą naszej lokomotywy.

Drugą zdobyczą techniki, którą chlubi się cywilizacja naszych czasów — to opanowanie sfer powietrznych. Jest to jednak nowość o tyle tylko, o ile chodzi o wydoskonalenie wynalazku do tego stopnia, by mógł on służyć w szerokiej mierze celom praktycznym. Natomiast w XIII. w. uczony mnich Roger Bacon wykonał model aparatu lotniczego, który wznosił się w powietrze nie zapomocą motoru, lecz przy użyciu siły fizycznej lotnika. Nad tym samym projektem łamał sobie głowę nieco później Leonardo da Vinci, jednakże praktycznych rezultatów nie uzyskał.

Wynalazek szyn pochodzi, jak twierdzi ogólnie uznana historja cywilizacji, z r. 1793 i jest zasługą angielskiego inżyniera Utrama. Zapomniano bowiem, że w starożytnych Atenach istniały już szyny żelazne, a w wiekach średnich skonstruowano w Alpach zwrotnicę w celu przesuwania wozów na inny tor. Podręczniki szkolne powiadają, że wynalazca gromochronu jest Franklin. A jednak za panowania Ramzesa III., 1500 lat przed Chrystusem strzegły bram Teb przed piorunami przewodniki elektryczności.

W Aleksandrji jeszcze przed inwazją rzymską istniały automaty, z których po wrzuceniu pewnej monety wypływała kurkiem określona ilość wody. Na wyspie Krecie na 10 tysięcy lat przed Chr. zaopatrywały pałace w wodę wspaniałe wodociągi, jakich nie jedno dzisiejsze miasto mogłoby pozazdrościć.

Grecki astronom Aristarch wpadł w III. stuleciu przed Chr. na ideę, na której Kopernik oparł swoją teorję o obrotach ciał niebieskich; zabrakło mu wprawdzie odwagi, by ją opublikować, jednakże rękopisy jego zachowały się do dni dzisiejszych. Dwa wynalazki wielkiego Edisona — żarówka elektryczna i gramofon — zrodziły się przedtem w głowach Anglika Grove i Francuza Crosse, jednakże francuska akademja umiejętności nie chciała im poświęcić dość uwagi.

Przedhistoryczne wykopaliska dowodzą, że przed 15.000 lat dokonywała chirurgja operacyj czaszki. System krążenia krwi znany był na 2 tysiące lat przed jego odkrywcą Gallenem, po wojnach punickich używano proteż, a egipscy lekarze stosowali narkozę.

Cywilizacja świata postępowałaby niezawodnie żywszem tempem, gdyby wszystkie odkrycia i wynalazki bywały w porę zużytkowane. Niestety ludzkość wiele zapomina, wiele zatraca przez niedocenianie twórczych myśli, a często i sam wynalazca nie może znaleźć drogi do praktycznego ich zastosowania.

Kurs wychowawczy dla 50 nauczycieli w Rzeszowie.

W poniedziałek 21 b. m. otwarty bę dzie w Rzeszowie 10- dniowy kurs wychowawczy dla 50 nauczycieli z zachodniej części Kuratorium lwowskiego. W otwarciu kursu weźmie udział kurator Gadomski, delegat Ministerswa W. R. i O. P. nacz. Gałecki, naczelnik Jus i inni. Kurs prowadzony będzie w II. gimn. państw. w Rzeszowie.

Z SALI SĄDOWEJ.

Potworny mord na Zniesieniu.

TRZECI DZIEŃ ROZPRAWY O ZAMORDOWANIE RODZINY GRUBERÓW.

W czasie wczorajszej rozprawy przeciwko trzem oskarżonym o potrójny mord na Zniesieniu zdarzył się niezwykły incydent. Obrońca dr. Taenzer, który nie przybył na rozprawę, został wezwany telefonicznie i obciążony grzywną w wysokości 50 zł. za spóźnienie. Występował on dotychczas jako zastępca dr. Szewczuka, który wyjechał jako obrońca na sąd doraźny w Jaworowie. Następnie dopuszczono do ławy obrońców dr. Szewczuka.

Jako świadkowie zeznawali A. Majchrowicz aspirant straży więziennej w Przemyślu, dozorca „Brygidek" Kazimierz Mocr. Wł. Kuszlik funcjonariusz brygady bandyckiej Wydziału śledczego, kom. Szwarc b. kier. Wydz. śled., wywiadowca policji Rysiecki. Zeznali oni, że Figurski przyznał się do zbrodni, a nawet dokładnie opisał wygląd i wymiary młotka, którym jej dokonał. Świadkowie zaprzeczyli, jakoby oskarżony miał być bity.

Figurski, skonfrontowany ze świadkami, zaprzeczył ich zeznaniom.

Zeznawali następnie sublokatorzy Mikulaka — Leon i Karolina Dolińscy. Opowiedzieli oni o przebiegu wigilji. Zeznania ich nie zgadzały się z tem, co mówili w śledztwie, i mocno obciążały Figurskiego. Dolińska stwierdziła, że pokazany jej grzebień widziała u Mikulaka, a rękawiczki u Piwonia.

Również obciążające były zeznania św. Prochackiego, z którym oskarżeni wszczęli kłótnię w sali sądowej.

Św. wywiadowca Jan Hirny opisał miejsce zbrodni i stwierdził, że Figurski przyznał się do niej po aresztowaniu go.

Dalszy ciąg rozprawy w poniedziałek o godz. 9 rano.

+ 22 miljony bezrobotnych na całym świecie. Międzynarodowe Biuro Pracy stwierdziło na podstawie obliczeń, iż ogółem cyfra bezrobotnych na całym świecie wynosi obecnie 22 miljony osób obojga płci. Pierwsze miejsce zajmują pod tym względem Stany Zjednoczone z 11.4 milj. bezrobotnych, drugie — Niemcy z 5,3 milj., trzecie — W. Brytanja z 3 miljonami. Francja posiada tylko 300.000 bezrobotnych, Czechosłowacja — około 500.000, mała Austrja zaś — 266.000.

Kultura ciała.

Brzydota i choroba — to wyraźne znaki przekroczenia praw przyrody i higjeny. Każda kobieta, nawet zawodowo pracująca i żyjąca w ograniczonych i trudnych warunkach rodzinnych, lub finansowych, może i powinna dbać o kulturę ciała i zachowanie zdrowia. Zdrowie zapewnia niezrównany blask oczu, świeżość cery, naturalny karmin warg, zdrowe zęby — pogodny humor. Brak zdrowia gasi spojrzenie, sprowadza żółtą cerę, niszczy włosy i zęby. Do niedawna uważano wszelkie choroby za zło nieuniknione i dopiero w razie zachorowania stosowano środki obronne z całym zapasem różnej wartości lekarstw i zabiegów. Dzisiaj zaś dzięki postępom higjeny, możemy zapobiegać samym przyczynom chorób.

Po przykłady nie potrzeba daleko sięgać, ponieważ pożywienie, odzież, i t. d. nastręcza ich mnóstwo. Tak więc, naprzykład, wszyscy już wiemy, jak dużym wykroczeniem przeciwko higjenie jest palenie papierosów, zwanych „szwarcówkami". A niemożna tutaj pominąć nulczeniem faktu, że niedawno jeszcze nasze panie pyszniły się szwarcówkami w kolorowych gilzach, które można było dobierać nawet do koloru sukni. Na szczęście szybko ta moda minęła, ponieważ panie się zorientowały, że „szwarcówki" te, t. j. papierosy niemonopolowego pochodzenia są groźnymi rozsadnikami najgorszych chorób.

Na tę ich straszliwą wadę wpływa okoliczność, że wyrabiane są one ręcznie z całkowitem pominięciem najprostszych nakazów higjeny. Brudne, mokre od potu ręce, nigdy nie myty stół, zapowietrzona izba — oto najczęstsze akcesorja produkcji „szwarcówek". Dodajmy do tego obrzydliwy zwyczaj zwilżania papierosów śliną, co ma je zabezpieczyć przed wysypywaniem się tytoniu, a mamy mniej więcej kompletny obraz tej fabrykacji. Toteż nie należy się dziwić, że papierosy te zawierają mnóstwo bakteryj zakaźnych, grożących lekkomyślnym konsumentom utratą zdrowia.

Oto jeszcze jedna przyczyna, która „gasi spojrzenie, sprowadza żółtą cerę, niszczy włosy i zęby".

M. M.

Biuro badań kosztów.

Celem systematycznego i ciągłego badania kosztów własnych przewozów na P. K. P. utworzona została przy Ministerstwie Komunikacji komisja badania kosztów własnych. Obrachunek kosztów własnych komisja prowadzić będzie według systemu opracowanego przez inż. Adama Krzyżanowskiego, który jest jednocześnie przewodniczącym tej komisji. Prace ... są już w pełni.

Notowania giełdowe.

TYGODNIOWY PRZEGLĄD GIEŁDOWY.

Lwów, 19 listopada 1932.

Obroty w walutach i dewizach nadal skromne, służą do pokrycia lokalnego zapotrzebowania. Notowano przeciętnie: dolar 8.89'75, N. Jork 8.91'60, Londyn 29.40, Berlin 211.75, Paryż 34.97, Zurych 171.70, Wiedeń 105.

Papiery państwowe były częściowo poszukiwane, przy silniejszej tendencji. Zwłaszcza kupowano liczniej dolarówkę (powyżej 51 zł.) i inwestycyjną (około 100 zł.). Pozatem płacono za: pożyczkę budowlaną około 40 zł., konwersyjną 42 zł., 6 prc. dolarową zł. 58.

Dla papierów dywidendowych zupełny brak zainteresowania. Ogólną niechęć do zakupna papierów dywidendowych powodują uchwały niektórych zarządów spółek akcyjnych, które wprowadzają stopniowo w modę uchwalanie dywidendy w pewnej wysokości z późniejszym, często bliżej nieokreślonym terminem płatności. W praktyce więc tego rodzaju lokata kapitału nie przynosi żadnych zgoła korzyści, albowiem wprawdzie ceduła giełdowa podaje w rubryce „dywidenda" wysokość uchwalonej stawki, ale z dosyć problematyczną gwarancją wypłaty tejże. W interesie więc samych spółek akcyjnych leży porzucenie dotychczasowego, nie bardzo zachęcającego systemu.

Na Giełdzie zbożowej zakupywano jedynie żyto i owies dla Intendentur wojskowych. Pozatem ruch bardzo słaby. Ceny utrzymywały się przeważnie na niezmienionym poziomie i wynosiły z końcem tygodnia za 100 kg loco Lwów: pszenica 740 g/l 27.75—28.25, dworska standartowa 26.25—26.75, zbiorowa 24.75—25.25, żyto jednolite 17.25—17.75, zbiorowe 16.25—16.75, owies dworski biały 18.75—19.25, dworski zadeszczony 17.50—18, zbiorowy zadeszczony 16.50—17, mąka pszenna luksusowa 50—51, 50 prc. „00" 49—49.50, żytnia 55 prc. 30.50—31, otręby pszenne 9.9.50, żytnie 7—7.50.

Z artykułów eksportowych interesowano się w dalszym ciągu fasolą, przy nieznacznych wahaniach cen.

Naogół usposobienie w handlu zbożowym spokojne; tendencja dla wszystkich artykułów utrzymana. **E. T.**

GIEŁDA WARSZAWSKA.

(Telefonem od naszego korespondenta.)

Warszawa, 19 listopada. (G)

Dewizy (transakcje):

Belgja 123.69, Londyn 29.34—29.30 Nowy Jork kabel 8.923, Paryż 34.95 Praga 26.40, Szwajcarja 171.60, Gdańsk 173.35, Włochy 45.70.

Obroty mniejsze, tendencja niejednolita. Banknoty dolarowe w obrotach pozagiełdowych 8.903. Rubel złoty 4.61—4.60'50. Marki niemieckie banknoty w obrotach prywatnych 211.40—211.35.

Papiery procentowe:

5 prc. pożyczka konwersyjna 41, 6 prc. poż. dolarowa 57.25—57.50 7 prc. poż. stabilizacyjna 55.13—55.75—55.25, 7 prc. listy zastawne BGK 83.25, 7 prc. obligacje BGK 83.25, 7 prc. listy Banku Rolnego 83.25, 7 prc. listy zast ziem. dolarowe 49, 8 prc. listy zast. m. Warszawy 57.25—57.50—57.25, 8 prc. listy zast. BGK 94 (161.68), 8 prc. obligacje BGK 94, 8 prc. listy zast. Banku Rolnego 94. Bank Polski 89—88.25

Tendencja dla pożyczek państwowych słabsza, dla listów zastawnych przeważnie mocniejsza. Obroty papierami procentowemi bardzo małe, obroty akcjami minimalne.

Konkurs na najpiękniejsze tango.

Dyrekcja teatru „Morskie Oko" ogłosiła konkurs na najpiękniejsze tango sezonu 1932-33. Z pomiędzy nadesłanych na konkurs utworów dyrekcja teatru zakwalifikuje trzy najlepsze tanga, poczem odbędzie się plebiscyt publiczności. Wyróżnione tanga wykonywane będą codziennie w następnej rewji „Morskiego Oka", publiczność zaś głosować będzie przy pomocy kuponów, dołączanych do biletów wejścia.

Utwór, który uzyska największą ilość głosów, otrzyma nagrodę w wysokości zł. 300. Niezależnie od tego nagrodzone tango wystawione będzie na scenie „Morskiego Oka" oraz wydane w nutach i nagrane na płytach. Termin nadsyłania kompozycyj upływa z dniem 1 grudnia br. Kompozytorzy polscy, pragnący wziąć udział w konkursie, powinni przesłać swe utwory, opatrzone godłem, do dyrekcji „Morskiego Oka" (Warszawa, Jasna nr. 3); w zamkniętej kopercie, opatrzonej temsamem godłem załączyć należy imię i nazwisko, oraz adres kompozytora.

Harcerska konferencja żeglarska.

W najbliższym czasie odbędzie się w Warszawie 5-ta harcerska konferencja żeglarska.

Na konferencji tej omówione zostaną dotychczasowe prace drużyn żeglarskich, oraz program harcerstwa żeglarskiego na najbliższy okres.

Żeglarskie jednostki harcerskie (drużyny lub zastępy) poza zwykłemi dziedzinami pracy harcerskiej uprawiają również sporty wodne, jak żeglarstwo, wioślarstwo i pływanie. W ciągu ostatnich dwóch lat harcerstwo wodne w Polsce rozszerzyło znacznie zakres swej działalności. Podczas gdy w roku 1930 liczyło ono tylko 400 harcerzy, obecnie mamy w Polsce około 4.000 harcerzy wodnych, zgrupowanych w 120-tu jednostkach.

Dwa nowe czasopisma lwowskie.

„Rodzina Wojskowa". Lwowskie Koło Rodziny Wojskowej pod wpływem potrzeby zadzierzgnięcia silniejszych węzłów pomiędzy swemi członkiniami, wykazało w obecnych kryzysowych czasach wielki wysiłek twórczy, podejmując własne wydawnictwo — miesięcznik p. t.: „Rodzina Wojskowa". Pismo to jest na zewnątrz wykładnikiem celów i dążeń zrzeszenia żon wojskowych polskich, wskaźnikiem intenzywności poczynań towarzystwa, jakoteż probierzem zdolności organizatorskich członkiń, gdyż stanęło o własnych zasobach i siłach tak materjalnych, jak i autorskich. Zasięgiem swych zainteresowań obejmuje nowy miesięcznik całokształt życia społecznego i politycznego widziany literackiem okiem swych członkiń, który wypełniają jego łamy dowodami przemyślań wszystkich kwestyj, jakie nastręcza bieg życia. W kierunku społecznym pismo propaguje ideały postępowe — poprawy warunków bytu ludzkości — w kierunku politycznym jest ponadpartyjne i stawia nadewszystko interes Państwa i silnego rządu.

Oba numery pisma, październikowy i listopadowy, które już opuściły prasę drukarską, samym swym wyglądem nader estetycznym dają chlubne świadectwo kobiecej pracy redaktorskiej i są odbiciem zdarzeń i myśli regjonalnej. Witamy z radością to nowe wydawnictwo, jako dowód wielkiej żywotności „Rodziny Wojskowej" i niezmordowanej działalności jej przewodniczącej generałowej Popowiczowej. Prze zwyciężywszy bierność kobiecą, wystąpiło pismo na szerszą arenę, stanowiąc nastawieniem swem ujęciem problemów, także atrakcję dla ogółu kobiecego, pozbawionego miejscowego pisma kulturalnego kobiecego, odkąd „Świat Kobiecy", mimo sukcesów moralnych z powodów materjalnych zawiesił swe wydawnictwo.

„Kultura Lwowa", miesięcznik poświęcony życiu, kulturze i sztuce. Tom I., zeszyt I., październik 1932. Pod redakcją dr. Kazimierza Lewandowskiego i kierownictwem artystycznem prof. Antoniego Markowskiego ukazał się pierwszy zeszycik osobliwego pisemka. Tytuł piękny, niezaprzeczenie i wykwintna szata zewnętrzna pozwalają jednak spodziewać się po niem czegoś więcej, niż mętnie i bezładnie choć z wigorem napisanego artykułu krytycznego na temat projektu pomnika Słowackiego we Lwowie, humorystycznego wierszyka Libicocco: „Niemcy o Polsce", tłumaczenie na język włoski i niemiecki Słowackiego: „Smutno mi Boże", historji zakładu św. Łazarza i soczystych w doborze wyrazów utyskiwań na panieńską ortografję... Czegoś, co mogłoby istotnie reprezentować kulturę Lwowa. Sympatycznie wyróżnia się głęboki i silny w wyrazie wiersz Józefa Jedlicza „Śmierć sąsiadka". Przeplata tekst kilka ilustracyj, niezbyt szczęśliwie dobranych, z zakładem św. Łazarza na karcie tytułowej. **(m)**

Program radjowy.

Niedziela, 20 listopada.

Lwów. (381). Godz. 10: Trans. z kościoła OO. Dominikanów, uroczystej sumy celebrowanej przez J. E. arc. Bol. Twardowskiego. Kazanie wygłosi ks. major Bombas. 11'45: Muzyka z płyt gramof. 11'58: Sygnał czasu z Obserwatorjum Astronomicznego w Warszawie, hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie. 12'10: Urz. kom. Państwowego Instyt. Meteor. 12'15: Poranek symfoniczny z Filharmonji Warsz., poświęcony twórczości Piotra Czajkowskiego, w wyk. orkiestry filharmonicznej. 14: „Porady weterynaryjne" wygł. prof. L. Dobrzański. 14'20: Pieśni ludowe w wyk. kwartetu wokalnego z orkiestrą, pod dyr. Tadeusza Seredyńskiego. 14'40: Odczyt: „O dzierżawach małorolnych" wygł. inż. W. Chmielecki. 15: Pieśni ludowe. 16: Program dla młodzieży: a) „Co się dzieje na świecie", b) „Pierwsza wyprawa Samby" opowiadanie p. K. Giżyckiego. 16.25: Muzyka z płyt gramof. 16.35: Skrzynka dla chorych ks. M. Rękasa. 16.45: „Kącik językowy" prelegent prof. S. Słoński. 17: Koncert solistów. W przerwie: „Opieka nad dzieckiem" wygł. prof. K. Króliński. 17.55: Odczytanie programu na dzień następny. 18: Muzyka lekka z Kaw. Ziemiańskiej. W przerwie: Transm. z auli Uniwersytetu J. K. Akademja ku czci św. Alberta Wielkiego z Zakonu OO. Dominikanów. 19.05: Rozmaitości i płyty gramof. 19.25: Słuchowisko: „Marcowy kawaler" Józefa Blizińskiego. 20—20.40: Recital śpiewaczy Liny Llubera-Prokofieff. 20.40: Transm. z Wiednia: „Mistrzowie operetki wiedeńskiej". W przerwie: Wiadomości sportowe. 22.45: Muzyka lekka i taneczna z „Bagateli" we Lwowie. 22.55: Komunikaty. 23—24: Muzyka taneczna z „Bagateli" we Lwowie.

Poniedziałek, 21 listopada.

Lwów. (381). Godz. 11'40: Codzienny Przegląd Prasy Polskiej. 11'50: Komunikat meteor. Gł. Wojsk. St. Meteor. dla komunikacji lotniczej. 11'58: Sygnał czasu z Obserwatorjum Astronom. w Warszawie, hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie. 12'10: Muzyka z płyt gramofonowych. 13'20: Urz. Kom. Państw. Instyt. Meteor. 13'25–15'40: Przerwa. 15'40: Komunikat gospodarczy. 15'50: Muzyka z płyt gramofonwych. 16: „O ginących zabytkach Lwowa" wygł. inż. Markowski. 16'15: Lekcja języka francuskiego (kurs elementarny). 16'30: Muzyka z płyt gramof. 16'40: „Co widzą oczy nasze w świecie, a czego widzieć nie mogą?" wygł. p. J. Wojnicz-Sianożęcki. 17: Utwory fortepianowe Apolinarego Szeluty w wyk. kompozytora. W przerwie koncertu: „Orlęta lwowskie" w opr. cioci Ady. 17'55: Odczytanie programu na dzień następny. 18: Muzyka lekka z kaw. „Italia". „Stary kawaler na cenzurowanem", wygłosi p. Konstancja Hojnacka. 19: „Kolorowy cud" (rzecz o twórczości Zofji Stryjeńskiej", z okazji wystawy jej prac) wygł. p. St. Machniewicz. 19'15: Rozmaitości. 19'30: „Na widnokręgu". 19'45: Prasowy Dziennik Radjowy. 20: Opera z płyt „Carmen", G. Bizeta, w wyk. zespołu Opery paryskiej. W przerwie: Wiadomości sportowe i dod. do Pras. Dziennika Radj. 22'30: Trzy pytajniki (???), w opr. p. Mariusza Nowiny. 22'45: Komunikaty. 22'50—24: Muzyka taneczna z Warszawy.

Z wystawy fotograficznej.

Komitet VI. Międzynarodowego Salonu Fotograficznego we Lwowie obliczył wyniki plebiscytu, którego celem było wyznaczenie najcelniejszych prac tegorocznego Salonu. Na pierwszych 10 miejscach uplasowały się fotogramy nr.: 131, 135, 57, 68, 77, 158, 27, 172, 106 i 115. Wyniki plebiscytu uwidocznił Sekretarjat Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych na wystawie.

—o—

SKŁADAJCIE DATKI NA GIMNAZJUM POLSKIE W BYTOMIU

Ogłoszenia urzędowe.

LICYTACJE

E. II. 1743/31. — Edykt licytacyjny oraz wezwanie do zgłoszenia wierzytelności. Strona zobowiązana Janina Klimowiczowa, niel. Mieczysław Józef i Adam Marjan Klimowicz we Lwowie, Piekarska 53, 2 i e przez Kuratora Albina Chmielewskiego. Na wniosek Galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie przez Adw. Pokornego strony egzekwującej odbędzie się dnia 21 grudnia 1932, o godz. 9-tej przed południem w biurze Nr. II., na zasadzie zatwierdzonych warunków licytacja następujących realności: księga gruntowa dziel. IV. gminy Lwowa whl. 313. Oznaczenie realności kamienica jednopiętrowa, mieszkalno-czynszowa, położona przy ul. Piekarskiej 53. Wartość szacunkowa wraz z przynależ. 114.200 zł. Najniższa oferta 57.100 zł. Do realności whl. 313 dz. IV. ks. gr. gminy Lwowa należą następujące przynależności: 22 sztuk okien, 6 krat okiennych, 3 drzwi, 4 muszle wodociągowe, 1 wanna, 1 piec łazienkowy, 12 lamp zniszczonych, 1 studnia pompowa, 1 krata kanałowa, drzewko jabłoni, płacząca akacja i 9 krzewów róż oszacowane na 1.900 zł. Poniżej najniższej oferty sprzedaż nie nastąpi.

Sąd Grodzki, miejski Oddział II. 6448-3
Lwów, dnia 12 października 1932.

E. II. 9683/31. Edykt licytacyjny oraz wezwanie do zgłoszenia wierzytelności. Strona zobowiązana Cyla Meiseles we Lwowie, Łokietka 16. Na wniosek Miejskiej Komunalnej Kasy Oszczędności we Lwowie strony egzekwującej przez adwokata dra Bronisława Ostaszewskiego, Lwów, Rutowskiego 7, odbędzie się dnia 21 grudnia 1932, o godz. 11 przed południem w biurze Nr. II., na zasadzie już zatwierdzonych warunków licytacja następujących realności: Księga gruntowa O III. dz. gm. m. Lwowa whl. 1002. Oznaczenie realności: dwa domy mieszkalne parterowe, położone przy ul. Granicznej 11 A., Łokietka 16. Wartość szacunkowa wraz z przynależ. 39.560 zł. Najniższa oferta 19.780 zł. Do realności whl. 1002 ks. grunt. III. gm. Lwowa należą następujące przynależności: 10.1. mb. parkanu 2 m. wysokiego zbitego z desek, brama, 3 komórki kuchenne, 11 okien wewnętrznych 4-ro skrzydłowych i dwie kraty okienne, oszacowane na 493 zł. Poniżej najniższej oferty sprzedaż nie nastąpi. 6449-3

Sąd Grodzki, miejski Oddział II.,
Lwów, dnia 11 października 1932.

E. 8710/31/5. Edykt licytacyjny. Dnia 21 grudnia 1932, godzina 9 rano, odbędzie się w podpisanym Sądzie, biuro 51, licytacja jedynastu sześćdziesiąt czwartych części realności whl. 374, gminy Dawidkowce. Cena szacunkowa 483 zł. 82 gr. Najniższa oferta 323 zł. Warunki do przejrzenia w Sądzie.

Sąd Grodzki, Oddział V.
Czortków, 20 października 1932. 6476

E. 8974/31/9. Edykt licytacyjny. Dnia 21 grudnia 1932, godzina 9 rano, odbędzie się w podpisanym Sądzie, biuro 51, licytacja realności whl. 854, gminy Romaszówka. Cena szacunkowa 534 zł. Najniższa oferta 356 zł. Warunki do przejrzenia w Sądzie.

Sąd Grodzki, Oddział V.
Czortków, 19 października 1932. 6477

E. 1611/31. Edykt licytacyjny i wezwanie do zgłoszenia wierzytelności. Na wniosek 1) Dmytra Milana, 2) Dmytra Gimona w Moszczańcu, odbędzie się dnia 20 grudnia 1932, o godzinie 9 rano, w tutejszym Sądzie licytacja realności whl. 26 księgi gruntowej, gminy Moszczaniec objętej. Wartość szacunkowa wynosi 8673 zł., najniższa zaś oferta 5.782 zł. Rzeczowo uprawnieni do powyższej realności mają swe prawa zgłosić najpóźniej w dniu licytacji pod rygorem ich pominięcia. 6478

Sąd Grodzki, Oddział II.
Bukowsko, dnia 27 października 1932 r.

E. 7057/30. Edykt licytacyjny. Dnia 21 grudnia 1932, o godz. 9, w biurze Nr. 19, odbędzie się licytacja realności obj. whl. 3698 ks. gr. gminy Horodenka, o wartości szacunkowej 3.545 zł. Najniższa oferta wynosi 1.964 zł. 16 gr., poniżej której sprzedaż nie nastąpi.

Sąd Grodzki, Oddział IV.
Horodenka, dnia 17 listopada 1932. 6479

E. 1503/32. Edykt licytacyjny. Dnia 23 grudnia 1932, o godz. 10, w biurze Nr. 19, odbędzie się licytacja realności brak. obj. whl. 146, o wartości szacunkowej 1.083 zł. Najniższa oferta wynosi kwotę 700 zł., poniżej której sprzedaż nie nastąpi. 6480

Sąd Grodzki, Oddział IV.
Horodenka, dnia 25 października 1932.

E. 2534/30. Edykt licytacyjny oraz wezwanie do zgłoszenia wierzytelności. Na wniosek Józefy Grychowskiej z Leżajska odbędzie się dnia 20 grudnia 1932, godzina 9 rano, biuro Nr. 17, licytacja całej realności lwh. 1968, oszacowanej na 2.560 zł., oraz 1/4 lwh. 1969, oszacowanej na 125 zł., obie gminy Grodzisko dolne. Najniższa oferta 1790 zł. Poniżej najniższej oferty sprzedaż nie nastąpi.

Sąd Grodzki, Oddział III.
Leżajsk, 17 listopada 1932. 6481

E. 10744/31/6. Edykt licytacyjny. Dnia 30 grudnia 1932 godzina 9 rano odbędzie się w podpisanym Sądzie biuro 51 licytacja realności whl. 55 gminy Jagielnica stara, ocenionej na 630 zł. Najniższa oferta 420 zł. Warunki do przejrzenia w Sądzie.

Sąd Grodzki Oddział V.
Czortków, 22 września 1932. 6485

E. 8696/31/6. Edykt licytacyjny. Dnia 30 grudnia 1932 godzina 9 rano odbędzie się w podpisanym Sądzie biuro 51 licytacja realności whl. 1149 gminy Polowce, ocenionej na 735 zł. Najniższa oferta 490 zł. Warunki do przejrzenia w Sądzie.

Sąd Grodzki Oddział V.
Czortków, 19 października 1932. 6486

E. 4813/30. W sprawie egzekucyjnej inż. Filipa Zilza w Krakowie przeciw Jetti Jakób w Muszynie odbędzie się dnia 30 grudnia 1932 godz. 9-ta w Sądzie Grodzkim w Muszynie licytacja 7/8 części realności lwh. 10 gm. Muszyna. Wartość szacunkowa 12.324 zł. 39 gr. Najniższa oferta 6.162 zł. 20 gr. Warunki licytacyjne można przejrzeć przed licytacją w Sądzie. 6487

Sąd Grodzki Oddział IV.
Muszyna, dnia 20 października 1932.

E. 1672/31. Edykt licytacyjny. Dnia 22 grudnia 1932 o godz. 12 w południe w biurze Nr. 62 odbędzie się licytacja 5/8 części realności lwh. 277 ks. gr. gm. kat. Kraków—Podgórze, składającej się z parceli budowlanej lk. 257. Na realności tej stoi dom piętrowy z oficynami przy ul. Lwowskiej l. 7. Wartość szacunkowa wynosi zł. 57.270 gr. 63. Najniższa oferta zł. 28/35 gr. 82. Warunki licytacyjne i inne dokumenty można przeglądać w tut. Sądzie w godzinach urzędowych biuro Nr. 66.

Sąd Grodzki na Podgórzu w Krakowie. 6488
dnia 14 listopada 1932.

E. XI. 2268/31. Edykt licytacyjny. Dnia 30 listopada 1932 o godz. 8.30 rano w tut. Sądzie biuro Nr. 26 odbędzie się licytacja całej real. whl. 449 i 1/4 części whl. 602 gm. Kropiwnik, wartości szacunkowej 2292 zł., najniższa oferta 1528 zł., poniżej której sprzedaż nie nastąpi.

Sąd Grodzki O. XI.
Kałusz, dnia 26 września 1932 6490

AMORTYZACJE.

1. Nc. 421/32/2. Wzywa się posiadacza zaginionego weksla, płatnego w Oświęcimiu 2 maja 1932 na 147 zł. 30 gr. opiewającego, przez Władysława Olszewskiego wystawionego, przez Henryka Natowicza żyrowanego, by okazał Sądowi weksel do dnia 25 grudnia 1932, inaczej Sąd uzna weksel za umorzony.

Oświęcim, dnia 17 listopada 1932. 6489

UPADŁOŚCI

Sa 55/32. Edykt ugodowy. Otwarcie postępowania ugodowego do majątku Anny i Ludwika Henryka Opper oraz do zarejestrowanej firmy Leon Opper w Złoczowie. Komisarz ugodowy S. S. O. Jakób Dywer w Złoczowie. Zarządca ugodowy Dr. Gustaw Katz, adw. w Złoczowie. Audjencja do zawarcia ugody w Sądzie Okręgowym w Złoczowie, dnia 14 grudnia 1932, o godz. 10 rano. Czasokres do zgłoszenia wierzytelności do 29 listopada 1932. w Sądzie Okręgowym w Złoczowie.

Sąd Okręgowy
Złoczów, dnia 3 listopada 1932. 6482

Odpowiedzialny redaktor: Julian Bernadiuk.

Z drukarni „Słowa Polskiego". Lwów ul. Zimorowicza 15.

A. DONALD.

Krew, dynamit i miłość.

17)

Powieść strasznie sensacyjna.

Na ukłon sierżanta odpowiedział cichem „dobrywieczór“ i poprosił Lufę, by usiadł.

— Przeszkodziłem panu doktorowi w czytaniu jakiejś książki medycznej? — zapytał sierżant, robiąc niewinną, proszącą o wybaczenie, minę. Był to z jego strony szelmowski chwyt: wszak już w pierwszej chwili bystrym wzrokiem odkrył, iż książka, którą doktór trzyma w bladej ręce ma okładkę, ozdobioną postacią nagiej kobiety z napisem u góry: „Pittigrilli“ i „Kokaina“ u dołu.

Lekarz drgnął, poczerwieniał, zmieszał się i zaczął tłumaczyć:

— Czytam te ohydne wytwory niegodziwych ludzi, którzy z swego chorobliwego wyuzdania czynią towar rynkowy, aby żerować na zgniliźnie moralnej...

Mówił powoli, Lufie zdawało się, że lękliwie.

— Nam, lekarzom ciał, należy znać i choroby duszy błądzącej trzody ludzkiej, gdyż nie znając nieraz choroby duszy, nie możemy uleczyć ciała; aby zło zwalczyć, musimy je wpierw poznać, to też czytam te wypociny psychopatów — powiedział dobitnie, wskazując palcem na książkę.

— „Aha, zgrywa się! Znamy się na tem“ — myślał Lufa. — „No, no! Potajemnie uprawia lekturę erotyczną... on, tak znany z chrześcijańskiego życia, hm i mówi, że to z obowiązku... Trzeba go wziąć na spytki w krzyżowy ogień pytań, jak mówią reporterzy...“.

— Ho — rzekł głośno, zwracając oczy nabożnie w sufit — wielka i błogosławiona jest praca lekarza, który uzdrawia ciało, poprzez duszę, praca tak potrzebna ludzkości, teraz szczególnie, po wojnie, która zniosła wszelkie granice między dobrem i złem. O! ta wojna, ta wojna! — kiwał głową. Westchnąwszy głęboko, dodał: — O upadku moralności publicznej, szanowny panie, to i ja mógłbym coś powiedzieć, wszak pracuję w policji. Dopiero my widzimy, jakie orgje codzień obchodzi grzech, wyuzdanie... — uważnie wpatrywał się w oczy doktora.

Ten, unikając wzroku sierżanta, patrzył w okno.

— Ale, najsmutniejsze, proszę pana, jest to — zastawiał sieci — że, niestety — westchnął — że wśród zbrodniarzy nie brak ludzi z wyższych sfer, ludzi, którzy powinni stać na świeczniku społeczeństwa, jak naprzykład: adwokatów, oficerów, sędziów, a nawet... — mała, umyślna przerwa i bystre spojrzenie — ...a nawet lekarzy...

Doktór drgnął nieznacznie, machnął ręką, jakby chciał odpędzić natrętną muchę.

— Tak, tak — odparł po chwili, z wysiłkiem wymawiając słowa — tak, to jest, niestety, smutna prawda, że zdarzały się wypadki upadku osób, które, postawione przez Opatrzność na świeczniku, powinne były świecić właśnie dobrym przykładem. Ale cóż? Luźmi są, jak wszyscy — rzekł usprawiedliwiająco, zwiesiwszy głowę. — A pan, panie sierżancie, w jakiej sprawie raczył do mnie? — zapytał nagle.

— „Oho, chce się wykręcić“ — przemknęło Lufie przez myśl i zaczął mówić wymijająco:

— Niech mi pan doktór pozwoli powrócić do zaczętego tematu, do upadku moralności — prosił. — Smutny cel mojej wizyty wyjaśnię za chwilę, aż nieco ochłonę z wrażeń. Czy pan nie zauważył, jak dużą rolę w zbrodniczości odgrywa kobieta? — rzucił niespodzianie, równocześnie świdrując oczyma bladą i stale zagadkowo uśmiechniętą twarz młodego lekarza.

— Tak, tak — odparł zapytany, patrząc w bok — szatan często przybiera wdzięczną postać pięknego ciała niewieściego, aby nas... — szybko poprawił się — ...aby ludzi zwieść na manowce...

— Naprzykład, zakazana miłość — podsuwał sierżant Lufa — albo miłość zboczona... — urwał, oczekując na bladej twarzy doktora jakiejś zmiany, jakiegoś drgnienia, skurczu nerwowego. Daremnie! Twarz pozostała uprzejma, uśmiechnięta, zagadkowa. Dopiero po chwili, jakby pod wpływem jakiegoś wspomnienia, wygrzebanego z głębi duszy, okryła się rumieńcem; zęby przygryzły górną wargę.

— „Puszcza farbę“ — pomyślał z zadowoleniem sierżant i zakonkludował z satanicznią wprost radością: „Kujmy żelazo, póki się czerwieni...“.

— Tak, tak, tak — powtarzał monotonnie lekarz.

KREW, DYNAMIT I MIŁOŚĆ. 18)

O co mnie pan jeszcze zapyta? — krzyknął z oburzeniem.

Sierżant wstał, wyprostował się. Postąpił krok naprzód, wyciągnąwszy prawą rękę, w kierunku lekarza.

Poprzez nabrzmiałe ciszą powietrze rzucił miażdżąco:

— Był pan wczoraj o godzinie dwunastej w nocy w domu przy ulicy des Martyrs 13??!!

Doktór jęknął i, jak rażony gromem, runął na dywan. W tej chwili w otwartych drzwiach stanęła nauczycielka: zapłoniona, jak pensjonarka, tłumaczyła się Lufie:

— Byłam zaniepokojona o pana. Ależ!... — krzyknęła z trwogą — cóż widzę? Ten pan nie żyje! Co tu się stało, panie sierżancie? — zapytała, patrząc na leżącego bez ruchu młodego doktora.

— Zemdlał biedaczek — odparł Lufa, podnosząc nieprzytomnego i układając go troskliwie na otomanie. — Niech mu pan chluśnie w twarz wodą z karafki, przyjdzie do siebie. Proszę tu na niego troszkę pouważać — mrugnął znacząco okiem — i zachować ostrożność, bo ma ostrze pazurki... szczególnie na dziewczynki...

Szybko wymknął się do kuchni, do kucharki. Po chwili wrócił uradowany, snadź rozmowa z nią dała pozytywny wynik. Zrezygnował tedy z badania młodej żony lekarza, jak to miał zamiar uczynić i stając... wyprężony przed oprzytomniałym już, wyrzekł z przejęciem:

— W imieniu prawa aresztuję pana. Proszę udać się ze mną do komisarjatu. Oddam pana troskliwym rękom inspektora Duponta. Allons!

V. AUTOR DO CZYTELNIKÓW SWOICH.

Aby szanownych czytelników, z zasługującą na najwyższą pochwałę uwagą, śledzących sprawę morderstwa należycie i wszechstronnie, a zarazem i bezstronnie zaznajomić z głosami opinji społecznej, podnieconej sensacyjnem aresztowaniem, pozwala sobie autor przytoczyć obszerne wycinki z gazet, które swym, żądnym sensacyj czytelnikom podawały codziennie ścisłe sprawozdania, skrzętnie zbierane przez bystrych, pracowitych reporterów.

Autor chce być bezstronny; pragnieniem jego jest dać istotny i pełny obraz wrażenia, jakie wywarło niebywałe przytrzymanie lekarza, cieszącego się nieposzlakowaną opinją który w dodatku, zaledwie przed paru tygodniami stanął na ślubnym kobiercu, pojmując za żonę choć młodziutką jeszcze lecz już znaną z cnót, córkę znakomitej rodziny, szczycącej się opatami, biskupami i arcybiskupami, jak się niem zajęły dzienniki, jak je interpretowały, a jeżeli uważny i kulturalny czytelnik (takich nigdy nie brak w żadnym kraju!) z tego konglomeratu autentycznych dokumentów ułomności ludzkiej umysłowości, wyniesie przekonanie, iż nie może nabrać bezwzględnego sądu o prawdziwości niczego, nie uwierzywszy a priori we wszystko, to niech mocno trzyma się tego przekonania.

Zalecając zatem ukochanym czytelniczkom i czytelnikom skrajny krytycyzm, prosimy uprzejmie o zmobilizowanie intelektu, zaostrzenie uwagi, napięcie intuicji, aby nie zbłądzili w tej dżungli faktów, domysłów, poszlak i kłamstw, kiedy pozostaną bez przyjaznej dłoni autora, który, leżąc w głębi niewygodnego leżaka (biedaczek jest chory na płuca), wierzy wraz z wszystkimi, że... jakoś to będzie...

VI. PRZEGLĄD PRASY.

Poważny dziennik demokratyczny „La Vie“ podawał:

Sensacyjne aresztowanie lekarza.

„W sprawie tajemniczego zniknięcia młodej Polki, o czem szczegółowo informowaliśmy naszych czytelników w porannem wydaniu, zaszło dziś wieczorem sensacyjne rozwiązanie. Oto, intensywne śledztwo, pozostające pod kierownictwem najwybitniejszego paryskiego policysty, inspektora Duponta, doprowadziło do aresztowania lekarza N. K., jako mocno podejrzanego o współudział w owej, otoczonej mrokami, zbrodni.

Doktór N. K. (nazwisko narazie przemilczamy), doprowadzony do komisarjatu, odmawia udzielenia jakichkolwiek zeznań.

W toku energicznego śledztwa, w którem bierze udział cały sztab specjalnie do badania niecodziennych zbrodni wyszkolonych urzędników, ustalono, iż ów lekarz jest Polakiem, że pozostawał w pewnych stosunkach z zamordowaną, oraz, że w krytycznym czasie kilku przypadkowych przechodniów widziało go na ulicy des Martyrs Pozatem kucharka aresztowanego zeznała, iż nie było go w domu wczoraj między godziną 9 a 1 w nocy, to jest w czasie, kiedy, według obliczeń sędziego śledczego, popełniono zbrodnię na owej Polce.

Jak nas z kompetentnego źródła

KREW, DYNAMIT I MIŁOŚĆ. 19)

przeznacza na reakcyjną robotę społeczną i beznadziejną walkę ze zwycięskim marszem międzynarodowej rewolucji proletarjatu), skąd ów świstek, pytamy, stwarza insynuacje o szpiegostwie i nierządzie nieszczęsnej ofiary erotycznego rozpasania lekarza?

Nawet uświadomione dziecko proletarjackie może łatwo wskazać źródło i cel owych niskich i potępienia godnych wobec świeżej mogiły insynuacji. Oto, chodzi im o to, aby przez rzucenie cienia na niewinną ofiarę erotycznej pożądliwości „świeczników narodu“ (w tej sprawie w najbliższym czasie damy sensacyjny artykuł), aby przez oczernienie tej, która już sama bronić się nie może, wybielić mordercę, zboczeńca, sadystę.

Towarzysze! Chcą z ohydnego burżuazyjnego zbrodniarza zrobić bohatera ofiary „masonów“, chcą spleść nad jego głową aureolę męczeństwa. Pluńcie na te ich bezwstydną robotę i przypomnijcie sobie niedawny proces księdza Olszanikisa na Litwie, oskarżonego o zamordowanie kobiety.

Skonfiskowano

„Ów doktór Kubiak, doprowadzony do sędziego śledczego, odmawia wszelkich zeznań. Liczni świadkowie widzieli go w krytycznym dniu podejrzanie kręcącego się pod domem, w którym mieszkała ofiara. Pozatem znaleziono w jego mieszkaniu mnóstwo dowodów rzeczowych, a już najfatalniejsze światło przeciw niemu rzuca fakt przechowywania większej ilości kokainy!

Skonfiskowano

Dodać musimy, iż ów lekarz znany jest powszechnie, jako bezwzględny reakcjonista i gnębiciel klasy pracującej, a także, jako zażarty stronnik Pilsudskiego. Ten ostatni fakt lepiej niż artykuły tow. Vanderweldego otworzy oczy proletarjatowi na tę ponurą postać polskiego dyktatora. Opinja świata robotniczego ma jeszcze jeden dowód spustoszenia moralnego, wywołanego przez rządy faszystowskie w Polsce. W podziemnych lochach twierdzy brzeskiej zbiry sanacyjne torturują setki naszych towarzyszów-posłów, a tu, w Paryżu, doktór-Piłsudczyk morduje niewinną dziewczynę, pracą rąk zarabiającą na studja i utrzymanie matki chorej, staruszki, wdowy po pośle socjalistycznym, poległym na barykadach, w walce o praworządność w Polsce.

Towarzysze, my im tej nowej krzywdy proletarjackiej nie przepuścimy tak łatwo!

VII. GŁOSY OPINJI SPOŁECZNEJ.

Na ustach wszystkich był mord seksualny. Każdy rozpoczynał rozmowę od uwagi na temat niebywałej zbrodni lekarza; wszystkie gazety czerwonemi nagłówkami obwieszczały najsensacyjniejsze momenty śledztwa; krzyżowały się sprzeczne sądy i opinje, tworzyły się koła broniące niewinności bądź doktora, bądź zamordowanej; redakcje i księgarnie robiły kokosowe interesy, pierwsze na artykułach, drugie na książkach z dziedziny zboczeń seksualnych i t. p.

Jakiś, kryjący się pod pseudonimem feljetonista, wydał obszerną broszurę, ozdobioną piękną, kolorową okładką, na której była wyobrażona postać młodej, skromnej dziewczyny; sukienka jej była jakby prześwietlona promieniami Roentgena: widać było bowiem piękne jedwabne dessous i krągłe piersiątka i t. d. W książce tej, noszącej tytuł: „Piekło świątobliwych“, napisanej z niepospolitem zacięciem literackiem, zebrane było wszystko, co wchodziło w zakres życia płciowego obojga płci.

Na ulicach sprzedawano kartki, na których jakiś głodomór malarski przedstawiał realistycznie i plastycznie scenę mordowania nieszczęsnej Polki przez lekarza o zwierzęcym wyrazie twarzy. Krążyły pogłoski, iż były one kolportowane przez paryską sekcję moskiewskich bezbożników.

Pod kościołem Notre Dame czcigodne staruszki, zacne matrony rodzin francuskich z ofiarnem samozaparciem trudniły się skrytem rozdawaniem podobizny aresztowanego lekarza, który zawsze spieszył każdej tak ofiarnie z pomocą. Nad jego pogodnie uśmiechniętą głową z starannie wygoloną twarzą wznosiły się dwa aniołki, trzymające śliczny wieniec wawrzynowy. U góry był napis: „Przepuść im Panie, bo nie wiedzą, co czynią“, u dołu zaś wplecione w gałązki niebieskich niezapominajek, imię i nazwisko ofiary: Dr. Napoleon Kubiak. Na odwrotnej stronie znajdowała się modlitwa za prześladowanych w Rosji sowieckiej. (Czyżby jakaś subtelno-mistyczna aluzja?!).

W Paryżu wrzało. Cała Francja z zapartym oddechem śledziła najdrobniejsze szczegóły śledztwa. Nazwiska inspektora Duponta, sędziego śledczego Dessauta i kilku innych urzędników policyjnych były na ustach wszystkich. Jedynie, dziwnym zbiegiem okoliczności, nazwisko genjalnego sierżanta Lufy było przemilczane.

— Ot niedawno, proszę szanownego pana, mieliśmy taki wypadek zbrodni, przepraszam za wyraz... seksu-al-nej... — To ostatnie słowo wymówił z naciskiem, pilnie patrząc mu w oczy.

Ten odwrócił zapłonioną twarz, jakby nie chciał słuchać tego, co powie Lufa.

— Młoda, piękna kobieta — ciągnął dalej sierżant, umyślnie przedłużając wyrazy i przejaskrawiając z cudzoziemska... — nagle wpół zdania przerwał i ostro patrząc doktorowi w oczy, zapytał:

— Przepraszam najmocniej za natręctwo, czy pan już dawno jest w Paryżu?

— Od pięciu lat — odparł, patrząc zdziwiony na sierżanta. — Niedługo, ale i dość długo, aby poznać tę współczesną Sodomę i Gomorę — wyjaśnił z westchnieniem.

— Pan doktór napewno z dalszych stron przybył tutaj — zadał Lufa napozór niewinne pytanie.

— Oho, ho — roześmiał się jakoś sztucznie lekarz — jestem z bardzo daleka. Jestem Polakiem. Pologne, wie pan? — zwrócił ku sierżantowi zarumienioną twarz i wzniósł rękę do góry, jakby chciał z zapałem opowiadać o swej ojczyźnie.

— Pologne, Pologne! — podjął z entuzjazmem sierżant — nasza bratnia siostrzyca, kraj kawalerzystów, śnieżnych tajg i trójki! Polacy, to dzielni ludzie, „braves Polonais“, jak powiedział Napoleon.

Lekarz uśmiechał się, słysząc tyle pochlebnych, choć niezbyt ścisłych wykrzykników: cieszyła go miłość, jaką czuł ten przedstawiciel francuskiej służby bezpieczeństwa dla zbratanej z Francją, Polski.

Lufa wewnątrz promieniał również, ale z innego powodu: różne drobne szczegóły poprzedniego śledztwa zgadzały się z obecnemi spostrzeżeniami. Wygląd lekarza, jakże dalece był identyczny z rysopisem, podanym przez p. Coty! Zamordowana była Polką, a doktór!... A pozatem te liczne drgnienia, zmarszczenia brwi, niespokojne rzucanie okiem wbok, ten nieśmiały głos, rumieńce... wogóle te liczne znamienne oznaki, które trudno ująć w słowa, ale które nieujdą uwadze czujnych, wyćwiczonych oczu!!!

Lufa postanowił dalej sondować duszę świetnie opanowanego, dystyngowanego rozmówcy:

— Szanowny pan napewno nie jest tutaj osamotniony? — kontynuował rozmowę — w Paryżu jest dużo Polaków, dżentelmeńskich panów i — pilnie patrząc w siwe oczy lekarza, dodał — ...i pięknych pań...

— Owszem, owszem — przytwierdził skwapliwie doktór. — Z tutejszą polską kolonją utrzymuję bardzo zażyłe stosunki, cieszę się zupełnem zaufaniem naszego ambasadora — mówił spokojnie.

Sierżant w duchu klął i podziwiał jego zimną krew.

Pan dobrodziej napewno często odwiedza swych pacjentów w ich domach, prawda? — zapytał.

— Tak, owszem — odparł doktór; w słowach jego dawało się wyczuwać pewne zniecierpliwienie. — Często, gdy żądają pomocy lekarskiej, bywam u nich, pomagam i pocieszam, jak mogę.

„Aha! znamy te pocieszenia...“ zadrwił w myśli Lufa.

— Szczególnie kobiety potrzebują często pocieszenia, prawda, panie doktorze — zapytał chytrze.

Przez policzki lekarza przeleciał błyskawiczny rumieniec, którego miejsce zkolei zajęła bladość. Aby pokryć bijące w oczy zmięszanie, zaczął szybko, bezładnie mówić, przesadnie gestykulując:

— Tak, tak, to jest... chciałem powiedzieć... że ufność dziecięca i wiara dłużej utrzymuje się u kobiet... to jest... kobiety łatwiej, wraz z lekarstwem, chłoną słowa pociechy, które odnoszą pożądany skutek... — w najwyższym stopniu był zmięszany, zdania mu się nie kleiły.

Lufa pławił się w rozkoszy zwycięstwa. Teorja jego znajdowała potwierdzenie w każdem niemal słowie, w każdym ruchu znanego lekarza. Ten cios o pocieszaniu kobiet był dobrze wymierzony! Lekarz, młody „żonkoś“ tracił grunt pod nogami, wikłał sę i „sypał“ najwyraźniej.

Ten moment uznał sierżant za najstosowniejszy do zadania decydującego pchnięcia. Zapytał:

— Czy panu doktorowi nic nie jest wiadome o wczorajszem zamordowaniu młodej kobiety?

Lekarz poderwał się nagle z krzesła, jak oparzony.

— Morderstwo? — wykrzyknął — cóż to za pytania zadaje mi pan? W jakim celu przybyłeś do mnie, człowiecze? — pytał płaczliwie, unosząc ręce nad głową, jakby się zasłaniał przed ciosem. — O co panu chodzi? Jestem spokojnym człowiekiem i lekarzem, nic nie wiem, niczego nie jestem ciekaw — mówił szybko, z trudem łapiąc powietrze.

— Pocoś pan do mnie przyszedł?

informują, w mieszkaniu lekarza znaleziono mnóstwo kompromitujących dokumentów.

Nie mogąc, niestety, ze względu na dobro szybko toczącego się intensywnego śledztwa, podawać dalszych szczegółów, zaznaczamy, iż sprawą owego niebywałego w dziejach kryminalistyki aresztowania zajęły się najwyższe czynniki, tak ze względu na osobę i charakter przytrzymanego, jak i zamordowanej, która była cudzoziemką“.

O dalszym przebiegu śledztwa, którem wprost niesłychanie interesują się sfery rządowe i dyplomatyczne będziemy stale i ściśle informowali naszych czytelników przez specjalnego sprawozdawcę“.

Klerykalny dziennij dla rodzin francuskich „L'Echo de l'Eglise“ pisał:

Pomyłka, akt zdziczenia, czy ofiara bolszewickiej intrygi?

„Donosiliśmy już pokrótce o okropnem zamordowaniu młodej dziewczyny, zamieszkałej przy ulicy des Martyrs Nr. 13. Pisząc o tym wypadku wczoraj, uderzyliśmy w dzwon najwyższej trwogi o poziom publicznej moralności i zupełnie nie mieliśmy już zamiaru niepokoić więcej naszych czcigodnych Czytelników tą zbrodnią.

Aliści zaszedł obecnie niesłychany fakt, którego rozpatrzeniu jesteśmy zmuszeni poświęcić parę słów.

Oto, w związku z tą zbrodnią sprowadzono do komisarjatu policji państwowej doktora Kubiaka, Polaka, znanego z szerokiej pracy oświatowo-społecznej wśród tutejszej kolonji polskiej.

To przesłuchanie doktora Kubiaka w niczem nie przesądza meritum sprawy, wstrzymujemy się zatem na razie od wszelkich oświadczeń, zwrócimy jednak już w tej chwili uwagę na jedno: oto, wszystkie „niezależne“ komunistyczne, masońskie i żydowskie piśmidła drą się na całe gardło: „lekarz morderca“ i jeszcze gorzej, nie zważając na szacunek jaki winni są ludziom tej miary, co doktór Kubiak.

Zaiste, znamienny jest ten krzyk, to plwanie, to oczernianie! Znamienna ta chęć zwalenia winy na osobę stojącą moralnie tak wysoko!

Nie będziemy jednak polemizowali z ohydnemi insynuacjami tych nienawistnych ludzi, na których zalety innych działają jak czerwona płachta na byka, rozjątrzają ich, podburzają, podbechtowują...

Lecz zastanówmy się na chwilę nad całą tą tajemniczą aferą. Zabita została jakaś młoda, wystrojona, przez nikogo nieznana dziewczyna... Gospodyni, która jej wynajęła mieszkanie, osoba ze wszech miar zacna, sodaliska marjańska, stwierdza ponad wszelką wątpliwość, iż jej lokatorka często spędzała całe dnie i noce poza domem... Wogóle o jej moralnem prowadzeniu się różni, różnie mówią... Czem była? Czem się trudniła? Skąd czerpała środki na dostatnie życie i użycie?

Nie chcemy, broń Boże, nic sugerować, ale nie możemy wytrzymać bez zapytania: skąd płyną fundusze na sianie krwawego pokłosia w Europie? Skąd szły zasiłki na antykościelne wystąpienia w Hiszpanji?

Z Moskwy! Otóż to właśnie! Stamtąd wieje bolszewicka zgnilizna moralna! Stamtąd płyną bolszewicko-żydowskie srebrniki na krecią robotę rozkładania naszego społeczeństwa! Na walkę z bastjonem wiary!

Chuligańscy emisarjusze komunizmu rozporządzają olbrzymiemi środkami, pozwalającemi im nietylko na wystawne życie, ale i na podłe intrygi, obliczone na wciąganie mniej ostrożnych jednostek w bagno.

„Napisaliśmy tych kilka słów w intencji ostrzeżenia wszystkich tych, którym dobro własnej duszy leży na sercu. Strzeżcie się prowokatorów!

Co zaś do sprawy doktora Kubiaka, narazie wstrzymujemy się z sprecyzowaniem ostatecznego oświadczenia, jakkolwiek już teraz musimy zaznaczyć, iż, jeśli się okaże, że to aresztowanie nie jest pomyłką policji albo aktem zdziczenia „niezależnych“ polityków, to będziemy wiedzieli, gdzie należy szukać sprawców ohydnej intrygi, której ofiarą padła osoba czcigodnego lekarza, świecącego swym jasnym przykładem nietylko w całej kolonij polskiej, lecz wszystkim tym, którzy mieli okazję z nim się zetknąć“.

Komunistyczny dziennik „La Rue“ pisał:

Hańba im!

„Na temat morderstwa z ulicy des Martyrs, o czem piszemy na innem miejscu, krążą rozmaite wersje i plotki; do najohydniejszych należy zaliczyć ordynarną insynuację klerykalnego świstka, iż zamordowana była „szpiegiem bolszewickim“ i trudniła się skrytym nierządem!

Trudno nam doprawdy, polemizować z temi głupiemi wypocinami zarosłych sadłem mózgów. Przecież sprawca morderstwa został schwytany i jest nim... kto? Lekarz! Lekarz, typowy sługa burżuazyjnego kapitału!

Skąd jednak, pytamy się, ów świstek „bogobojny“, na nekrologach zbijający pieniądze (które zapewne nie wiadomo, czy działo się to z powodu wrodzonej skromności znakomitego wywiadowcy, czy z zwykłej na tym świecie kolei losu, iż w pocie czoła pracuje kto inny, a zbiera owoce kto inny... Lufa nie dbał o to. Wystarczało mu zupełnie uznanie, jakie znalazł u swej ukochanej Marie, stenotypistki inspektora Duponta. Wdowczyna promieniała; obcałowując opaloną twarz sierżanta, szeptała mu w ucho słowa uwielbienia. Wyznaczyli już nawet dzień ślubu.

W ciągu kilkunastu godzin zbrodnia i aresztowanie urosły do wielkości sensacji światowej. W kuluarach rządowych krążyły pogłoski, iż lada chwila spodziewać się należy przyjazdu specjalnego wysłannika Ojca św., który na miejscu ma zbadać sprawę i interwenjować u rządu w kierunku wypuszczenia aresztowanego z więzienia śledczego, zwłaszcza iż wina jego bynajmniej nie została udowodniona. Odznaczony został niedawno orderem „Pro Ecclesia et Pontifice“ a dziś?... W każdym razie uchodziło już za pewnik, iż stosunki pomiędzy Paryżem i Watykanem doznały dużego oziębienia, a nawet naprężenia, tembardziej iż, jak mówiono, „rząd nic się oszalałej orgji prasowych ataków nie uczynił, aby zapobiec rozpętaniu na ludzi, stojących twardo przy kościele“ i t. d.

Przebąkiwano również o bliskiem demarche rządu polskiego z powodu tej skomplikowanej sprawy; fakt, iż zamordowana i rzekomy morderca byli Polakami, dał całej prasie francuskiej asumpt do niesmacznych ataków na Polskę, do mieszania się w jej sprawy wewnętrzne (mniejszości narodowe) oraz do niecnych podżegań, mających na celu odebranie Polce „korytarza pruskiego“. Wszystkie te i tym podobne brednie były sowicie przeplatane nienawistnemi frazesami o „bandits polonais“ i t. p.

Tymczasem śledztwo i losy związanych z niem ludzi, biegło dalej swym torem. Sędzia śledczy Dessaut, pracując dniem i nocą, przygotowywał obszerny akt oskarżenia przeciw dr. Napoleonowi Kubiakowi, z miljona sprzecznych poszlak, z setek przeróżnych zeznań, niestrudzone władze policyjne z inspektorem Dupontem na czele wyłuskiwały ziarna prawdy. Znaleźli się już nawet świadkowie, którzy zgodni byli zeznać pod przysięgą, iż widzieli doktora Kubiaka w towarzystwie młodej Polki, byli tacy, którzy przypominali sobie najdokładniej, iż w nocy z dnia 13 na 14 maja widzieli, jak doktór Kubiak szedł w kierunku Sekwany, niosąc w ręku dużą i ciężką walizkę. Pewna stara panna twierdziła, iż pewnej nocy napadł na nią jakiś osobnik chcąc ją zgwałcić; w podanej fotografji doktora Kubiaka natychmiast i bez wahania rozpoznała owego osobnika. Opowiadanie jej zanotowano, jakkolwiek jasnem było, iż zeznająca jest histeryczną, cierpiącą na manję prześladowczą.

Gdy w następnym dniu, po przesłuchaniu lekarza, sierżant Lufa stanął w przedpokoju inspektora Duponta, wiedział już — głosiły o tem dzienniki w czołowych kolumnach — jaką wspaniałą karjerę zrobił inspektor: otrzymał osobistą pochwałę ministra spraw wewnętrznych i wysoki awans.

Po nieco wyniosłem przywitaniu się, inspektor zawiadomił sierżanta, iż za wybitną współpracę w zawikłanej sprawie morderstwa hrabianki Nakońskiej, otrzymał podwyżkę pensji.

— Dobre i to — mruknął Lufa i zaraz, jakby ta wiadomość nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, zapytał: — A jak tam nasz słowiczek? Czy zaczął śpiewać?

— Gdzie tam, milczy i modli się! Ciągle twierdzi wkółko, że jest niewinny. Spryciarz — zaśmiał się. — Policja szuka winnych, a nie niewinnych — powiedział dobitnie inspektor Dupont.

— Tak, — przytaknął zgodnie Lufa — to mu się na nic nie zda. Jak winny, to go nawet i Ojciec św. nie obroni, a jak niewinny, to proszę nóżki na stół: alibi! — odparł po swojemu Lufa, napychając tytoniem fajkę, otrzymaną od nowej wielbicielki, owej towarzyszki pogoni.

VIII.
NOCNY ALARM.

Na biurku inspektora Duponta o godzinie trzeciej w nocy odezwał się przeraźliwy sygnał aparatu telefonicznego. Niespokojne brzęczenie rozdarło ciszę drapieżnym alarmem.

W gabinecie nie było nikogo. Dopiero po upływie kilku sekund drzwi przyległej sypialni nagle otworzyły się, wypadł z nich, wyrwany z głębokiego snu inspektor. Chwyciwszy słuchawkę, ryknął zły:

— Hallo! Kto dzwoni?

— Dzieńdobry panu, panie inspektorze! — odpowiedział spokojny, barytonowy głos sierżanta Lufy.

Usłyszawszy te słowa, inspektor wpadł w rozdrażnienie:

— No, gadajcie, czego chcecie... Dlaczego budzicie mnie po nocy! — krzyknął zniecierpliwiony.

KREW, DYNAMIT I MIŁOŚĆ. 26)

burza. Walka na śmierć lub życie, toczona na lądach, morzach, w powietrzu, w głębiach morskich zwolna przycichła. Zwycięskie sztandary bohaterskiej armji francuskiej zanuciły pieśń triumfu. Dziarscy żołnierze, otoczeni aureolą zwycięstwa, witani fanfarami, powrócili z pola chwały do swych domów, wiernych żon, szczebiotu dziatek. Rychło przekuli broń na lemiesze i na użyźnionej krwią najeźdźców ziemi, rączo zabrali się do wyścigu pracy, zapatrzeni w złote słońce swobody...

— Ale — dodał z westchnieniem — nie wszystkim pisany był dpoczynek po znoju bitewnym... Tam, na dalekim, zimowym, chmurnym wschodzie wrzał nadal bój. Zmartwychwstała Polska przechodziła krwawy chrzest walki. Odwieczny wróg moskiewski ogarnięty antychrystową orgją rozpadu moralnego, z przemożną siłą runął na odradzające się państwo polskie, chcąc słomiane strzechy lechickie podpalić czerwonem zarzewiem komunistycznego ognia. Z łomotem, z tętentem ruszyły w rubieże Polski dzikie, ziejące terrorem, ogniem i grabieżą hordy Lenina, a kędy przeszły ich konie, trawa już więcej nie porosła. Zdawało się, iż oto nowy napad Hunnów ruszył na Zachód, na Europę...

Zamilkł. Jakby nasłuchując jakichś dalekich ech, hen... z swej ojczyzny, pochylił głowę.

W sali panowała cisza. Najsłabszy szelest nie zmącił grobowego, zda się, spokoju. Wszyscy wpatrzeni w natchnioną twarz oskarżonego z natężeniem słuchali, tamując oddechy.

Ten spojrzał na ławę sędziów przysięgłych, westchnął głęboko i zaczął, przechodząc nagle do naratorskiego tonu:

— W powiecie zbaraskim, na południowo - wschodnich rubieżach tworzącej się Polski, wśród pól, szumiących zbożem, w brzozowym gaju stał dwór, otoczony smętnie szumiącemi topolami. Zajeżdżało się do niego aleją lipową, okrążając piękną taflę stawu, pełnego w lecie lilij i kosaćców. Poza dworem ciągnął się prastary park z stuletnimi dębami, w których cieniu, przy źródle znużony wędrowiec mógł pokrzepić swe siły, wyciągnąwszy się na zielonej murawie. A dalej, poza parkiem, szumiała przeogromna puszcza leśna, pełna dzikiego zwierza i ptactwa.

— Zatrzymuję się dłużej — objaśnił — na opisie dworu dlatego, iż był on terenem wypadków, dotyczących mego przyjaciela, ś. p. hrabiego Zbycha Nakońskiego. Wszystko, co się stało w tym starym dworze, stoi w bezpośrednim związku z wypadkami, zaszłemi ostatnio w Paryżu, w których i ja brałem bierny udział.

— Późną jesienią, roku 1914 — zaczął opowieść — we dworze znajdowało się sześć osób: sześćdziesięcioletni hrabia Aleksander Nakoński, jego córka, ośmnastoletnia hrabianka Marja, jego syn Zbych, naówczas 20-letni młodzieniec, stara niania, Katarzyna i ja, wychowanek hrabiego.

— Dziś, prócz mnie i hrabiego Zbycha, który na obcej spoczął ziemi, wszystko to tam, gdzie ta mogiła wspólna pośród poszumu wichru w pustym parku, Bogu się skarży na złość ludzką — westchnął i opuścił głowę; na twarzy jego malował się bezgraniczny smutek.

— Tych ludzi i tych stron... takimi, jakie były... niema... Nie wymieniłem jeszcze osoby szóstej: zrobiłem to celowo, aby zaakcentować w ten sposób, iż rola jej i losy odmienne były, niż osób już wymienionych. Szóstą była ośmnastoletnia Olga Oziminska, rudowłosa, o śniadej cerze i brunatnych oczach. Piękna, wesoła, zwinna była, jak kot i jak kot lubiąca wygody, swawole.

— Skąd pochodziła? Któż mógł wiedzieć? Pewnem tylko było tyle: oto, pewnego razu, przed siedmnastu laty, hrabia Aleksander Nakoński, jadąc na koniu przez las, za tropem niedźwiedzia, uderzony został jakimś dziwnym głosem. Jakkolwiek koń skakał niespokojnie, hrabia zatrzymał się i nadsłuchiwał: było to kwilenie, płacz. Zdziwił go ten płacz dziecka, skąd bowiem w takiem miejscu, w głuchym lesie, w zimie mogło się znaleźć dziecko? Gdy przezwyciężywszy ogromny opór konia przedostał się przez gęste zarośla, oczom jego przedstawił się przejmujący widok. W środku niedużej polany stał malutki wózek, obok którego leżały szczątki konia. Tuż obok widać było potwornie porozdzierane zwłoki dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Zrozumiał hrabia, jaka się tam rozegrała tragedja: stado wilków napadło wóz cygański; w obronie małej, kwilącej dzieciny, jakby cudem uratowanej, oddali swe życie dwaj cyganie, cyganka i wierny koń.

— Do łez rozczulony hrabia pochylił się nad wozem, wyciągnął z łachmanów nawpół żywe dziecko, śliczną dziewczynkę, przytulił do swych ramion, ogrzał własnym oddechem i przywiózł do domu. Pod troskliwem

KREW, DYNAMIT I MIŁOŚĆ. 27)

— Wpadłem do dworu, zastrzasnąłem dębowe drzwi i krzyknąłem:

— Bolszewicy! do broni.

Umilkł na chwilę i długo wycierał zroszone kroplami potu czoło.

— Jakież pióro potrafi opisać, czyjeż usta potrafią opowiedzieć, co przeżyliśmy w ciągu kilku godzin, w których zawarło się całe nasze życie?

— Czyż mam opisywać, jak rozdawaliśmy między siebie broń, jak ustawiliśmy się przy oknach, jak budowaliśmy z mebli, kredensów, szaf, barykady przy drzwiach?

— Hrabianka Marja zdumiewając nas swą zimną krwią stanęła z sztucerem obok ojca, który w starych lecz krzepkich dłoniach trzymając wyborową dwururkę, wzniecał chwalebną tradycję swych przodków - powstańców. Hrabia Zbych stanął przy drugiem oknie, ja przy trzeciem. Biedna stara niania darła koszule na szarpie do ran...

— Upłynęło tak kilka strasznych, a nam wiekiem się wydających chwil. Słyszeliśmy ciągle dzikie okrzyki, tentent koni, pojedyncze strzały, nagle w powietrzu buchnęła łuna: podpalono stajnie i spichrze. W tej chwili okna nasze zasypane zostały kulami, brzęczały rozbijane szyby, rozpryskiwały się drogocenne kryształy, lustra, rozsypywały meble, marmury. Równocześnie część krwiożerczej watahy zaatakowały kolbami zatarasowane drzwi. Widząc, iż drzwi nie ustępują, podsuwali się pod okna, rażeni ogniem z naszych pistoletów, dwururki hrabiego i sztuceru hrabianki. Strzelaliśmy celnie, lecz siły ich były przemożne. Tych, którzy padli, zastępowali drudzy, okrywali się trupami i pełzając po ziemi, podsuwali się pod okna. Walka trwała przeszło godzinę, gdy nagle hrabia Nakoński trafiony wrażą kulą w serce, z okrzykiem „Jezus, Maryja"! runął na posadzkę. Podskoczył ku niemu hrabia Zbych, poskoczyła hrabianka — nie żył. Ta jedna chwila zejścia z stanowisk wystarczyła, aby bolszewicka tłuszcza wdarła się do salonu. Hrabia Zbych, uderzony kolbą w głowę, runął na ziemię; widziałem, jak hrabianka rozciągnęła trupem owego zbira, ale w tej chwili sama upadła pod cielskiem bolszewika, który skoczył wprost na nią z parapetu okna. Podniosłem oba rewolwery i wypaliłem, co się dalej działo, nie wiem, pchnięty bagnetem w ramię, straciłem przytomność.

— Gdy po dłuższej chwili przyszedłem do siebie, zobaczyłem iż wspólnie z zupełnie osłabionym hrabią Zbychem leżę w parku, na trawie. O kilka kroków od nas paliło się ogromne ognisko, w którego kręgu widno było, jak w dzień. Spojrzałem poza siebie, na dwór: płonął, jak olbrzymi stos ze zwłokami hrabiego Nakońskiego i starej niani.

— Pilnowali nas pijani żołdacy: wodząc po nas błędnym wzrokiem, co chwila strzelali w powietrze, wyjąc okrutne pieśni. Wytoczone z dworskich piwnic wino lało się strumieniami; nad ogniskiem piekły się połcie słoniny i mięsa z zabitej dworskiej trzody.

— Mimo, iż dokuczał mi szalenie ból w ramieniu, zacząłem się zastanawiać nad możliwością ucieczki; po przekonaniu się, że sznur, którym miałem związane ręce, da się łatwo rozwiązać, postanowiłem czekać przychylnej sposobności.

— Tymczasem bolszewicka hołota piła na umór. I oto, nastąpił moment naszej martyrologji tak straszny, tak koszmarny, że dziwię się, iż go przeżyłem, iż nie postradałem zmysłów...

Umilkł, jakby zbierając siły.

— W szczytowym punkcie pijatyki, któryś z komisarzy ryknął zwierzęco: „Kobiety, dajcie mi kobiety, towarzysze!". Cała hołota zaczęła ryczeć z uciechy, a kilku zbirów natychmiast rzuciło się ku altanie. Wywlekli stamtąd... och, och! hrabiankę Marję!

Przez salę przeleciał dreszcz, oczy oskarżonego błyszczały groźnie.

— Była blada, złamana na duszy i ciele, lecz nie wiedziała, jaki ją jeszcze czeka los. Przyprowadzili ją przed pijanego komisarza. Stała dumnie wyprostowana, mierząc go nieustraszonym wzrokiem. Jej czarna suknia, włożona na nasze pożegnanie, była w strzępach.

— Komisarz, zataczając się, z oczami krwią nabiegłemi, nagle pochwycił ją i rzucił na ziemię. Broniła się... krzyczała... ach! jak krzyczała!...

— Przymknąłem oczy; nie mogłem patrzeć, serce we mnie zamarło. Spojrzałem na hrabiego Zbycha. Widziałem, jak pałającym cierpieniem i miłością wzrokiem wpatrywał się w kochaną postać swej siostry, jak, w chwili, gdy zbir rzucił się na nią, ostatkiem sił poderwał się i jak runął na ziemię... Myślałem, że skonał. O, Boże! Boże! Straciłem przytomność.

Ocuciła mnie nagła cisza. Zdziwionym wzrokiem powiodłem wkoło, szukając przyczyn uspokojenia się zbirów. Wtedy ujrzałem po drugiej stronie ogniska jakąś postać kobiecą. Wydała mi się znajoma, wpatrzyłem

KREW, DYNAMIT I MIŁOŚĆ. 28)

zmęczony, słaniający się na nogach, zaczął:

— Przebrany za robotnika, hrabia Zych w nocy, z dnia 13 na 14 maja o godzinie 11 staje w jej mieszkaniu. Mierzy ją drapieżnym wzrokiem. Nie poznała go. Wpatruje się w jej bestjalską twarz, zbliża się ku niej i nagle, tracąc panowanie nad sobą, z okrzykiem: „Jestem hrabia Nakoński", podnosi rewolwer. Lecz broń zacina mu się się, w tej chwili w jej ręce błyska sztylet... Rzuca się ku niej — chwyta w miażdżący uścisk, wykręca rękę... Mocują się... szamocą... i nagle hrabia Zbych, uderzony z ogromną siłą kastetem między oczy, brocząc krwią, pada twarzą na łóżko, traci przytomność.

Przez salę przeleciał jeden ogromny jęk...

— Przyszedł do siebie w jakiejś ciemnej, zatęchłej i wilgotnej piwnicy. Przypomniał sobie wszystko i zrozumiał, że po ubezwładniającem uderzeniu kastetu został z ulicy des Martyrs przewieziony dokądś i uwięziony. Gdzie był? co go czekało? Napewno śmierć!

— Jego prześladowcy popełnili jednak jeden błąd: nie związali mu rąk, widocznie zbyt pewni byli, że im nie umknie. Postanowił szukać jakiejś możliwości obrony: poomacku posuwał się wzdłuż ścian, dotykając drżącemi dłońmi wilgotnych murów. Co chwila potykał się o jakieś przedmioty, zwoje drutów, deski, kawałki żelaza. Nagle, w jednem miejscu muru natrafił na drut.

„Czyżby to był przewód elektryczny? przemknęła mu radosna myśl. Zaczął gorączkowo szukać i nagle odnalazł kontakt. Zabłysło światło, odsłaniając przed nim olbrzymią, ponurą piwnicę, która wyglądała raczej na jakieś dziwaczne laboratorjum. Pełna była różnych przewodów, cudacznych naczyń, butli stalowych, próbówek, mechanizmów, o nieznanem przeznaczeniu. Pod jedną ze ścian stały trzy stalowe wanny, przykryte żelaznemi wiekami. Zaciekawiony, podniósł jedną przykrywę i omal nie runął ze zgrozy: w wanie znajdowały się nawpół już rozłożone zwłoki ludzkie, zalane jakimś płynem... był to kwas pruski... Ci bestjalscy osobnicy, w których rękach się znajdował, w ten wyrafinowany sposób pozbywali się niewygodnych sobie ludzi. Kwas pruski w ciągu kilkunastu godzin zamieniał ciało w rzadką galaretę, którą następnie ohydni oprawcy spuszczali do kanału.

Przez salę przeleciał szmer zgrozy.

— Zrozumiał, w jak strasznem znajdował się położeniu, bezbronny, osłabiony jeszcze upływem krwi, zamknięty w tak okropnej pułapce...

— Czyż ta piekielna siła, która mu zniszczyła wszystko, co miał najdroższego w świecie, miała jeszcze raz zatriumfować? Czyż nad jego trupem miał zabrzmieć szatański śmiech tej kobiety? Miało-ż zwyciężyć zło?

— Nie upadł na duchu. Za wszelką cenę postanowił się ratować, walczyć, zwyciężyć. Ale jak? Z czem miał wystąpić do nierównej walki? I nagle doznał boskiego natchnienia: prąd elektryczny. Szybko rozplątał oba druty — był wszakże inżynierem - elektrotechnikiem — i trzymając je w rękach, stanął przy zamkniętych drzwiach. A był już czas najwyższy bo właśnie na schodach, prowadzącej do pogrążonej w ciemności piwnicy rozległy się kroki dwóch osób i szeroki, swobodny śmiech kobiety... poznał, to był śmiech „towarzyszki:: Olgi.

— ...Drzwi się otworzyły. Weszła pierwsza, tuż za nią postępował jakiś młody człowiek, sądząc z wyglądu, Amerykanin.

— Zatrzymała się w progu i, szukając ręką kontaktu, aby zaświecić, rzuciła w mrok swym szatańskim głosem:

— No, gdzie jesteś kochaneczku? Chodź, sprawię ci malutką kąpiel, sobako! — nie dokończyła, ryknęła przeraźliwie, zwierzęco i runęła bez życia. Skoczył jej na pomoc Amerykanin, ale i on padł bez zmysłów, rażony elektryczną bronią Zbycha...

— Stał nad Olgą, a myśl jego pobiegła hen... daleko... Z oddali napływały wspomnienia... Z mroków wychynęła ku niemu bolesna twarz przeszytego wrażą kulą ojca.. W krwawej poświacie łuny ukazała się wykrzywiona predśmiertną męką twarzyczka sponiewieranej siostry... zamajaczyła ponura wizja płonącego dworu... Nagle porwał się, chwycił zesztywniałe cielsko tej kobiety i rzucił w wannę, w kwas pruski...

— Szcześnij!! przepadnij! — przeżegnał się a jego zbolałe wargi wyszeptały: — O, Panie, osądź sprawiedliwie uczynki nasze!

Oskarżony zamilkł: cała sala trwała w niezmiernej ciszy, tylko gdzieniegdzie ktoś ocierał łzę, ktoś cicho szlochał...

— I oto dopełniła się miara jego zemsty, dokonał celu swego życia. Na własnych barkach przeniósł, dającego oznaki życia Amerykanina do pokoju, położonego nad piwnicą, złożył je na otomanie i szybko wyszedł z pustego

okiem starej niani — hrabia stracił małżonkę po sześcioletniem pożyciu — wychowywały się pospołu hrabianka Marja i cygańska znajda, którą ochrzczono i nazwano.

— Przez świat przewalała się wielka wojna, lecz w starym, modrzewiowym dworze było zawsze cicho, spokojnie, po staremu. Jednakowo wschodziło słońce codzień i zachodziło, jednakowo przylatywały z wiosną jaskółki i odlatywały jesienią, jednakowo gwarliwym terkotem kół modlił się niski młyn, rechotały żaby... Och, czasy, błogie czasy!... — westchnął oskarżony głęboko i wzniósł oczy w górę.

— Jakkolwiek matka moja — odumarła mnie, gdy miałem dziesięć lat, (była klucznicą), młody hrabia Zbych nigdy nie dał mi poznać różnicy pochodzenia. Żyliśmy razem, sprzęgła przyjaźń dozgonna, na śmierć i życie. Choć był odemnie starszy o dwa lata, (miałem wówczas lat osiemnaście) zwierzał mi się z wszystkiego i nieraz, pędząc naprzełaj przez pola i lasy, zawoziłem mu liściki do Krysi leśniczanki, córki gajowego, w której się hrabicz potajemnie kochał: młodość... młodość...

— Lecz przejdźmy do wypadków roku 1919. Wywalczona ognistym mieczem generała Hallera powstała Polska wolna i niepodległa. Zagrzmiała pobudka: „Na koń, kto żyw!" Hrabia Nakoński był starcem i nie jemu był czas chwytać za oręż, ale miał przecież syna i wychowanka, mnie. Tak więc w cichości, a już chodziły słuchy, że krwawa pożoga bolszewicka jest tuż, tuż, rozpoczęliśmy przygotowania do wyruszenia pod ojczyste sztandary. Sprzedał hrabia jedną wieś, zgarnął w sakiewkę rodzinne klejnoty i gdy już wszystko było ułożone do wyjazdu za dwa dni, zgromadziwszy wszystkich: hrabiankę Marję, Olgę Oziminśkę i nas obydwóch, rzekł z namaszczeniem:

— Dzieci, oto daję wam pieniądze i klejnoty, oddajcie je Skarbowi Narodowemu, a siły wasze i serca rozkazom Ojczyzny, umilkł i zapłakał. Wszyscy płakaliśmy i z żalu nad rozstaniem i z radości, że już jest ta Polska wymodlona.

— Gdy tego samego dnia z hrabią Zbychem stałem w parku, nasłuchując, jak ciągną żórawie, usłyszeliśmy nagle szelest liści pod czyjemiś stopami. Patrzymy, a tuż, z pośród drzew wychodzi Krysia, najukochańsze dziewczę. Skoczył hrabia Zbych ku niej, do rąk się rzucił i całował. Przyszła się z nim pożegnać, pobłogosławić na drogę; ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej zawiesiła mu na piersi... Nie chcąc mącić im chwili czułego pożegnania, usunąłem się w boczną aleję i usiadłem na omszałym kamieniu. Nagle słyszę przyciszone kroki, „ktoś się skrada" — przemknęło mi w myśli. W tej chwili ujrzałem Olgę Oziminśkę: wolno się skrada, ukrywa za krzakiem leszczyny i patrzy na hrabiego, na Krysię... Widzę, jak jej czoło marszczy się, jak groźnie błyskają oczy, jak palce rąk drapieżnie kurczą się... Była straszna w tej chwili. Odszedłem, aby nie patrzeć na nią. Później opowiadał mi hrabia Zbych, jak Olga rzuciła mu się do kolan, jak mu wyznała swą miłość, jak go zaklinała na wszystkie świętości, by pozostał. Tłumaczył jej, że serce ma już zajęte, że Ojczyzna woła... Byłem pełen przeróżnych przeczuć...

— Nazajutrz gajowy Hryhory przybył na spienionym koniu, z wieścią, że bolszewicy są już o piętnaście kilometrów od dworu. Postanowiliśmy przyspieszyć. Mieliśmy wyruszyć jeszcze tego samego dnia wieczorem.

— Wśród gorączkowych chwil ostatnich przygotowań, końcowych poleceń i wskazówek, udzielanych przez hrabiego Nakońskiego, nie zauważyliśmy, że zabrakło Olgi z nią naszej najpiękniejszej klaczy, białonogiej „Zazuli". Stajenny, wypytany, wiedział tylko tyle, że „panienka Olga szła w kierunku stajen tuż po odjeździe Hryhorego". Popatrzyłem na hrabiego Zbycha, on na mnie, wiedzieliśmy wszystko: nie mogła przeżyć odtrąconej miłości, uciekła, ale dokąd?

— Była już ciemna, jak heban noc. Rechocące w stawie żaby umilkły jakby czegoś nasłuchiwały, w lesie odezwało się ponure pohukiwanie puszczyka, w ciemnej mazi powietrza z trzepotem przelatywały nietoperze...

— Ubraliśmy się. Do kieszeń włożyliśmy po parze znakomitych pistoletów automatycznych i poraz ostatni zaczęliśmy się żegnać z hrabią, z płaczącą hrabianką, z nianią...

— Pierwszy wyszedłem na ganek. Gotowe do drogi konie trzymane przez stajennego niecierpliwie uderzały kopytami o kamienie. Serce mi dziwnie łomotało, daleko w lesie wyły wilki. Nagle głęboką ciszę rozdarło przeraźliwe wycie setek gardzieli:

„Hurra! hurra!"

— Ciemną zasłonę nocy przecięły ognie wystrzałów. Coś mi świsnęło koło uszu, usłyszałem przejmujące rżenie spiętego na tylnych nogach konia i jęk, jęk... nie wiem, człowieka, czy zwierzęcia.

się w nią i nagle... poznałem. To była Olga. Ubrana w wysoką futrzaną czapkę z pięcioramienną gwiazdą bolszewicką nad czołem, z przewieszonym przez plecy karabinem, jakże wyglądała odmiennie od dawnej Olgi...

— Gdzie jest hrabiowski szczeniak? — zwróciła się z ostrem pytaniem do komisarza. W tej chwili już wiedziałem wszystko.

Umilkł. Sala zamarła w przejmującej, wprost niesamowitej ciszy.

— Przyjechała się nasycić widokiem zemsty. Szybkim krokiem podeszła do leżącego hrabiego Zbycha i zapytała drwiąco:

— No, jakże się tam jaśnie hrabicz czuje? hm? Może mnie teraz pokocha? Jestem silna! Ci wszyscy ludzie słuchają mnie i jeszcze jak! Ha! ha! — zaśmiała się szatańsko — oto dowody — wskazała na spalony dwór, na leżącą, zda się bez życia, zhańbioną hrabiankę.

— Hrabia Zych popatrzył na nią z pogardą i nagle splunął jej prosto w twarz. Skoczyła, jak wściekła suka, cięła go szpicrutą przez policzek i ryknęła: „Rozstrzelać go, rozstrzelać! Naprzód jego siostrę, tak... niech się napatrzy! Rozstrzelać sukinsyna!".

— W całej bandzie powstał tumult i krzyk. Jedni rzucili się ku hrabiemu Zbychowi, drudzy porwali nieprzytomną hrabiankę, inni stanęli przy „towarzyszce" Oldze.

— Ten moment uznałem za najodpowiedniejszy dla mnie. Szybko rozplątałem sznur i czołgając się na brzuchu, niepostrzeżenie wymknąłem się z kręgu ogniskowego światła; znalazłszy się w cieniu nocy, runąłem w las. Biegłem, co sił w nogach. Nagle, kiedy już oddaliłem się spory kawał od bolszewików i zgliszcz dworu, usłyszałem poza sobą tętent konia. Pościg! Ukrywszy się w zaroślach, nasłuchiwałem: tak, w ślad za mną gnał koń. Nim zdążyłem powziąć jakąś rozsądną myśl, koń stanął przedemną. O, Boże! To był mój „Kaprys", wierny towarzysz chłopięcych wypraw.

Przerwał na chwilę.

— Nie chcę was, sędziowie przysięgli, ani ciebie, szanowna publiczności, trudzić szczegółami, dlatego będę się starał możliwie streszczać.

— O mniej więcej trzy kilometry od dworu spotkałem silny oddział polskiej kawalerji, wysłany dla zbadania przyczyn nagłego pożaru. Gdy w szybkich słowach opowiedziałem dowódcy, młodemu porucznikowi (dziś jest generałem) przebieg ostatnich wydarzeń, jak lawina w piekielnym galopie ruszyliśmy naprzód, by tylko móc przybyć jeszcze na czas, uratować hrabiankę i hrabiego Zbycha. W odległości zaledwie kilometra od ogniska doleciał nas odgłos bezładnej salwy karabinowej. Serce we mnie zamarło: Wiedziałem... hrabianka w tej chwili żyć przestała. Może to i lepiej dla niej było?...

— Hrabiego Zbycha uwolniliśmy. Ledwo żył. Gdy przyszedł do siebie, prosił o śmierć. Podziurawione kulami ciało hrabianki znaleźliśmy przywiązane sznurami do drzewa. Towarzyszka Olga uciekła zapewne, bo pomiędzy trupami nie znaleźliśmy jej.

Umilkł, ocierając chustką spieczone usta.

— Po zwycięskiej wojnie z bolszewikami rozstaliśmy się z sobą: hrabia Zbych wyjechał do Ameryki na studja techniczne, ja ruszyłem na daleki Wschód studjować język chiński.

— I tak minęło jedenaście lat. Przed kilku tygodniami przybyłem do Paryża i w zaciszu gabinetu oddałem się mej pracy naukowej. Nagle, wczesnym rankiem dwunastego maja drzwi się otwierają, patrzę... patrzę i oczom nie wierzę... Przedemną stał hrabia Zbych. Ze łzami radości padliśmy sobie w ramiona.

— W ciągu kilku godzin wyznał mi powody nagłego przyjazdu z Ameryki. Oto, dzięki stosunkom z wybitniejszemi jednostkami polskiego wywiadu poiltycznego, dowiedział się, iż towarzyszka Olga, słynąca w Sowietach jako krwawy kat czerezwyczajki, przybyła w celach szpiegowskich do Paryża, ukrywając się pod zmienionem imieniem i nazwiskiem. Po zebraniu najdrobniejszych szczegółów, natychmiast wsiadł na okręt w Nowym Yorku i przyjechał, gnany nadzieją, iż oto, jego tyloletnie marzenie o słodkiej zemście za śmierć ojca, za hańbę i śmierć siostry, niani, za spalenie dworu ziszcza się...

— Towarzyszka Olga zamieszkała — tu oskarżony zatrzymał się chwilę, jakby chcąc przekonać się, czy słuchacze, których nerwy były napięte do ostatecznych granic wytrzymałości, potrafią znieść ogromne wrażenie jego wyjaśnienia — towarzyszka Olga zamieszkała przy ulicy des Martyrs numer 13, pod nazwiskiem, o bestjalski cynizmie! hrabianki Marji Nakońskiej.

Z setek ust zasłuchanej publiczności wyrwał się jeden ryk najwyższej zgrozy, oburzenia!

Gdy po dłuższem uspokajaniu rozgorączkowanych słuchaczów (wiele pań zemdlało) przewodniczący pozwolił oskarżonemu dalej mówić, ten,

domu. Spojrzał dokoła i poznał, że znajduje sę na przedmieściu, St. Denis.

— Zapadał już wieczór, gdy przyszedł do cna wyczerpany, ledwo żywy do mnie: — Stało się — tylko tyle powiedział i runął bezsilnie na łóżko; usnął snem strudzonego dziecka. Było to 14 maja. Następnego dnia obudził się około godziny dziesiątej. Pokrzepiony snem, w krótkich słowach opowiedział mi wszystko: przy końcu wyjawił, że natychmiast uda się do komisarjatu policji, celem przyznania się do popełnionego czynu, pozatem chciał zwrócić uwagę władz bezpieczeństwa na willę na przedmieściu St. Denis, jako na siedzibę bolszewickiej czerezwyczajki. Był jakiś dziwnie smutny: mówił krótko, jakby niechętnie, z zwrokiem apatycznie wpatrzonym w przestrzeń... czyżby miał przeczucia?...

— Chcąc go pozostawić samemu, aby się uspokoił, rozprawił z swemi myślami, wyszedłem. Och! czemuż tak się stało? — westchnął gorzko.

— Na ulicy kupiłem numer porannego dziennika z dnia 15 maja, w którym znalazłem wiadomość o wysadzeniu w powietrze willi Amerykanina Smitha, na przedmieściu St. Denis. Wlot pojąłem przyczynę tego wybuchu: ów rzekomy Amerykanin, a właściwie agent bolszewicki, odzyskawszy przytomność, zdał sobie sprawę z tego, co grozi całemu bolszewickiemu wywiadowi w Paryżu, w razie wkroczenia do tego budynku policji, zaalarmowanej przez hrabiego Zbycha. Willa ta przecież była tajnym arsenałem, w niej gromadzono wszelkie dokumenty, świadczącej o intensywnej akcji szpiegowskiej na terenie Francji, w niej wreszcie wykonywano egzekucje na „niewygodnych" ludziach. Otóż, w obawie nagłej rewizji policyjnej, ci wywrotowi emisarjusze trzeciej międzynarodówki wysadzili poprostu willę w powietrze, zacierając w ten sposób wszelkie ślady swej podziemnej roboty...

— Gdy tak szedłem, pogrążony w rozpatrywaniu tego sensacyjnego wypadku, nagle przystąpił do mnie elegancko ubrany człowiek i przedstawiwszy się, jako asystent profesora orjentalistyki w Berlinie, prosił mnie imieniem profesora o przybycie w pewnej ważnej kwestji naukowej do niego, do hotelu „Imperjal". Chętnie zgodziłem się na to, nie przeczuwając nic złego, wsiadłem z tym człowiekiem do czekającego auta, czarnej, wytwornej limuzyny. Ruszyliśmy z miejsca; w pewnej chwili poczułem dziwny, ostry zapach i straciłem przytomność.

— Wpadłem w ręce bolszewickiego wywiadu. Więziono mnie w ciemnym, ponurym lochu, przez cztery dni, co się nie nacierpiałem, czego nie przeszedłem! Doprawdy, dziwię się, że mnie nie zabili, miało to widać nastąpić później. Pewnej nocy zeszedł do mej kaźni jeden z tych zbirów i, zawiązawszy mi oczy chustką, kazał iść za sobą. Usłuchałem. Szedłem przez jakie śpodziemia, schodami do górv i schodami na dół, aż wreszcie chwyciłem w nozdrza świeże powietrze. Byliśmy na dworze, na jakiejś nieznanej mi ulicy. Mój kat zdjął mi z oczu chustkę, wepchnął mnie do auta i usiadłszy przy mnie, pod grozą śmierci, zakazał mi ruszyć się lub krzyknąć. Z niezapalonemi światłami samochód w szybkim pędzie ruszył naprzód, starannie omijając ruchliwe ulice. W bocznych uliczkach było cicho, ciemno i pusto, nadzieja na jakąkolwiek ludzką pomoc była mała, mimo to jednak nie pozbywałem się myśli o ucieczce...

W pewnej chwili ujrzałem na rogu podoficera policji. Momentalnie zdecydowałem się. Krzyknąłem: — „Na pomoc" — i błyskawicznie wyskoczyłem z pędzącego auta. Usłyszałem za sobą trzask wystrzału i upadłem na bruk. Widziałem, jak samochód mych prześladowców szybko się oddalał, ostrzeliwany przez owego dzielnego wywiadowcę. Po chwili ów funkcjonarjusz policji podszedł do mnie, podniósł i po stwierdzeniu, iż nie jestem ranny, przewiózł mnie do komisarjatu. Tam opowiedziałem wszystko. Nie wierzono mi, bo mimo intensywnych poszukiwań, nie znaleziono hrabiego Zbycha. Byłem zdziwiony i zaniepokojony. Czyżby się rozmyślił i nie złożył zeznań? Czy może stał się ofiarą bolszewickich agentów? Różne przychodziły mi myśli do głowy...

Oskarżony zwrócił się do ławy przysięgłych.

— Sędziowie przysięgli! Wyniki śledztwa są wam już znane. Ten człowiek nie żyje. Po wyjściu z mego mieszkania, w celu udania się do komisarjatu, na ulicy Chopina zginął pod kołami samochodu, ratując życie małemu dziecku!

— Ponieważ przy zwłokach jego nie znaleziono żadnych dokumentów, pochowano go równocześnie z kilku innymi nieznanymi nędzarzami...

Przez salę przeleciał jeden ogromny jęk, jedno ciężkie westchnienie. Płakali sędziowie, nawet prokurator

czyli cztery godziny przed wybuchem...

— Cha! cha! — zaśmiał się złośliwie inspektor — a to wam żandarmem wojskowym być, a nie wywiadowcą policyjnym. Czyż nie wiecie, że maszyna piekielna wybucha nawet po kilkunastu godzinach, po nastawieniu mechanizmu zegarowego? Lepiej mu nawet było siedzieć w więzieniu podczas wybuchu, bo miał alibi... Przytoczę wam jeszcze jedno znamienne zeznanie, a może pojmiecie wszystko: otóż szofer taksówki, która wiozła doktora w czasie gdyście go gonili, zeznał, iż ten pan wsiadł na przedmieściu St. Denis. Poco tam jeździł? Dziś będę go przesłuchiwał, może nareszcie wyśpiewa wszystko, jak to było z tą hrabianką Nakońską i z tym zamachem.

Gdy w godzinę później sierżant

znania gazeciarza rozjaśniają tajemnicę zamachu dynamitowego! Co widział Paul Narand? Co z tem wszystkiem ma wspólnego doktor Kubiak? Śledztwo na nowych torach!

Palce tysięcy reporterów, przedłużone drutami telegrafów, wielkiemi literami wybijały we wszystkich częściach świata sensację o wspówinie doktora Kubiaka, o genjalności policji francuskiej, o wykryciu sprawcy wysadzenia w powietrze willi Amerykanina Jacka Smitha.

XI.

SPOWIEDŹ LEKARZA. SPRAWKI SZATANA.

O godzinie trzeciej popołudniu, przed stężałe w surowej przebiegłości oblicze inspektora Duponta i sędziego śledczego Dassauta sprowadzono słaniającego się na nogach młodego dok-

cie przyznać się do hrabianki Marji Nakońskiej?

— Jestem niewinny — doleciała Lufę słaba odpowiedź lekarza.

Na to odezwał się inspektor:

— Policja szuka winnych, a nie niewinnych. Proszę pana, zeznania świadków są obciążające — dodał tonem przestrogi. — Proszę się przyznać, szczery żal zmywa grzechy — zarecytował, jak z katechizmu — i łagodzi srogość wyroku.

— Jestem niewinny — jęknął doktor — torturujcie mnie, a powiem, że jestem niewinny.

— Czy znał pan ś. p. Marję hrabiankę Nakońską? — zapytał sędzia Dessaut i po chwili bezowocnego oczekiwania, dodał: — Milczenie jest znakiem potwierdzenia. Zresztą podczas pierwszego badania zeznał pan, iż znał denatkę.

W pokoju zapanowała cisza.

Widziano pana obok domu

— Zeznania kucharki — dodał inspektor — stwierdzają, iż pan w krytycznym dniu między godziną dziewiątą a pierwszą w nocy był nieobecny w domu. Gdzie pan był w tę noc?

Cisza i nagle długi, bolesny jęk.

— Na miłość Boską, jestem niewinny. Nikogo nie zamordowałem. Ja nie mogę powiedzieć, gdzie byłem w tę noc — wykrzyknął głosem zbolałym.

— W takim razie my panu powiemy, gdzie pan był — bezlitośnie powiedział inspektor Dupont. — Na ulicy des Martyrs, pod numerem trzynastym!

Lekarz milczał. Lufa miał wrażenie, że płakał rzewnie, jak dziecko, złapane na gorącym uczynku.

Inspektor zamieniał z sędzią jakieś szepty, po chwili energicznie rzucił pytanie: — W jakim celu sporządzał

otarł nieznacznie nawisłą pod powiekami łzę...

— Akt oskarżenia zarzuca mi, iż stałem się winny współdziałania przez niezawiadomienie władz bezpieczeństwa o zbrodniczym zamiarze hrabiego Zbycha Nakońskiego. Sędziowie przysięgli! Czyż ja, przyjaciel, ja, który sam poprzysiągłem być mścicielem, miałem zdradzić hrabiego Zbycha? Miałem przeszkodzić w usunięciu z pod słońca tej bestjalskiej gadziny? Tego szpiega, godzącego w całość Rzeczypospolitej francuskiej? — rzucił w znieruchomiałą z przejęcia salę pytanie i zamilkł, zwiesiwszy głowę, jakby w pokornem oczekiwaniu ciosu.

I nagle nabrzmiałą wyczekiwaniem ciszę rozdarł jeden potężny, przejmujący, imperatywny krzyk:

— Uwolnić! Uwolnić! Uwolnić!

Ponad setki przejętych wzruszeniem głosów, wybijał się głęboki, miękki baryton sierżanta Lufy:

— Uwolnić!

XV.

NA RIVIERZE. GENJALNOŚĆ SIERŻANTA LUFY. TAJEMNICA JEDNEJ BUTELKI.

W dwa tygodnie po sensacyjnem procesie, zakończonym uwolnieniem oskarżonego Szopskiego, w kościele Notre Dame odbył się wspaniały ślub sierżanta Cezarego Lufy z uroczą Jeanettą Dubois, ową nauczycielką, która brała niegdyś mimowolny udział w brawurowej pogoni za doktorem.

Miesiąc poślubny młodzi małżonkowie spędzali na Rivierze francuskiej.

Pewnego pięknego poranku, leżąc na gorącym piasku nadmorskim, napawali się swojem niewysłowionem szczęściem. Oboje, zmęczeni niewinnemi igraszkami z sobą, — byli sami, — opuścili nogi nad wodę i pozwolili nadpływającej fali łagodnie muskać im stopy.

W czystych promieniach słonecznych fruwały motyle, hen, pod lazurem niebios bujały srebrnopióre mewy, z pochylonej ku morzu palmy dolatywał dźwięczny trel słowików, a pobliski kobierzec murawy raził oczy przecudną gamą kolorów wonnego kwiecia, nad którem uwijały się miododajne pszczółki, brzęcząc pozłocście. A morze było jak błam lazurowego nieba, mieniące się szmaragdem w przegubach fal...

Jeanetta leżała na ciepłym piasku, czule przytulona do boku męża i, poruszając swemi pięknemi nóżkami, marzyła. Myśli tej przeczystej jak bursztyn duszyczki bujały gdzieś, hen... wysoko, jak te skowronki! A jej prześliczne, różowiutkie ciałko, obciągnięte przeźroczystym jedwabiem kostjumu emanowało jakąś boską siłą, wzniecając wokół urok czegoś nieznanego, jak sen jaki złoty... Jej wdzięczna postać, postać wodnej nimfy, promieniejącej czarem wiosny odbijała się w przeczystej toni morza, tak, iż sierżant Lufa mógł, wpatrzony w wodę, jak w zwierciadło, obserwować czarodziejską piękność swej żony, jej krągłe piersi, jej linję bioder, jej cudne oczy, w których — zda się — był uwięziony kawał nieba...

Była to chwila, pełna czułego nastroju, chwila podniosła, podatna do wspomnień... wyznań...

— Słuchaj, najdroższy — odezwała się Jeanette, obejmując rączką męża za szyję — prawda, jak to cudownie się stało, że ten Szopski wpadł w twoje ręce? Gdyby tak kto inny był obronił go przed tym bolszewickim łajdakiem, to byłbyś nie dostał nagrody i...

— Uhm... tak, tak — mruknął jakoś niechętnie Lufa i machnął niecierpliwie ręką, jakby opędzał się przed natrętnemi muchami.

— Opowiedz mi, kochany, jak to było, gdy ty strzelałeś za tym samochodem! Ja tak bardzo lubię, gdy opowiadasz takie sensacyjne historje! — prosiła, przymilnie całując Lufę w policzek.

— Zwyczajnie, dziecino — sierżant chciał zbyć tę prośbę byle czem — ot, ten Szopski wyskoczył z auta, oni strzelili do niego, ja zacząłem strzelać do nich i tak dalej...

— Eee — wydęła usteczka — ty niegrzeczny jesteś! nic nie chcesz opowiadać swej żoneczce... Ty mnie wcale niekochasz... — skarżyła się nadąsana.

Sierżant milczał.

— Ty mnie nic nie kochasz — żaliła się dalej — bo stale, jak zaczynam mówić o tym sensacyjnym procesie, to ty zachowujesz się tak jakoś dziwnie... Stale unikasz rozmowy na ten temat, nigdy nie chcesz mi dać żadnych wyjaśnień...

Lufa mruknął coś niezrozumiałego i spojrzał z czułością na Jeanetę; widać było, iż czuje swoją winę, a nawet jest skłonny coś powiedzieć, ale się waha.

— ...a nawet powiedziałabym, że ty wprost wstydzisz się tego, że dostałeś nagrodę — udając obrażoną odsunęła się od niego.

— No, no, chodź tu dziecino — zdecydował się sierżant — opowiem

zie udania się całej hecy, on brał dziesięć tysięcy i ja dziesięć... No i wszystko poszło, jak po maśle. Ten Szopski tak wzruszył sędziów, że ryzyko ukarania go było żadne. Zresztą główny niby mściciel, nie żył; sprytny Cukier wykorzystał fakt, że 15 maja jakiś człowiek rzeczywiście zginął pod kołami samochodu i któżby mógł tam udowodnić, że ten truposz to nie był hrabia Zbych?...

— Więc hrabiego Zbycha nie było? — zapytała ze łzami w oczach Jeanette.

— Naturalnie, to był bohater scenarjuszowy, że tak powiem. Wogóle miał rację Cukier, gdy mówił, że publiczność zawsze leci na sentymentalny banał, zaprawiony kilku strzałami, skropiony paru łzami, mocno popieprzony i podany na hrabiowskim bilecie wizytowym. Ho! ho! ho! — to się ludziom podoba...

— Więc tego pięknego, bohaterskiego hrabiego Zbycha nie było?... ach! — Jeanette zapłakała serdecznie, po tak brutalnem zniszczeniu romantycznej złudy.

Lufa zaczął ją pocieszać:

— Nie płacz, kochanie, nie płacz. Powodów do sensacyjnych przeżyć nigdy na świecie nie braknie. Pomyśl tylko, coby to była za piekielna bomba jakby tak teraz wpadł w ręce policji, naprzykład, morderca tej dzieweczyny, albo ten zamachowiec? hm?... toby była dopiero heca? ho! ho! ho! — roześmiał się, ale szybko spoważniał, pogrążył się w swem zmartwieniu wcale poważnem. Wszakże on jeden stale czuwał, bo on jeden wiedział, że obie sensacyjne zbrodnie, które do takiego naprężenia doprowadziły opinję światową, są naprawdę niewyjaśnione. Ciągle jeszcze nie było (dla niego!) odpowiedzi na pytanie: kto zabił hrabiankę Nakońską? i kto wysadził w powietrze willę na Saint Denis?

Nie przeczuwał nawet genjalny sierżant Lufa, jak szybko dobry los rzuci mu niespodziewane rozwiązanie obydwóch zagadek.

Oto bowiem, gdy pogrążony w ciężkich myślach stanął sobie nad brzegiem morza, które właśnie uciekało mu z pod nóg wskutek odpływu, wzrok jego bystry padł nagle na jakiś przedmiot, pozostawiony przez fale na piasku. Była to flaszka próżna, z etykietką „Martel Cognac Medicinal".

Podniósł ją i raptem zauważył w jej wnętrzu jakiś papier. Tknięty przedziwnem przeczuciem, szybko wyjął korek i wyciągnął zwinięty w rulon arkusz papieru. Nie ulegało wątpliwości, to był list, wrzucony zapewne w morze przez jakichś, błagających o pomoc rozbitków.

Przywoławszy ciągle jeszcze zapłakaną i z wyrzutem na niego patrzącą Jeanettę, zaczął czytać. Im dalej wgłębiał się w treść tajemniczej korespondencji, oczy jego coraz bardziej rozszerzały się ze zdumienia, czoło pokrywało się zmarszczkami, aż powoli na usta wypłynął mu najpiękniejszy z jego uśmiechów.

Treść listu była następująca:

„Kochany Człowieku!

Jedziemy na wyspy Hawajskie chodzić nago i jeść banany prosto z drzewa!

Plujemy, biedaku, na waszą cywilizację wraz z hotelami, tramwajami i kinami, plujemy na wasze maszyny, szczepionki, radja, gramofony, telefony, klozety i prezerwatywy!

„Paryż znudził się nam! Znudziły się nam: Wasza psychoanaliza, wasze poezje, rzeźby, obrazy, teatry, kabarety i domy publiczne. Chcemy być ludźmi, a nie obywatelami, wyznawcami, członkami, żołnierzami i wogóle sługami idei i konwenansów!

„Precz z dyktaturą kultury!

„Zrzucamy z siebie wszelki bagaż cywilizacyjny, wraz z kołnierzykami i spodniami i jedziemy tarzać się nago, kąpać w nieperfumowanem morzu i grzać się przy prawdziwym ogniu!

„Niech żyje człowiek!

„Człowieku! Przed ucieczką z waszego świata postanowiliśmy zniszczyć naszą formalną powłokę. Otóż w dniu 14 maja b. r. paryscy policemani odkryli napewno jakieś morderstwo przy ulicy des Martyrs numer 13, w następnym dniu wszystkie ich siły zmobilizował zapewne wybuch na przedmieściu St. Denis.

„Człowieku, jeżeli z powodu obu tych wypadków grozi komu jakakolwiek kara, upoważniam cię do ogłoszenia następującego wyjaśnienia:

„krew w pokoju hrabianki Marji Nakońskiej pochodziła z nosa, a sztylet leżał tam jedynie dla efektu;

„2) willa Amerykanina Smitha była starą zapluskwioną ruderą i została wysadzona przez jej właściciela;

„3) hrabianka Marja Nakońska żyje i czuje się znakomicie;

„4) Jack Smith również żyje i w tej chwili się śmieje.

„Oboje, pozbywszy się wszystkiego, co ich łączyło z cywilizacją, Europą i przymusem, żyją i płyną na wyspy Hawajskie kochać się bez neurastenji i żyć bez pieniędzy.

gra na ulubionym saksofonie nie zdołała rozproszyć. Uporczywie nasuwało mu się na myśl: co teraz? co co?" i ciągle: „co?" Umysł jego, tak zawsze ruchliwy i płodny w śmiałe koncepcje, nie umiał odpowiedzieć na to uprzykrzone „co?" Miał w głowie tylko przeogromny tłok niepowiązanych

A na ulicy? Straszne. Drwili, pokazywali palcami:

— Oto ten zwyrodnialec, w stanie stałego zamroczenia alkoholowego — mówili. O, dolo, dolo człowiecza!...

— A później? Inspektor zmiękł, przepraszał, ściskał za ręce i prosił, prosił...

— Kochany sierżancie, ratujcie, ra-

dać na spodniach.

Sierżant do żywa tknięty tak rozczulającym widokiem, podszedł do chłopaka i czule położywszy rękę na jego ramieniu zapytał wesoło, lecz serdecznie:

— Coś się tak zafrasował, redaktorze?

wszeptując sobie w uszy swe smutki, żale, zawody. Deszcz rozpłakał się nad nimi sznurami srebrnych pereł...

W pewnej chwili sierżant zapytał:

— Pójdziesz ze mną, chudzino, na wódkę?

— Nie — odparło chłopię.

— A czemu?

okiem starej niani — hrabia stracił małżonkę po sześcioletniem pożyciu — wychowywały się pospołu hrabianka Marja i cygańska znajda, którą ochrzczono i nazwano.

— Przez świat przewalała się wielka wojna, lecz w starym, modrzewiowym dworze było zawsze cicho, spokojnie, po staremu. Jednakowo wschodziło słońce codzień i zachodziło, jednakowo przylatywały z wiosną jaskółki i odlatywały jesienią, jednakowo gwarliwym terkotem kół modlił się niski młyn, rechotały żaby... Och, czasy, błogie czasy!... — westchnął oskarżony głęboko i wzniósł oczy w górę.

— Jakkolwiek matka moja — odumarła mnie, gdy miałem dziesięć lat, (była klucznicą), młody hrabia Zbych nigdy nie dał mi poznać różnicy pochodzenia. Żyliśmy razem, sprzęgła przyjaźń dozgonna, na śmierć i życie. Choć był odemnie starszy o dwa lata, (miałem wówczas lat osiemnaście) zwierzał mi się z wszystkiego i nieraz, pędząc naprzełaj przez pola i lasy, zawoziłem mu liściki do Krysi leśniczanki, córki gajowego, w której się hrabicz potajemnie kochał: młodość... młodość...

— Lecz przejdźmy do wypadków roku 1919. Wywalczona ognistym mieczem generała Hallera powstała Polska wolna i niepodległa. Zagrzmiała pobudka: „Na koń, kto żyw!" Hrabia Nakoński był starcem i nie jemu był czas chwytać za oręż, ale miał przecież syna i wychowanka, mnie. Tak więc w cichości, a już chodziły słuchy, że krwawa pożoga bolszewicka jest tuż, tuż, rozpoczęliśmy przygotowania do wyruszenia pod ojczyste sztandary. Sprzedał hrabia jedną wieś, zgarnął w sakiewkę rodzinne klejnoty i gdy już wszystko było ułożone do wyjazdu za dwa dni, zgromadziwszy wszystkich: hrabiankę Marję, Olgę Ozimińskę i nas obydwóch, rzekł z namaszczeniem:

— Dzieci, oto daję wam pieniądze i klejnoty, oddajcie je Skarbowi Narodowemu, a siły wasze i serca rozkazom Ojczyzny, umilkł i zapłakał. Wszyscy płakaliśmy i z żalu nad rozstaniem i z radości, że już jest ta Polska wymodlona.

— Gdy tego samego dnia z hrabią Zbychem stałem w parku, nasłuchując, jak ciągną żórawie, usłyszeliśmy nagle szelest liści pod czyjemiś stopami. Patrzymy, a tuż, z pośród drzew wychodzi Krysia, najukochańsze dziewczę. Skoczył hrabia Zbych ku niej, do rąk się rzucił i całował. Przyszła się z nim pożegnać, pobłogosławić na drogę; ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej zawiesiła mu na piersi... Nie chcąc mącić im chwili czułego pożegnania, usunąłem się w boczną aleję i usiadłem na omszałym kamieniu. Nagle słyszę przyciszone kroki, „ktoś się skrada" — przemknęło mi w myśli. W tej chwili ujrzałem Olgę Ozimińskę: wolno się skrada, ukrywa za krzakiem leszczyny i patrzy na hrabiego, na Krysię... Widzę, jak jej czoło marszczy się, jak groźnie błyskają oczy, jak palce rąk drapieżnie kurczą się... Była straszna w tej chwili. Odszedłem, aby nie patrzeć na nią. Później opowiadał mi hrabia Zbych, jak Olga rzuciła mu się do kolan, jak mu wyznała swą miłość, jak go zaklinała na wszystkie świętości, by pozostał. Tłumaczył jej, że serce ma już zajęte, że Ojczyzna woła... Byłem pełen przeróżnych przeczuć...

— Nazajutrz gajowy Hryhory przybył na spienionym koniu, z wieścią, że bolszewicy są już o piętnaście kilometrów od dworu. Postanowiliśmy przyspieszyć. Mieliśmy wyruszyć jeszcze tego samego dnia wieczorem.

— Wśród gorączkowych chwil ostatnich przygotowań, końcowych poleceń i wskazówek, udzielanych przez hrabiego Nakońskiego, nie zauważyliśmy, że zabrakło Olgi z nią naszej najpiękniejszej klaczy, białonogiej „Zazuli". Stajenny, wypytany, wiedział tylko tyle, że „panienka Olga szła w kierunku stajen tuż po odjeździe Hryhorego". Popatrzyłem na hrabiego Zbycha, on na mnie, wiedzieliśmy wszystko: nie mogła przeżyć odtrąconej miłości, uciekła, ale dokąd?

— Była już ciemna, jak heban noc. Rechocące w stawie żaby umilkły jakby czegoś nasłuchiwały, w lesie odezwało się ponure pohukiwanie puszczyka, w ciemnej mazi powietrza z trzepotem przelatywały nietoperze...

— Ubraliśmy się. Do kieszeń włożyliśmy po parze znakomitych pistoletów automatycznych i poraz ostatni zaczęliśmy się żegnać z hrabią, z płaczącą hrabianką, z nianią...

— Pierwszy wyszedłem na ganek. Gotowe do drogi konie trzymane przez stajennego niecierpliwie uderzały kopytami o kamienie. Serce mi dziwnie łomotało, daleko w lesie wyły wilki. Nagle głęboką ciszę rozdarło przeraźliwe wycie setek gardzieli:

„Hurra! hurra!"

— Ciemną zasłonę nocy przecięły ognie wystrzałów. Coś mi świsnęło koło uszu, usłyszałem przejmujące rżenie spiętego na tylnych nogach konia i jęk, jęk... nie wiem, człowieka, czy zwierzęcia.

się w nią i nagle... poznałem. To była Olga. Ubrana w wysoką futrzaną czapkę z pięcioramienną gwiazdą bolszewicką nad czołem, z przewieszonym przez plecy karabinem, jakże wyglądała odmiennie od dawnej Olgi...

— Gdzie jest hrabiowski szczeniak? — zwróciła się z ostrem pytaniem do komisarza. W tej chwili już wiedziałem wszystko.

Umilkł. Sala zamarła w przejmującej, wprost niesamowitej ciszy.

— Przyjechała się nasycić widokiem zemsty. Szybkim krokiem podeszła do leżącego hrabiego Zbycha i zapytała drwiąco:

— No, jakże się tam jaśnie hrabicz czuje? hm? Może mnie teraz pokocha? Jestem silna! Ci wszyscy ludzie słuchają mnie i jeszcze jak! Ha! ha! — zaśmiała się szatańsko — oto dowody — wskazała na spalony dwór, na leżącą, zda się bez życia, zhańbioną hrabiankę.

— Hrabia Zych popatrzył na nią z pogardą i nagle splunął jej prosto w twarz. Skoczyła, jak wściekła suka, cięła go szpicrutą przez policzek i ryknęła: „Rozstrzelać go, rozstrzelać! Naprzód jego siostrę, tak... niech się napatrzy! Rozstrzelać sukinsyna!".

— W całej bandzie powstał tumult i krzyk. Jedni rzucili się ku hrabiemu Zbychowi, drudzy porwali nieprzytomną hrabiankę, inni stanęli przy „towarzyszce" Oldze.

— Ten moment uznałem za najodpowiedniejszy dla mnie. Szybko rozplątałem sznur i czołgając się na brzuchu, niepostrzeżenie wymknąłem się z kręgu ogniskowego światła; znalazłszy się w cieniu nocy, runąłem w las. Biegłem, co sił w nogach. Nagle, kiedy już oddaliłem się spory kawał od bolszewików i zgliszcz dworu, usłyszałem poza sobą tętent konia. Pościg! Ukrywszy się w zaroślach, nasłuchiwałem: tak, w ślad za mną gnał koń. Nim zdążyłem powziąć jakąś rozsądną myśl, koń stanął przedemną. O, Boże! To był mój „Kaprys", wierny towarzysz chłopięcych wypraw.

Przerwał na chwilę.

— Nie chcę was, sędziowie przysięgli, ani ciebie, szanowna publiczności, trudzić szczegółami, dlatego będę się starał możliwie streszczać.

— O mniej więcej trzy kilometry od dworu spotkałem silny oddział polskiej kawalerji, wysłany dla zbadania przyczyn nagłego pożaru. Gdy w szybkich słowach opowiedziałem dowódcy, młodemu porucznikowi (dziś jest generałem) przebieg ostatnich wydarzeń, jak lawina w piekielnym galopie ruszyliśmy naprzód, by tylko móc przybyć jeszcze na czas, uratować hrabiankę i hrabiego Zbycha. W odległości zaledwie kilometra od ogniska doleciał nas odgłos bezładnej salwy karabinowej. Serce we mnie zamarło: Wiedziałem... hrabianka w tej chwili żyć przestała. Może to i lepiej dla niej było?...

— Hrabiego Zbycha uwolniliśmy. Ledwo żył. Gdy przyszedł do siebie, prosił o śmierć. Podziurawione kulami ciało hrabianki znaleźliśmy przywiązane sznurami do drzewa. Towarzyszka Olga uciekła zapewne, bo pomiędzy trupami nie znaleźliśmy jej.

Umilkł, ocierając chustką spieczone usta.

— Po zwycięskiej wojnie z bolszewikami rozstaliśmy się z sobą: hrabia Zbych wyjechał do Ameryki na studja techniczne, ja ruszyłem na daleki Wschód studjować język chiński.

— I tak minęło jedenaście lat. Przed kilku tygodniami przybyłem do Paryża i w zaciszu gabinetu oddałem się mej pracy naukowej. Nagle, wczesnym rankiem dwunastego maja drzwi się otwierają, patrzę... patrzę i oczom nie wierzę... Przedemną stał hrabia Zbych. Ze łzami radości padliśmy sobie w ramiona.

— W ciągu kilku godzin wyznał mi powody nagłego przyjazdu z Ameryki. Oto, dzięki stosunkom z wybitniejszemi jednostkami polskiego wywiadu poiltycznego, dowiedział się, iż towarzyszka Olga, słynąca w Sowietach jako krwawy kat czerezwyczajki, przybyła w celach szpiegowskich do Paryża, ukrywając się pod zmienionem imieniem i nazwiskiem. Po zebraniu najdrobniejszych szczegółów, natychmiast wsiadł na okręt w Nowym Yorku i przyjechał, gnany nadzieją, iż oto, jego tyloletnie marzenie o słodkiej zemście za śmierć ojca, za hańbę i śmierć siostry, niani, za spalenie dworu ziszcza się...

— Towarzyszka Olga zamieszkała — tu oskarżony zatrzymał się chwilę, jakby chcąc przekonać się, czy słuchacze, których nerwy były napięte do ostatecznych granic wytrzymałości, potrafią znieść ogromne wrażenie jego wyjaśnienia — towarzyszka Olga zamieszkała przy ulicy des Martyrs numer 13, pod nazwiskiem, o bestjalski cynizmie! hrabianki Marji Nakońskiej.

Z setek ust zasłuchanej publiczności wyrwał się jeden ryk najwyższej zgrozy, oburzenia!

Gdy po dłuższem uspokajaniu rozgorączkowanych słuchaczów (wiele pań zemdlało) przewodniczący pozwolił oskarżonemu dalej mówić, ten,

domu. Spojrzał dokoła i poznał, że znajduje sę na przedmieściu, St. Denis.

— Zapadał już wieczór, gdy przyszedł do cna wyczerpany, ledwo żywy do mnie: — Stało się — tylko tyle powiedział i runął bezsilnie na łóżko; usnął snem strudzonego dziecka. Było to 14 maja. Następnego dna obudził się około godziny dziesiątej. Pokrzepiony snem, w krótkich słowach opowiedział mi wszystko: przy końcu wyjawił, że natychmiast uda się do komisarjatu policji, celem przyznania się do popełnionego czynu, pozatem chciał zwrócić uwagę władz bezpieczeństwa na willę na przedmieściu St. Denis, na siedzibę bolszewickiej czerezwyczajki. Był jakiś dziwnie smutny: mówił krótko, jakby niechętnie, z wzrokiem apatycznie wpatrzonym w przestrzeń... czyżby miał przeczucia?...

— Chcąc go pozostawić samemu, aby się uspokoił, rozprawił z swemi myślami, wyszedłem. Och! czemuż tak się stało? — westchnął gorzko.

— Na ulicy kupiłem numer porannego dziennika z dnia 15 maja, w którym znalazłem wiadomość o wysadzeniu w powietrze willi Amerykanina Smitha, na przedmieściu St. Denis. Wlot pojąłem przyczynę tego wybuchu: ów rzekomy Amerykanin, a właściwie agent bolszewicki, odzyskawszy przytomność, zdał sobie sprawę z tego, co grozi całemu bolszewickiemu wywiadowi w Paryżu, w razie wkroczenia do tego budynku policji, zaalarmowanej przez hrabiego Zbycha. Willa ta przecież była tajnym arsenałem, w niej gromadzono wszelkie dokumenty, świadczącej o intensywnej akcji szpiegowskiej na terenie Francji, w niej wreszcie wykonywano egzekucje na „niewygodnych" ludziach. Otóż, w obawie nagłej rewizji policyjnej, ci wywrotowi emisarjusze trzeciej międzynarodówki wysadzili poprostu willę w powietrze, zacierając w ten sposób wszelkie ślady swej podziemnej roboty...

— Gdy tak szedłem, pogrążony w rozpatrywaniu tego sensacyjnego wypadku, nagle przystąpił do mnie elegancko ubrany człowiek i przedstawiwszy się, jako asystent profesora orjentalistyki w Berlinie, prosił mnie imieniem profesora o przybycie w pewnej ważnej kwestji naukowej do niego, do hotelu „Imperjal". Chętnie zgodziłem się na to, nie przeczuwając nic złego, wsiadłem z tym człowiekiem do czekającego auta, czarnej, wytwornej limuzyny. Ruszyliśmy z miejsca; w pewnej chwili poczułem dziwny, ostry zapach i straciłem przytomność.

— Wpadłem w ręce bolszewickiego wywiadu. Więziono mnie w ciemnym, ponurym lochu, przez cztery dni, co się nie nacierpiałem, czego nie przeszedłem! Doprawdy, dziwię się, że mnie nie zabili, miało to widać nastąpić później. Pewnej nocy zeszedł do mej kaźni jeden z tych zbirów i, zawiązawszy mi oczy chustką, kazał iść za sobą. Usłuchałem. Szedłem przez jakie śpodziemia, schodami do góry i schodami na dół, aż wreszcie chwyciłem w nozdrza świeże powietrze. Byliśmy na dworze, na jakiejś nieznanej mi ulicy. Mój kat zdjął mi z oczu chustkę, wepchnął mnie do auta i usiadłszy przy mnie, pod groźbą śmierci, zakazał mi ruszyć się lub krzyknąć. Z niezapalonemi światłami samochód w szybkim pędzie ruszył naprzód, starannie omijając ruchliwe ulice. W bocznych uliczkach było cicho, ciemno i pusto, nadzieja na jakąkolwiek ludzką pomoc była mała, mimo to jednak nie pozbywałem się myśli o ucieczce...

W pewnej chwili ujrzałem na rogu podoficera policji. Momentalnie zdecydowałem się. Krzyknąłem: — „Na pomoc" — i błyskawicznie wyskoczyłem z pędzącego auta. Usłyszałem za sobą trzask wystrzału i upadłem na bruk. Widziałem, jak samochód mych prześladowców szybko się oddalał, ostrzeliwany przez owego dzielnego wywiadowcę. Po chwili ów funkcjonarjusz policji podszedł do mnie, podniósł i po stwierdzeniu, iż nie jestem ranny, przewiózł mnie do komisarjatu. Tam opowiedziałem wszystko. Nie wierzono mi, bo mimo intensywnych poszukiwań, nie znaleziono hrabiego Zbycha. Byłem zdziwiony i zaniepokojony. Czyżby się rozmyślił i nie złożył zeznań? Czy może stał się ofiarą bolszewickich agentów? Różne przychodziły mi myśli do głowy...

Oskarżony zwrócił się do ławy przysięgłych.

— Sędziowie przysięgli! Wyniki śledztwa są wam już znane. Ten człowiek nie żyje. Po wyjściu z mego mieszkania, w celu udania się do komisarjatu, na ulicy Chopina zginął pod kołami samochodu, ratując życie małemu dziecku!

— Ponieważ przy zwłokach jego nie znaleziono żadnych dokumentów, pochowano go równocześnie z kilku innymi nieznanymi nędzarzami...

Przez salę przeleciał jeden ogromny jęk, jedno ciężkie westchnienie. Płakali sędziowie, nawet prokurator

otarł nieznacznie nawisłą pod powiekami łzę...

— Akt oskarżenia zarzuca mi, iż stałem się winny współdziałania przez niezawiadomienie władz bezpieczeństwa o zbrodniczym zamiarze hrabiego Zbycha Nakońskiego. Sędziowie przysięgli! Czyż ja, przyjaciel, ja, który sam poprzysiągłem być mścicielem, miałem zdradzić hrabiego Zbycha? Miałem przeszkodzić w usunięciu z pod słońca tej bestjalskiej gadziny? Tego szpiega, godzącego w całość Rzeczypospolitej francuskiej? — rzucił w znieruchomiałą z przejęcia sale pytanie i zamilkł, zwiesiwszy głowę, jakby w pokornem oczekiwaniu ciosu.

I nagle nabrzmiałą wyczekiwaniem ciszę rozdarł jeden potężny, przejmujący, imperatywny krzyk:

— Uwolnić! Uwolnić! Uwolnić!

Ponad setki przejętych wzruszeniem głosów, wybijał się głęboki, miękki baryton sierżanta Lufy:

— Uwolnić!

XV.

NA RIVIERZE. GENJALNOŚĆ SIERŻANTA LUFY. TAJEMNICA JEDNEJ BUTELKI.

W dwa tygodnie po sensacyjnem procesie, zakończonym uwolnieniem oskarżonego Szopskiego, w kościele Notre Dame odbył się wspaniały ślub sierżanta Cezarego Lufy z uroczą Jeanettą Dubois, ową nauczycielką, która brała niegdyś mimowolny udział w brawurowej pogoni za doktorem.

Miesiąc poślubny młodzi małżonkowie spędzali na Rivierze francuskiej.

Pewnego pięknego poranku, leżąc na gorącym piasku nadmorskim, napawali się swojem niewysłowionem szczęściem. Oboje, zmęczeni niewinnemi igraszkami z sobą, — byli sami, — opuścili nogi nad wodę i pozwolili nadpływającej fali łagodnie muskać im stopy.

W czystych promieniach słonecznych fruwały motyle, hen, pod lazurem niebios bujały srebrnopióre mewy, z pochylonej ku morzu palmy dolatywał dźwięczny trel słowików, a pobliski kobierzec murawy raził oczy przecudną gamą kolorów wonnego kwiecia, nad którem uwijały się miododajne pszczółki, brzęcząc pozłociście. A morze było jak błam lazurowego nieba, mieniące się szmaragdem w przegubach fal...

Jeanetta leżała na ciepłym piasku, czule przytulona do boku męża i, poruszając swemi pięknemi nóżkami, marzyła. Myśli tej przeczystej jak bursztyn duszyczki bujały gdzieś, hen... wysoko, jak te skowronki! A jej prześliczne, różowiutkie ciałko, obciągnięte przeźroczystym jedwabiem kostjumu emanowało jakąś boską siłą, wzniecając wokół urok czegoś nieznanego, jak sen jaki złoty... Jej wdzięczna postać, postać wodnej nimfy, promieniejącej czarem wiosny odbijała się w przeczystej toni morza, tak, iż sierżant Lufa mógł, wpatrzony w wodę, jak w zwierciadło, obserwować czarodziejską piękność swej żony, jej krągłe piersi, jej linję bioder, jej cudne oczy, w których — zda się — był uwięziony kawał nieba...

Była to chwila, pełna czułego nastroju, chwila podniosła, podatna do wspomnień... wyznań...

— Słuchaj, najdroższy — odezwała się Jeanette, obejmując rączką męża za szyję — prawda, jak to cudownie się stało, że ten Szopski wpadł w twoje ręce? Gdyby tak kto inny był obronił go przed tym bolszewickim łajdakiem, to byłbyś nie dostał nagrody i...

— Uhm... tak, tak — mruknął jakoś niechętnie Lufa i machnął niecierpliwie ręką, jakby opędzał się przed natrętnemi muchami.

— Opowiedz mi, kochany, jak to było, gdy ty strzelałeś za tym samochodem! Ja tak bardzo lubię, gdy opowiadasz takie sensacyjne historje! — prosiła, przymilnie całując Lufę w policzek.

— Zwyczajnie, dziecino — sierżant chciał zbyć tę prośbę byle czem — ot, ten Szopski wyskoczył z auta, oni strzelili do niego, ja zacząłem strzelać do nich i tak dalej...

— Eee — wydęła usteczka — ty niegrzeczny jesteś! nic nie chcesz opowadać swej żoneczce... Ty mnie wcale niekochasz... — skarżyła się nadąsana.

Sierżant milczał.

— Ty mnie nie kochasz — żaliła się dalej — bo stale, jak zaczynam mówić o tym sensacyjnym procesie, to ty zachowujesz się tak jakoś dziwnie... Stale unikasz rozmowy na ten temat, nigdy nie chcesz mi dać żadnych wyjaśnień...

Lufa mruknął coś niezrozumiałego i spojrzał z czułością na Jeanetę: widać było, iż czuje swoją winę, a nawet jest skłonny coś powiedzieć, ale się waha.

— ...a nawet powiedziałabym, że ty wprost wstydzisz się tego, że dostałeś nagrodę — udając obrażoną odsunęła się od niego.

— No, no, chodź tu dziecino — zdecydował się sierżant — opowiem

w razie udania się całej hecy, on brał dziesięć tysięcy i ja dziesięć... No i wszystko poszło, jak po maśle. Ten Szopski tak wzruszył sędziów, że ryzyko ukarania go było żadne. Zresztą główny niby mściciel, nie żył; sprytny Cukier wykorzystał fakt, że 15 maja jaki' człowiek rzeczywiście zginął pod kołami samochodu i któżby mógł tam udowodnić, że ten truposz to nie był hrabia Zbych?...

— Więc hrabiego Zbycha nie było? — zapytała ze łzami w oczach Jeanette.

— Naturalnie, to był bohater scenarjuszowy, że tak powiem. Wogóle miał rację Cukier, gdy mówił, że publiczność zawsze leci na sentymentalny banał, zaprawiony kilku strzałami, skropiony paru łzami, mocno popieprzony i podany na hrabiowskim bilecie wizytowym. Ho! ho! ho! — to się ludziom podoba...

— Więc tego pięknego, bohaterskiego hrabiego Zbycha nie było?... ach! — Jeanette zapłakała serdecznie, po tak brutalnem zniszczeniu romantycznej złudy.

Lufa zaczął ją pocieszać:

— Nie płacz, kochanie, nie płacz. Powodów do sensacyjnych przeżyć nigdy na świecie nie braknie. Pomyśl tylko, coby to była za piekielna bomba jakby tak teraz wpadł w ręce policji, naprzykład, morderca tej dziewczyny, albo ten zamachowiec? hm?... to by była dopiero heca? ho! ho! ho! — roześmiał się, ale szybko spoważniał, pogrążył się w swem zmartwieniu wcale poważnem. Wszakże on jeden stale czuwał, bo on jeden wiedział, że obie sensacyjne zbrodnie, które do takiego naprężenia doprowadziły opinję światową, są naprawdę niewyśnione. Ciągle jeszcze nie było (dla niego!) odpowiedzi na pytanie: kto zabił hrabiankę Nakońską? i kto wysadził w powietrze willę na Saint Denis?

Nie przeczuwał nawet genjalny sierżant Lufa, jak szybko dobry los rzuci mu niespodziewane rozwiązanie obydwóch zagadek.

Oto bowiem, gdy pogrążony w ciężkich myślach stanął sobie nad brzegiem morza, które właśnie uciekało mu z pod nóg wskutek odpływu, wzrok jego bystry padł nagle na jakiś przedmiot, pozostawiony przez fale na piasku. Była to flaszka próżna, z etykietką „Martel Cognac Medicinal".

Podniósł ją i raptem zauważył w jej wnętrzu jakiś papier. Tknięty przedziwnem przeczuciem, szybko wyjął korek i wyciągnął zwinięty w rulon arkusz papieru. Nie ulegało wątpliwości, to był list, wrzucony zapewne w morze przez jakichś, błagających o pomoc rozbitków.

Przywoławszy ciągle jeszcze zapłakaną i z wyrzutem na niego patrzącą Jeanette, zaczął czytać. Im dalej wgłębiał się w treść tajemniczej korespondencji, oczy jego coraz bardziej rozszerzały się ze zdumienia, czoło pokrywało się zmarszczkami, aż powoli na usta wypłynął mu najpiękniejszy z jego uśmiechów.

Treść listu była następująca:

„Kochany Człowieku!

Jedziemy na wyspy Hawajskie chodzić nago i jeść banany prosto z drzewa!

Plujemy, biedaku, na waszą cywilizację wraz z hotelami, tramwajami i kinami, plujemy na wasze maszyny, szczepionki, radja, gramofony, telefony, klozety i prezerwatywy!

„Paryż znudził się nam! Znudziły się nam: Wasza psychoanaliza, wasze poezje, rzeźby, obrazy, teatry, kabarety i domy publiczne. Chcemy być ludźmi, a nie obywatelami, wyznawcami, członkami, żołnierzami i wogóle sługami idei i konwenansów!

„Precz z dyktaturą kultury!

„Zrzucamy z siebie wszelki bagaż cywilizacyjny, wraz z kołnierzykami i spodniami i jedziemy tarzać się nago, kąpać w nieperfumowanem morzu i grzać się przy prawdziwym ogniu!

„Niech żyje człowiek!

„Człowieku! Przed ucieczką z waszego świata postanowiliśmy zniszczyć naszą formalną powłokę. Otóż w dniu 14 maja b. r. paryscy policemani odkryli napewno jakieś morderstwo przy ulicy des Martyrs numer 13, w następnym dniu wszystkie ich siły zmobilizował zapewne wybuch na przedmieściu St. Denis.

„Człowieku, jeżeli z powodu obu tych wypadków grozi komu jakakolwiek kara, upoważniam cię do ogłoszenia następującego wyjaśnienia:

„krew w pokoju hrabianki Marji Nakońskiej pochodziła z nosa, a sztylet leżał tam jedynie dla efektu;

„2) willa Amerykanina Smitha była starą zapluskwioną ruderą i została wysadzona przez jej właściciela;

„3) hrabianka Marja Nakońska żyje i czuje się znakomicie;

„4) Jack Smith również żyje i w tej chwili się śmieje.

„Oboje, pozbywszy się wszystkiego, co ich łączyło z cywilizacją, Europą i przymusem, żyją i płyną na wyspy Hawajskie kochać się bez neurastenji i żyć bez pieniędzy.

ci wszystko, bo już mi ta tajemnica, do licha, bokiem wychodzi.

— Fe, jak ty się wyrażasz! — skarciła go Jeanette.

— Serjo — ciągnął dalej Lufa — od czasu tego procesu nie mam ani chwili spokoju. No, opowiem ci, przysuń się bliżej. Furda! z tą udręką!

— Mów-że już... — nalegała zaciekawiona Jeanette.

Sierżant, nabijając tytoniem fajkę, zaczął:

— Właściwie, wiesz, kochanie, to nie powinienem ci o tem mówić, ale... — machnął ręką.

— Och, mów-że już, ty gaduło kochany, jakie tam tajemnice chowasz przedemną — przynalegała niecierpliwie.

— Musisz mi tylko przyrzec, że wszystko, co usłyszysz, zachowasz w bezwzględnej dyskrecji... — przyłożył palec do ust i uśmiechnął się. — Zgoda?

— Zgoda! — przytaknęła ochoczo.

— A więc sprawa wygląda tak: wiesz przecie, jak wyglądała ta zbrodnia z ulicy des Martyrs? No i wiesz, że inspektor Dupont nazwał ją mordem seksualnym? No i wiesz, jak przyszło do aresztowania doktora, prawda? Później, widzisz, nastąpił ten zamach dynamitowy, no i jeszcze później po zeznaniach jednego bardzo miłego gazeciarza, inspektor Dupont obie te sprawy genjalnie zaokrąglił, zczepił i z doktora zrobił nietylko zbocz̀eńca, ale i zamachowca. Ale nie dał się biedaczek! Pamiętasz jego zeznanie? Wtedy cała znakomita teorja inspektora Duponta wzięła w łeb i skończyło się na generalnej „klapie". To była „wsypa" pierwszej klasy, cha! cha! cha!

— ?

— Tak, to było przykre, chodź usiądź i płacz... Stany Zjednoczone, pojmujesz dziecino, robią interwencję, krzyczą, żądają, grożą! W Polsce przeróżne demonstracje, manifestacje i tak dalej. We Włoszech to samo, księża znowuż grzmią o tego swojego człowieka, jak... a, a, kochanie, czego tam nie było?!

— ?

— W kraju, rozumiesz, dziecino? niezadowolenie, różne interpelacje, rezolucje i tak dalej. Jak to piszą, „wzburzenie szerokich warstw społeczeństwa"...

— ?

— Zewsząd grożą rządowi, rząd grozi inspektorowi dymisją, a inspektor grozi znowu mnie wywaleniem z posady i tak dalej; pojmujesz, dziecino? Człowiekowi ledwo ta pensja wystarczy na fotel i hotel, a tu...

— ??

— Jednem słowem zaczęło się robić nudno i paskudnie! A śledztwo — nic! No, bo złap, moja droga, tego, który zabił dziewczynę i tego, który wysadził willę, nie majc ani jednego najmniejszego punktu zaczepienia! Zresztą, chodziło o pośpiech, o natychmiastowy efekt... Pech! — splunął daleko w morze.

— Fe, nie pluj, kulturalny człowiek nie powinien pluć! — strofowała go Jeanette.

— Inny człowiek na mojem miejscu, kochanie, straciłby głowę i wyleliby go z posady, przez co nasze stosunki zagraniczne i wewnętrzne wcale nie uległyby poprawie — zmrużył oko i uśmiechnął się, jakby do czegoś jemu tylko znanego.

— Słuchaj, Czaruś, ale przecież, dzięki Bogu, sprawa tych zbrodni została wyjaśniona i dzięki tobie...

— Prestige Francji został uratowany, chciałeś powiedzieć, prawda? — Lufa uśmiechnął się.

— Uhm, rzeczywiście, tylko że właściwie to nie dzięki mnie...

— A dzięki komu? — przerwała ostro Jeanette.

Lufa podniósł głowę i długo patrząc w oczy swej żonki, nagle roześmiał się głęboko i, zmrużywszy szelmowsko jedno oko, rzucił jakby do siebie samego:

— Ten Cukier to ma łeb... fi, fi, fi!... oho, ho, ho!

— Co za Cukier? — zapytała szorstko Jeanette.

— To taki jeden reżyser filmowy — zaśmiał się cichutko.

— Ależ, co on ma wspólnego z tym Szopskim i z procesem??

— Jeszcze się nie domyślasz? — zkolei spytał Lufa. — Poprostu cała ta historja, którą opowiedział Szopski, jest bujdą!

— Co??...

— To wszystko było robotą reżysera Cukiera — wyjaśnił krótko sierżant.

— Jakto? Nie rozumiem...

— Całkiem prosto — odparł Lufa. — Pewnego pięknego wieczora wpadłem do niego, opowiedziałem wszystko i podsunąłem mu myśl, cz... by ta przypadkiem, rozumiesz, ... dało się jakoś tak urządzić, żeby ... cały skandal naprawić. Cukier, rządny chłop, choć Żyd, posłuchał, pokręcił głową, zaznajomił się szczegółowo z całą sprawą i tak dalej i powiedział: „Zrobi się". Musisz wiedzieć, że wchodziła tu w grę i nagroda, w r...

„Hurra! Niech żyje niezależny człowiek! Niech żyją Polki!

Jack Smith

Miljoner z Chicago.

„Uwaga: Moja przyjaciółka jest autentyczną polską hrabianką. Jeżeli ogłoszenie naszego listu będzie niepotrzebne, zniszcz go! Równocześnie załączam czek na miljon dolarów dla bezrobotnych Europy!

„Wszystkim, którzy ewentualnie z takiem przejęciem śledzili tragiczną historję mej rzekomej śmierci, zasyłam przy tej sposobności wiele serdecznych pozdrowień i całusków.

Pa! Pa!

Marja hr. Nakońska.

goni za słońcem, śladami Allana Gerbault.

Paryż w porównaniu do życia na morzu jest ogromnie nudny. Dopiero teraz czuję, że żyję.

No, kończę, muszę natychmiast ściągnąć żagle, bo nadciąga burza. Ach! jakie to zachwycające!

Pa! Pa!

P. S. W miłem towarzystwie mego przyjaciela, amerykańskiego miljonera udaję się w egzotyczną podróż w po-

Pomyśleć, że już od kilku dni nie miałam karminu na ustach!

Pa! Pa!

Niech żyją Amerykanie! Niech żyje swoboda i słońce!"

Sierżant Lufa usiadł na ziemi i zaczął się śmiać.

KONIEC.

KREW, DYNAMIT I MIŁOŚĆ. 23)

czyli cztery godziny przed wybuchem...

— Cha! cha! — zaśmiał się złośliwie inspektor — a to wam żandarmem wojskowym być, a nie wywiadowcą policyjnym. Czyż nie wiecie, że maszyna piekielna wybucha nawet po kilkunastu godzinach, po nastawieniu mechanizmu zegarowego? Lepiej mu nawet było siedzieć w więzeniu podczas wybuchu, bo miał alibi... Przytoczę wam jeszcze jedno znamienne zeznanie, a może pojmiecie wszystko: otóż szofer taksówki, która wiozła doktora w czasie gdyście go gonili, zeznał, iż ten pan wsiadł na przedmieściu St. Denis. Poco tam jeździł? Dziś będę go przesłuchiwał, może nareszcie wyśpiewa wszystko, jak to było z tą hrabianką Nakońską i z tym zamachem.

Gdy w godzinę później sierżant Lufa szedł od swego znajomego, niosąc pod pachą duże pudło z saksofonem (z zapałem oddawał się grze na tym ulubionym instrumencie) spostrzegł stojącego na rogu ulicy w słonecznej spiekocie Paula Narand. Wymachiwał szarą płachtą papieru krzycząc w niebogłosy:

— Nadzwyczajny dodatek! Sensacja nad sensacjami! Rewelacyjne zeznania gazeciarza rozjaśniają tajemnicę zamachu dynamitowego! Co widział Paul Narand? Co z tem wszystkiem ma wspólnego doktor Kubiak? Śledztwo na nowych torach!

Palce tysięcy reporterów, przedłużone drutami telegrafów, wielkiemi literami wybijały we wszystkich częściach świata sensację o wspólnie doktora Kubiaka, o genjalności policji francuskiej, o wykryciu sprawcy wysadzenia w powietrze willi Amerykanina Jacka Smitha.

XI.

SPOWIEDŹ LEKARZA. SPRAWKI SZATANA.

O godzinie trzeciej popołudniu, przed stężałe w surowej przebiegłości oblicze inspektora Duponta i sędziego śledczego Dassauta sprowadzono słaniającego się na nogach młodego doktora Kubiaka.

Gdy drzwi gabinetu, w którym miało się odbyć przesłuchanie, zamknęły się, sierżant Lufa, żarty ciekawością, przyłożył ucho do dziurki od klucza i posłuchiwał. Dokładnie odróżniał ostry głos inspektora i piskliwy dyszkancik sędziego Dassauta. Pierwszy przemówił sędzia:

— Czy pan jest już skłonny wreszcie przyznać się do hrabianki Marji Nakońskiej?

— Jestem niewinny — doleciała Lufę słaba odpowiedź lekarza.

Na to odezwał się inspektor:

— Policja szuka winnych, a nie niewinnych. Proszę pana, zeznania świadków są obciążające — dodał tonem przestrogi. — Proszę się przyznać, szczery żal zmywa grzechy — zarecytował, jak z katechizmu — i łagodzi srogość wyroku.

— Jestem niewinny — jęknął doktor — torturujcie mnie, a powiem, że jestem niewinny.

— Czy znał pan ś. p. Marję hrabiankę Nakońską? — zapytał sędzia Dessaut i po chwili bezowocnego oczekiwania, dodał: — Milczenie jest znakiem potwierdzenia. Zresztą podczas pierwszego badania zeznał pan, iż znał denatkę.

W pokoju zapanowała cisza.

— Widziano pana obok domu, w którym mieszkała hrabianka Nakońska — dodał inspektor Dupont.

— Jestem niewinny, jestem niewinny! — jęczał cichutko lekarz. Później uszu sierżanta doleciał stłumiony szept: może pobożny doktor się modlił?

— Panie! — ostro powiedział sędzia. — Proszę wykazać swoje alibi.

— Zeznania kucharki — dodał inspektor — stwierdzają, iż pan w krytycznym dniu między godziną dziewiątą a pierwszą w nocy był nieobecny w domu. Gdzie pan był w tę noc?

Cisza i nagle długi, bolesny jęk.

— Na miłość Boską, jestem niewinny. Nikogo nie zamordowałem. Ja nie mogę powiedzieć, gdzie byłem w tę noc — wykrzyknął głosem zbolałym.

— W takim razie my panu powiemy, gdzie pan był — bezlitośnie powiedział inspektor Dupont. — Na ulicy des Martyrs, pod numerem trzynastym!

Lekarz milczał. Lufa miał wrażenie, że płakał rzewnie, jak dziecko, złapane na gorącym uczynku.

Inspektor zamieniał z sędzią jakieś szepty, po chwili energicznie rzucił pytanie: — W jakim celu sporządzał pan maszynę piekielną?

Cios był nagły, ostry, jak pchnięcie szpadą, zaskakujący.

Doktor krzyknął, jak przez łzy (jeśli udawał w tej chwili, to udawał świetnie):

— Jaką maszynę piekielną? Co wy chcecie odemnie? Jaką maszynę piekielną? O, Boże!

KREW, DYNAMIT I MIŁOŚĆ. 24)

piąca pani oczekuje mnie w swym buduarze. Uchyla przedemną drzwi do saloniku, wskazuje następne i sama znika. Idę i wchodzę do tego buduarku, urządzony był, jak marzenie i nie zbywało w nim nic, co kobiece, wytworne, drogocenne. W niszy, przysłoniętej piękną kotarą, w mahoniowem łożu leżała ta, która mnie wezwała. Ach, jakże była piękna! O, jakże piękne mogą być kobiety!......

... — Uprzejmie poprosiła, bym usiadł na tabureciku obok niej. Dziękowała za przybycie. Opowiedziała, iż przyjechała z Helszteinu tylko na parę tygodni i niespodzianie zachorowała; jest pewna, że tylko ja mogę ją uzdrowić. Różowe światło nocnej lampki padało na jej śliczną twarz, twarz anielską i szatańską. Śmiała się, częstowała pomadkami. Gdy wyciągnęła w moją stronę rękę, przez rozchylony rękaw pyjamy ujrzałem jej cudne ramię. Odkryła się do połowy ciała; przez cienki jedwab, prześwietlony padającym zgóry światłem, widziałem jej krągłe piersi... O, Boże! Przebacz mi!! — jęknął i długo milczał... — Zaczęło się coś ze mną dziać dziwnego: cały drżałem, w głowie czułem szum i jakowąś gorącość. Spostrzegła to i swą pachnącą rękę lekko położyła na mej głowie i wtedy... wtedy przycisnąłem tę rękę do rozpalonych ust. „Grzech, grzech!" — krzyczało mi sumienie, a ja nie miałem już sił ratować się. Swemi maleńkiemi, czerwonemi, woniejącemi, jak kwiat róży usteczkami dotknęła mego czoła... a ja, ja, całowałem jej rękę coraz wyżej, wyżej... ach! ach! cóż ja zrobiłem w parę tygodni po ślubie z tamtem niewinnem stworzeniem! — jęknął rozpaczliwie. — Nie wiem, kto skręcił lampkę i doprawdy nie wiem, jak to się stało... Słyszałem jej gorący oddech, jej namiętny szept i bicie krwi w skroniach... Zgrzeszyłem! Upadłem na samo dno upodlenia...

Po chwili kończył głosem złamanym:

— Nie wiem, już jakim sposobem znalazłem się na ulicy. W ręku miałem jakąś książkę a w niej znalazłem później 500 franków. W uszach jeszcze dźwięczy mi jej niecne szyderstwo: „chciałam doświadczyć jak to jest z młodym doktorem, znanym z cnotliwego życia w parę tygodni po jego ślubie... — tak powiedziała. — Oto jest moja spowiedź, oto są moje grzechy — westchnął głucho.

Przez głowę Lufy przeleciało jedno wielke zdziwione i rozczarowane: „No??!!! I co dalej? Już?" Chciało mu się śmiać z tego pikantnego dowcipu pani Peseratescep a równocześnie i płakać z powodu runięcia, załamania się całego śledztwa! Zastanowiło go tylko jedno: dlaczego doktor tak długo milczał? Na to niewypowiedziane pytanie usłyszał rychło odpowiedź:

— Ona wyjechała nazajutrz do Helszteinu, tuszyłem więc, że nikt się nie dowie o mym grzechu. A gdy, podczas rozmowy ów sierżant zaczął mi stawiać dziwne pytania, wikłałem się, bladłem, bo myślałem, że wie coś o moim upadku i przyszedł podrwić sobie ze mnie. A później, po aresztowaniu, gdy dowiedziałem się, że mnie posądzacie o ohydne morderstwo, milczałem, wierzyłem, że niebawem odkryjecie prawdziwego zbrodniarza i wypuścicie mnie wolnego i — o pycho szatańska! — otoczonego nimbem męczeństwa... Grzech mój miałem wyznać tylko na spowiedzi; stało się inaczej. Ha, niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba — zakończył z przejęciem.

W gabinecie zaczęły trzeszczeć krzesła: dostojni urzędnicy krząkali, szurgali butami, lecz żaden z nich nie przemówił ani słowa, milczeli pod przerażliwem wrażeniem nietylе wielkości tego upadku młodego małżonka, co upadku całego tak misternie dzierganego śledztwa i to śledztwa w dwóch okropnych zbrodniach, trzymających w niesłychanem napięciu cały świat.

— Czy panowie mi nie wierzycie? — zapytał lekarz. — Popatrzcie na podpis na pierwszej stronie tej demoralizującej książki, którą mi wraz z pieniędzmi wsunęła do ręki ta jawnogrzesznica; jest tu podpis: Anita Preservatescep. Zresztą możecie, panowie, zażądać od niej zeznań przez policję helsztyńską...

— A to ci heca! niech cię pokręci. hi, hi, hi! — przemknęło Lufie; nim podniósł ucho z nad dziurki od klucza, aby z serdecznym śmiechem wypaść na ulicę — usłyszał jeszcze nagłe parsknięcie sędziego Dessauta:

— Cha, cha, cha!... a to nam pan zrobił galimatjas, cha, cha, cha. No, puszczam pana wolno i cało... cha, cha, cha! a to dobre! A pod nami, panie inspektorze, niech się ziemia zapadnie!

XII.

NIESŁYCHANE WZBURZENIE OPINJI ŚWIATOWEJ.

Wrażenie, jakie wywarło wypuszczenie na wolność niewinnego doktora Kubiaka było olbrzymie.

O ile przedtem opinja Francji i całego świata szalała, dostawała drgawek

KREW, DYNAMIT I MIŁOŚĆ. 25)

wdzięcza jedynie temu, iż był oficerem i t. d. Tłustym drukiem donosił, iż: „jak nas informują z źródła najbardziej miarodajnego, w najbliższych dniach spodziewać się należy w stołecznej służbie śledczej licznych zmian, przesunięć i przeniesień w stan spoczynku".

Dostało się i sierżantowi Lufie, nazwano go „zwyrodnialcem i bezbożnikiem, będącym w stanie stałego zamroczenia alkoholowego".

W zakończeniu domagał się zadość uczynienia i t. d...

XIII.

N A S T R Ó J.

Sierżant Lufa stał w parku, oparty o drzewo i dumał. Był bezsilny i moralnie rozbity. Od chwili wypuszczenia doktora, po wybuchu krótkotrwałego śmiechu, żył w stanie zupełnej apatji, zniechęcenia, którego nawet gra na ulubionym saksofonie nie zdołała rozproszyć. Uporczywie nasuwało mu się na myśl: co teraz? co co?" i ciągle: „co?" Umysł jego, tak zawsze ruchliwy i płodny w śmiałe koncepcje, nie umiał odpowiedzieć na to uprzykrzone „co?" Miał w głowie tylko przeogromny tłok niepowiązanych myśli, luźnych zdań, obrazów, przeżyć i nic więcej.

Z wysiłkiem przypomniał sobie, jak to inspektor Dupont zaraz po wyjściu lekarza i sędziego, wpadł w istną furję, jak go zwymyślał od fajdanów (jego, Lufę, starego człowieka!) jak się zamierzył na niego kałamarem, jak ryczał, że go wyrzuci „na łeb, na pysk", za „głupie zawracanie gitary karmelkowym świętoszkiem". Tak powiedział!

Przypomniał sobie bezsennie spędzoną noc, ach i ten ranek! Przyszedł do biura, zobaczył Marie, swą ukochaną Marie, narzeczoną: podszedł do niej, chciał usłyszeć słowo pociechy, czułej zachęty, a ona...

— Niech się sierżant nie zbliża. Nie mam przyjemności w traceniu czasu na rozmowy z Wami! — tak do niego rzekła!

Lufa westchnął: z gałęzi mokrego drzewa spadło mu na płający policzek kilka chłodnych kropel deszczu...

A na ulicy? Straszne. Drwili, pokazywali palcami:

— Oto ten zwyrodnialec, w stanie stałego zamroczenia alkoholowego — mówili. O, dolo, dolo człowiecza!...

A później? Inspektor zmiękł, przepraszał, ściskał za ręce i prosił, prosił...

— Kochany sierżancie, ratujcie, ratujcie, bo zginę z kretesem! Znajdźcie zbrodniarzy, szukajcie, gońcie! Z posady wyleją i co pocznę, nieszczęsny? Buty czyścić? Róbcie coś, wpomnijcie na naszą przyjaźń z ławki szkolnej!! — i tak dalej i ciągle.

I cóż mu mógł pomóc? Z próżnego nie nalejesz, a zbrodniarze już zapewne bujają sobie bezpiecznie, jak wiatr w polu.

Wszystko wymknęło mu się z rąk — została mu pustka i samotność.

Stał tak i myślał i dumał i czuł, że wszystko to jest beznadziejne: w sercu miał pustkę, a w głowie niezdolność do jakiegokolwiek czynu.

W tem usłyszał jakiś szmer obok siebie. Spojrzał za drzewo i zobaczył siedzącego na ławce gazeciarza Paula Narand. Siedziało to biedne pacholę na mokrej desce, i chlipało, a łzy mu ciurkiem płynęły po twarzy. Podartą czapczynę nacisnął na głowę, oparł się łokciami na ławce i pochylił tak, że aż z pod podartej bluzy łaty mu było widać na spodniach.

Sierżant do żywa tknięty tak rozczulającym widokiem, podszedł do chłopaka i czule położywszy rękę na jego ramieniu zapytał wesoło, lecz serdecznie:

— Coś się tak zafrasował, redaktorze?

— Aaa, wszystko djabli zabrali — odpowiedział chłopczyna, podnosząc głowę. Po chwili zapytał łobuzersko: — A z panem co, inspektorze?

Lufa się uśmiechnął:

— Coraz lepiej — odparł krótko. — Od czasu jak nas świętoszek na durniów wystrychnął...

— A niech go kaczka kopnie! — przerwał mu porywczo gazeciarz. — Wszystko straciłem przez tę głupią historję. Wczoraj to cały dzienny zarobek puściłem z moją dziewczynką. Zachorowałem na tę nagrodę, na te dwadzieścia tysięcy, a tu, — et! — machnął ręką — szkoda gadać! Mama na Mszę dała i forsa poszła jak w dym — zwierzał się. — A dziś, ta dziewczynka powiada mi: — głupi jesteś!— słyszy pan? a wszystko przez tego doktora! — zapłakał z zawodu i złości.

Sierżant, roztkliwiony, objął chłopca za szyję i przez długi czas trwali tak spleceni w przyjacielskim uścisku, wszeptując sobie w uszy swe smutki, żale, zawody. Deszcz rozpłakał się nad nimi sznurami srebrnych pereł...

W pewnej chwili sierżant zapytał:

— Pójdziesz ze mną, chudzino, na wódkę?

— Nie — odparło chłopię.

— A czemu?

Przerwał mu stanowczy głos sędziego:

— Czy przy wysadzaniu w powietrze willi Jacka Smitha miał pan wspólników?

— Na Boga, co za wysadzanie w powietrze? Ja nic o tem nie wiem! Co za Jack Smith? Jestem niewinny! — szybko, bezładnie bełkotał lekarz.

— Przypomnę panu — odezwał się swobodnie inspektor. — Jack Smith był przyjacielem hrabianki Nakońskiej. Pan miał dużo powodów być mu mało przychylnym, hm, prawda?

— Jestem niewinny! — głośno, rozpaczliwie krzyknął doktór. — Żadnej zbrodni nie popełniłem!...

Inspektor przerwał niecierpliwie:

— Cięży na panu podejrzenie o wysadzenie w powietrze willi Amerykanina Smitha; zapytujemy pana, czy powodowały nim pobudki czysto osobiste, czy może i polityczne? Może naprzykład, komunistyczne?...

— Precz, precz! — krzyknął przeraźliwie lekarz. — Ja i komuniści! I to chcecie we mnie wmówić? Boże! Jestem dobry katolik, doktór! — W głosie jego drżało oburzenie i fanatyzm, musiał zapewne wyglądać strasznie.

„Jak Archanioł" — pomyślał Lufa i żałował, że nie był w gabinecie.

— A więc powiem wszystko — ciągnął lekarz — przyznam się, tylko mi nie mówcie, że mam konszachty z komunistami! Wyznam wszystko, jak na świętej spowiedzi!... — Umilkł.

Podsłuchującemu Lufie serce waliło jak młotem, cały zamienił się w ciekawość. Oto zbliżał się epilog, oto miało nastąpić rozwiązanie dwóch okropnych zbrodni; z ust doktora cały świat miał się dowiedzieć prawdy o powodach i przebiegu obydwóch sensacyjnych przestępstw.

Serce sierżanta Lufy przepełniała duma: wszak to on swym genjalnym wywiadem przyczynił się do rozwikłania tych — zdawało się — beznadziejnych w swej tajemniczości, występków. Ale nie obce mu było i uczucie zawiści: wiedział przecież, że wszystkie zaszczyty, wszelkie odznaczenia zagarnie inspektor, a on, sierżant Lufa...

Szybko przytknął ucho do dziurki:

— Słuchajcie mnie — mówił złamanym głosem lekarz — słuchajcie, opowiem wszystko i niech Bóg miłosierny osądzi moje grzechy! — westchnął i powoli, dobitnie wyznał: — Byłem przy ulicy des Martyrs...

W obu pokojach powstało poruszenie, jakby wiatr przewiał przez nie.

...— Tam się zaczęły wszystkie moje nieszczęścia, moje wszeteczeństwa, które pozbawiły mnie czci, honoru, wciągnęły w grzech i odtrąciły odemnie opiekę Boską...

...Jakieś krzesło skrzypnęło, ktoryś z przesłuchujących coś mruknął.

...— I oto dzisiaj nie mogę nawet mówić o tem, co zrobiłem, o, jakżeż mogłem do tego dopuścić... Szatan mnie opętał... — umilkł, jakby się namyślał, lub wycierał łzy.

W gabinecie była cisza, jak makiem siał: słychać było powolny, ciężki oddech lekarza i szybkie, nerwowe sapnięcia obydwóch urzędników, ginących z podniecenia, z ciekawości. Sierżant Lufa stał, jak posąg, nieruchomo z otwartemi ustami, natężonym słuchem, tamując oddech, chwytał każde słowo.

...— A zaczęło się to wszystko niewinnie — ciągnął dalej lekarz i było tak: stoję sobie przy oknie z żoną, jak dziś pamiętam i spoglądamy na ulicę...

— Uhm! — prawie głośno mruknął Lufa...

— Tak mi jest dobrze, tak słodko, tak błogo na duszy, że chciałoby się wszystkich ludzi przycisnąć do łona... Pomyślcie panowie: młoda, śliczna żona... Stoimy tedy jakby w zachwyceniu a ja myślę o tylu ludziach cierpiących i duch mój leci do Stwórcy w dziękczynieniu, że w swej dobroci pozwolił mi zaznać takiego szczęścia już tu na zemi... Nagle ciszę przerwał telefon. Biorę słuchawkę...

Krzesła zaczęły skrzypieć pod niecierpliwemi ciałami.

...— Mówi głos miękki, srebrzysty, jak śpiew słowiczy, mówi kobieta: zachorowała nagle, prosi aby ją ratować, błaga o natychmiastową pomoc i przybycie. Mówiła tak słodko, taka dziewicza niewinność a zarazem bezradność biła z jej zbolałego głosu, że aż coś we mnie załkało... O, Panie! Dlaczego nie ostrzegłeś mnie wówczas?!... — Przerwał. Lufie zdawało się chwilami, że śni lub czyta jakąś przedziwną powieść.

Monotonny, rozbity głos podniósł się znowu:

— Podała nazwisko, adres: Anita Preservatescep, żona helsztyńskiego admirała floty, ulica de Martyrs, 13. Przeżegnałem się, wziąłem słuchawkę, termometr i jeszcze inne konieczne narzędzia lekarskie i poszedłem. Była godzina dziesiąta. Na ulicy des Martyrs, sprawdziłem podany mi numer i wszedłem do domu. I odtąd zaczęły się wszystkie moje nieszczęścia... — westchnął.

Zadzwoniłem na pierwszem piętrze, otwiera mi pokojówka. uśmiechając się jakoś dziwnie, mówi, iż cier

w paroksyzmie podniecenia, ciekawości — obecnie wprost stężała w przeraźliwem zdumieniu.

Jakto? więc sprawca zamordowania hrabianki Nakońskiej pozostał niewykryty?

Więc bestjalscy zamachowcy dynamitowi uszli bezkarnie?

Więc więziono przez szereg dni człowieka niewinnego? Lekarza? Znanego z nieposzlakowanej opinji?

Jak można było rzucać tak potworne podejrzenie na tego zacnego człowieka?

Jak można było — pytano — przez niewyjaśnienie obydwóch zagadkowych zbrodni narażać na groźne fluktacje dobre stosunki dyplomatyczne z Stanami Zjednoczonemi? Z Polską?

Cóż robiła policja? Jacy tam są wśród niej ludzie, że mogli dopuścić do takiego niebywałego w dziejach skandalu?

Kto jest winien tej kompromitacji całej Francji?

Takie i tym podobne pytania nasuwały się nietylko opinji francuskiej; oburzenie owładnęło i narodem amerykańskim. Jeden z największych dzienników nowojorskich w artykule p. t. **„Jak długo jeszcze Francuzi będą nadużywali cierpliwości naszej?"**, domagał się pewnych represyj w stosunku do obywateli i towarów francuskich, złożenia ostrego protestu w francuskiem Ministerstwie Spraw Zagranicznych a nawet dumpingował Niemcy, aby na jesiennem zebraniu Ligi Narodów poruszyły sprawę bezpieczeństwa publicznego w różnych państwach.

W Polsce narodowa demokracja, przy pomocy młodzieży korporanckiej urządzała olbrzymie manifestacje z transparentami, rezolucjami, śpiewaniem „Roty" i biciem biednych Żydów. W uchwałach, wymierzonych przeciw „prześladowaniu osób oddanych sprawom Kościoła" i „przeciw masonom" domagano się rychłego wykrycia sprawców zamordowania „kochanej koleżanki". Demonstracje te odbywały się, rzecz znamienna, za cichem przyzwoleniem ministerstwa spraw wewnętrznych, co objawiało się w tolerancyjnem nieingerowaniu policji państwowej.

W Watykanie odbyło się uroczyste nabożeństwo dziękczynne, zaś we Włoszech il Duce Mussolini, wykorzystując przykrą pomyłkę policji francuskiej, urządził olbrzymie manifestacje młodzieży faszystowskiej, rzekomo w prześladowaniu osób gorliwych w wiecelu wyrażenia protestu „przeciw rze, czcicieli kultury łacińskiej".

Prawie równocześnie złożyli wizytę francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych: Ambasador Stanów Zjednoczonych, Polski i internuncjusz papieski. Premjer zwołał radę gabinetu, z której nie wydano żadnych komunikatów prasowych. Inspektor Dupont został wezwany w drodze służbowej do podsekretarza stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Odzwierciedleniem niepokoju społeczeństwa była prasa, która, bez wyjątku zarzucała policji „marazm", „bezczynność", „bezsiłę wobec elementów zbrodniczych", „brak nowoczesnego wyposażenia technicznego" (!) i t. d. Dzienniki komunizujące wypuszczenie na wolność doktora Kubiaka nazwały „ugięciem karku pod pantoflem papistyczno-burżuazyjnym".

Katolickie „Echo de l'Eglise" z triumfem obwieszczało zwycięstwo swej tezy o niewinności tak zasłużonego działacza na polu katolicyzmu, jak doktor Kubiak, z wstrętem piętnując „przyziemność załganych insynuacyj". Artykuł jego roił się od przysłów: „wyszła oliwa na wierzch", cnota zawsze zwycięża", „Bóg czuwa i bramy piekielne niezwyciężą" i t. p.

„Ciemni wrogowie Kościoła naszego" głosił artykuł „zgrzytają zębami z powodu widomego znaku Opieki bożej i szykują w swych niecnych mózgach nowe bezwstydne wymysły, którymi, jak tą wściekłą śliną, plują na przezacnego doktora Kubiaka. Ohydę swoją posuwają tak daleko, iż nie wahają się obrzucać błotem niewinną i bezbronną kobietę. P. Preservatescep, znana z swego przywiązania do wiary swych ojców, (przez dłuższy czas była siostrą miłosierdzia) wiele wycierpiała od swego męża, kalwina i filosemity. Mimo to, ta dzielna niewiasta cichaczem, po nocach, jak owi chrześcijanie, co w katakumbach się gromadzili, zapraszała do siebie kapłanów i ludzi, znanych z zasad katolickich, służąc im wszystkiem, czem mogła. Oddanie jej nie miało granic, a kiedy zachorowała wezwała do siebie doktora Kubiaka, człowieka, o którym wiedziała, że jest wzorowym praktykującym katolikiem, chcąc w takiej chwili mieć przy sobie nietylko lekarza dla ciała, lecz i przyjaciela dla duszy.

W dalszym ciągu obszernego, z literacką swadą napisanego artykułu autor zwracał się przeciw „insynuatorom": nazywał ich „erotomanami", kwalifikował do domu obłąkanych, przebąkiwał coś o „paraliżu postępowym". Zkolei ostrze ataku skierował przeciw inspektorowi Dupontowi, zarzucając mu, iż nie posiada wyższego wykształcenia a posadę swą za-

— A-a-a...

— No, dlaczego? — nalegał Lufa. W ciszy, napełnionej szmerem deszczu, wśród listowia parku ich głosy rozbrzmiewały sielankowo.

— Wolę pójść do kina — nieśmiało odparł Paul.

— Aha, a do którego?

— Do Odeonu.

— No, to dam ci pięć franków. Polubiłem cię...

— Ja pana także — zapewnił sierżanta gazeciarz.

— To przyjdź kiedy do mnie — szepnął Lufa. — Grasz na jakim instrumencie?

— Na okarynie, a gwizdam na cały Paryż!

— Ho, ho! to dobrze — uśmiechnął się Lufa, zapalając fajkę.

— Palisz?

— Uhm — krótko odparł chłopak, smętnie goniąc uciekający miraż uśmiechu losu.

— No, to zapal — wsunął mu do ręki papierosa. — A co tam grają dziś w Odeonie? — zapytał, pykając raz po raz.

— „Wołga, Wołga", rosyjski dramat z Polą Negri, bardzo lubię dramaty. To ładny obraz — objaśniał fachowo — widziałem fotosy, pierwsza klasa — cmoknął — reżyserował Cukier, a...

— Jak? Cukier... Cukier... — powtórzył kilkakrotnie Lufa. — Cukier — to nazwisko nie było mu obce... Zamyślił się głęboko i przypomniał sobie, że to przecież ten, którego aresztował w towarzystwie jednego Niemca. Nagle w ułamku jednej sekundy doznał olśnienia twórczego, olśnienia, jakie nawiedza tylko wyjątkowych poetów, w chwili improwizacji. Jak oszalały zerwał się z ławki i obmacując wszystkie swe kieszenie, w olbrzymich susach znikł w alei.

Gdy po chwili Paul, zdziwiony milczeniem sierżanta obejrzał się, na miejscu, gdzie ów poprzednio siedział, znalazł tylko pięć franków. Popatrzył na nie długo, smętnie i chuchnąwszy w dłoń na szczęście, wsunął pieniądze w kieszeń. Szybko wstał, chwilę jeszcze podumał i poszedł do kina, podśpiewując piękną piosenkę:

„Nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic"...

XIV.

W SĄDZIE. PRZED JEDENASTU LATY... DLACZEGO ZABIŁ?

Poprzez olbrzymią salę przebiegł nagły szmer. Wszystkie głowy wyciągnęły się w górę. Oskarżony, Henryk Szopski powstał z swego miejsca i nachylił się, oczekując, aż nastanie cisza. W jego stronę skierowały się wszystkie twarze, oczy, lornetki. Był blady; ubrany w czarny strój, ciemny błękitny krawat, z swymi świeżącymi na skroniach włosami wyglądał pięknie. Jego czarne oczy, głęboko osadzone pod wysokiem sklepieniem czoła, były przeraźliwie smutne. Bolesne skrzywienie pięknych ust wyrażało sceptycyzm, zgorzkniałą mądrość, ból licznych zawodów...

Z ust wszystkich czarujących pań, obecnych na sali wyrwało się jedno: „ach, jakiż on piękny!"

Powoli sala nacichała. Oskarżony pochylił głowę w lekkim ukłonie i głosem cichym, lecz dźwięcznym i miłym, zaczął mówić:

— Za chwilę, sędziowie przysięgli wydacie na mnie wyrok, za chwilę zejdę z przed oczu opinji publicznej, aby, być może, zejść z tego świata... Nim jednak wydacie swój światły wyrok, pozwólcie mi przedstawić pokrótce dzieje, tak, dzieje zbrodni, popełnionej przez mego przyjaciela, ś. p. hrabiego Nakońskiego, za którą i na mnie spada współodpowiedzialność. Nie uczynię tego bynajmniej w zamiarze wyjednania dla siebie względności w wymiarze kary, nie, jakkolwiek wierzę w wielką prawdę przysłowia: „tout comprendre c'est tout pardonner"; powoduje mną rzetelna chęć objektywnego wyświetlenia motywów, które popchnęły ś. p. hrabiego Nakońskiego do dokonania tego niewątpliwie przeraźliwego przestępstwa. A gdy, uczyniwszy to, pozwolę wam, sędziowie przysięgli inaczej spojrzeć na osobę tego zbrodniarza, będę uważał, iż spełniłem swój obowiązek człowieka i przyjaciela.

Mówił powoli, rozważnie, głosem jakimś takim miękkim, chwytającym za serce, że z miejsca zjednał sobie sympatję i posłuch u przelicznego audytorjum, złożonego przeważnie z inteligencji. Piękne panie zachwycały się jego ślicznemi, wąskiemi ustami, wymawiającemi słowa krągłe, dobrane, okraszone cytatami, wibrujące w powietrzu, jak jakiś tajemny fluid.

Ponad tłumem, jak ptak, popłynął jego cichy głos:

— Wysoki Sądzie! Zbrodnia, której epilog rozegra się tutaj, w stolicy zachodniej cywilizacji, w Paryżu, pierwocinami swemi sięga daleko tak w przestrzeni, jak i czasie.

Zamilkł na chwilę i nagle rzucił:

— Jedenaście lat temu... Przez świat, jak długi i szeroki przewaliła się

— Panie inspektorze, to pan nic nie słyszał jeszcze? — zapytał zkolei sierżant Lufa, udając najwyższe zdumienie. (Lubił w ten niewinny sposób wyprowadzać z równowagi swego przełożonego).

— Słuchajcie, sierżancie, nie urządzajcie mi tu głupich hec, tylko mówcie do rzeczy, bo nie mam czasu, zrozumiano? — ryknął, zdumiony złośliwością sierżanta. W odpowiedzi doleciał go długi, serdeczny śmiech, nie wróżący nic dobrego. Po chwili cierpliwy drut przyniósł do uszu inspektora słowa:

— Czy pan przypuszcza, panie inspektorze, skąd mówię?

— Nie bawcie się w zagadki! — wrzasnął groźnie inspektor.

— Jestem na przedmieściu St. Denis.

— Więc cóż z tego wynika?

— To, jak słyszę, pan jeszcze nic nie wie, panie inspektorze? — zapytał Lufa złośliwie i poważnie.

— Sierżancie!

— No, no, zaraz panu wszystko powiem, panie inspektorze. Hallo? Słucha pan? A więc uwaga: zamach dynamitowy! — ryknął tak głośno, że inspektor omal nie wypuścił słuchawki z ręki.

— Co? — krzyknął.

— Zamach dynamitowy.

— Gdzie?

— Na przedmieściu St. Denis.

— Jak? co? kiedy? — rzucał niecierpliwie pytania trzęsący się z piorunującego wrażenia inspektor.

— No, wysadzili w powietrze jedną willę — wyjaśnił Lufa spokojnym tonem człowieka, który się tego spodziewał i jest zdumiony, iż ktoś mógł nie przewidzieć tego.

— Czyją willę? — gadajcie szybko.

— Aha! czyją? — powtórzył Lufa. — nie wiem — odparł krótko. — Stała tutaj dość na odludziu...

— Kto sprawcą?... na miłość boską, kto to mógł zrobić? — zdumienie inspektora nie miało granic.

— Hm... z sprawcą to będzie trudniej — odparł Lufa. — Wiem tylko, że wybuch nastąpił punktualnie o godzinie dwunastej. Stałem akurat na tro tuarze i pod latarnią patrzyłem na zegarek, kiedy nagle cała ta buda wyleciała w powietrze. Ale kontuzjowanym nie jestem... — wtrącił i zapewne w tej chwili uśmiechał się pogodnie i po swojemu mrużył jedno oko.

Ostatnich słów sierżanta Lufy inspektor już nie słyszał; pospiesznie ubierał się, robił notatki, wydawał polecenia komisarzowi stałego pogotowia policyjnego, przepraszał w sypialni swą towarzyszkę i wciąż myślał bezładnie, gorączkowo o tej tajemniczej zbrodni.

W chwilę, gdy w parę minut później, auto inspektora błyskawicznie gnało na miejsce zagadkowego wybuchu — na cały świat telefonem, telegrafem, kablem podmorskim leciały depesze ajencji prasowych:

„Na przedmieściu Paryża wysadzono w powietrze willę nieznanego właściciela — godzina dwunasta — sprawcy nieznani — w mieście ogromne wzburzenie — śledztwo w toku".

IX.
MASZYNA PIEKIELNA. NADZWYCZAJNE DODATKI.

Już o godzinie ósmej rano w zacisznym gabinecie inspektora Duponta odbywała się nagła konferencja, poświęcona sprawie tajemniczego zamachu dynamitowego na przedmieściu St. Denis. W naradach wzięli udział prócz insp. Duponta: delegat ministerstwa spraw wewnętrznych dr. Fraudin, sędzia śledczy do szczególnych spraw Amicis, naczelnik wydziału politycznego dyr. policji Pendul, komisarz okręgu, eksperci chemiczni etc. Konferencja była ściśle poufna, otoczona najgłębszą tajemnicą urzędową tak dalece, że o jej przebiegu i powziętych decyzjach nie wydano nawet najskromniejszego komunikatu prasowego.

W tym czasie sierżant Lufa siedział w przedpokoju inspektora, uważając, by ktoś niepowołany nie wszedł do gabinetu. Chcąc sobie skrócić nudny czas oczekiwania na koniec konferencji, wyjął z kieszeni zwinięte w rulon nadzwyczajne dodatki i pogrążył się w studjowaniu ich treści. Wszystkie dotyczyły wybuchu na St. Denis. Lufa czytał je uważnie, powoli rozmyślając nad gładkiemi, wytartemi słowami reporterskiej relacji.

Pierwszy nadzwyczajny dodatek wydany był o godzinie drugiej w nocy na olbrzymiej różowej płachcie i podawał kolosalnemi literami lakoniczne wykrzykniki:

Tajemnicze wysadzenie willi na przedmieściu St. Denis! Godzina 12 w nocy. Maszyna piekielna. Liczba ofiar przekracza cyfrę 100 osób. Miljonowe straty materjalne. Niezgłębiona zagadka. Energiczne śledztwo w toku.

Dalszy ciąg bity petitem, zawierał rozwinięte w obszerne zdania podane już wyżej wiadomości, nie przynosząc nic nowego.

Drugi, wydany był w godzinę póź-

aresztowań. Całą sprawę osobiście prowadzi znany ze sprężystości inspektor Dupont, wsławiony genjalnem rozwiązaniem zagadkowej zbrodni z ulicy des Martyrs Nr. 13.

Wzburzenie i niepokój wśród ludności są kolosalne. Ta niebywała w dziejach naszej kryminalistyki zbrodnia — zamach dynamitowy w samem sercu Francji — zatrwożyła przywykłe do spokoju obywatelstwo, wywołując z jego strony liczne, niezbyt pochlebne uwagi pod adresem władz bezpieczeństwa.

———

W momencie oddawania niniejszego sprawozdania pod prasę, stwierdziłamy, iż Jack Smith jest właścicielem znanego koncernu fabrykacji opon samochodowych p. f. „Smith & Co". Willę nabył przed kilku tygodniami, płacąc gotówką w dolarach, co mogło wśród mętów społecznych wzbudzić przeświadczenie o posiadaniu przez wymienionego większej sumy pieniędzy. Jednak policja stwierdza z naciskiem, iż wszelkie przypuszczenia o rabunkowem tle zbrodni nie znajdują najmniejszego potwierdzenia.

———

Rewelacyjnych wyników śledztwa, toczącego się w błyskawicznem tempie oczekiwać należy lada chwila".

W zakończeniu redakcja zapewniała, iż „Sprawców niecnej zbrodni dosięgnie ręka sprawiedliwości".

Lufa przeczytał, splunął, wytarł nos i zabrał się do powolnego nabijania tytoniem fajki, wciąż nie przestając uśmiechać się do siebie.

— Hm — mruknął pod nosem — ładnie to napisali, ale ta ręka sprawiedliwości wisi w powietrzu. — Zmrużył oko. — Hm, dobrze wiedzieć, że właściciel tej budy nazywał się Jack Smith, ale co dalej? co dalej?

W tej chwili drzwi z korytarza raptem się otworzyły i do pokoju wpadła wysoka, chuda kobieta w ogromnym, przekręconym na bakier kapeluszu, z piórem, pogryzionem przez mole. Za nią wszedł jakiś wyrostek, dalej, jakiś malutki pan w słomkowym kapeluszu i znów jakaś gruba kobiecina i jakaś starsza panna z pieskiem na smyczy. Drzwi były w ciągłym ruchu, ciągle ktoś wchodził.

Chuda paniusia usiadła obok Lufy, pilnie wpatrując się w świecące guziki jego uniformu. Sierżant, pomnąc na znakomitą dewizę inspektora Duponta, że „dobry detektyw powinien być towarzyski", nawiązał z sąsiadką uprzejmą rozmowę.

— Szanowna pani do inspektora Duponta? — zagadnął. Ani się spostrzegł, jak spadła nań lawina słów:

— Właśnie, panie oficerze. Trafił pan słusznie, zaraz poznać, że mam przyjemność ze służbowym człowiekiem — pokazała spróchniałe zęby w wyszukanym uśmiechu — właśnie mam zamiar do pana inspektora w poważnym interesie. Sprawa nadzwyczaj, że tak powiem, pilna i dyskretna niesłychanie. Wierzę, że zachowa pan w urzędowej tajemnicy to, co powiem — nachyliwszy się do ucha powolnego, jak dziecko, Lufy, zaczęła nerwowo szeptać. — Przybyłam ściśle na wezwanie ogłoszonej proklamacji prefekta miasta stołecznego Paryża „Do obywateli"... czytał pan? Nie? — deklamowała z patosem: „Wobec licznych zbrodni i t. d." — streszczam panu pokrótce — „wzywam do zachowania spokoju i t. d. i do współdziałania z władzami bezpieczeństwa", otóż to właśnie! Nie chcę panu, panie oficerze, robić subjekcji, streszczę się więc. Przyszłam w sprawie tej, na rany boskie, maszyny piekielnej...

— Coo? — Lufę aż poderwało coś z miejsca.

— Tak, w sprawie tego wybuchu — potwierdziła. — Otóż urzędownie przyrzeczone było, iż „ktokolwiek przyczyni się do wykrycia sprawców lub i t. d. otrzyma nagrodę w kwocie 20.000 franków. Słownie dwadzieścia tysięcy" — krzyknęła z przejęciem. — Ale nie dla pieniędzy chcę zrobić zeznanie, broń Boże, nie jestem materjalistką. Otóż znam pewne szczegóły, które mogą przyczynić się do rozwiązania wyżej wspomnianej zbrodni. Takowe panu, panie oficerze, wymienię pod pieczęcią głębokiej tajemnicy...

— No, no — mruknął zachęcająco i niecierpliwie sierżant Lufa.

— Otóż, że tak powiem, znam właściciela tej willi...

— O? no, no... proszę, proszę! — przynaglał Lufa.

— Otóż, gdy pewnego razu przechodziłam obok pomienionej willi, zatrzymał się prawie tuż koło mnie samochód, taki nowoczesny, piękny, czarno lakierowany. Stanął przed tą willą; wysiadło z niego dwoje ludzi. On, no, niech pan zgadnie, kto to był? To był A--me—ry—ka—nin — wyskandowała. — Zaraz poznałam. Kaszkiet w kratę, toż samo spodnie, tak zwane „pumpy", również takie pończochy, fajka w zębach i tak dalej, pan się domyśla, prawda? Wstał od kierownicy, był młody i przystoj-

ców zamachu. Wszystko okrywała nadal niezgłębiona tajemnica.

Dopiero sensacyjne zeznanie gazeciarza, czarno-okiego Paula Naranda stało się dla inspekora Duponta istnem objawieniem i punktem niesłychanego zwrotu w śledztwie.

Gdy koło godziny 14 inspektor, okrutnie zmęczony siedmiogodzinnem przesłuchiwaniem różnych ludzi, miał zamiar udać się na krótki spoczynek, nagle drzwi od przedpokoju się otworzyły i stanął w nich młody, może 16-letni chłopiec. Miał na sobie jasną, zniszczoną marynarkę, białe tennisowe, mocno połatane spodnie, opadające na rozczłapane buciki; na szyi pyszniła się czerwona w zielone grochy chustka, na głowie miał kraciasty kaszkiet, którym, ujrzawszy inspektora, zatoczył szeroki łuk, od głowy, aż poza plecy.

Inspektor zaskoczony niespodziewanem wtargnięciem, sądząc iż ma do czynienia z opryszkiem, chwycił za rewolwer, ale szeroki, dobry, dziecięcy uśmiech przybysza uspokoił go.

— Szanowanie, panu inspektorowi! Cha, cha! chi, chi! Proszę nie strzelać, ja jestem kolporter „Dernier Cri" — krzyknął, jakby był w tłoku ulicy.

W tej chwili wleciał do gabinetu Lufa, z zamiarem wyrzucenia nieproszonego intruza.

Ale Paul Narand nie myślał się ruszać. Nie zapraszany, rozsiadł się na krześle, podwijając pod nie swoje długie nogi, w niekształtnych buciorach. Usta miał stale w ruchu, jakby mu się coś przylepiło do podniebienia, wreszcie wyjął z nich sporą miazgę gumy do żucia, którą przykleił pod siedzeniem krzesła, aby ją zabrać po ukończeniu rozmowy i z swobodą paryskiego ulicznika, zaczął:

— Ja, panie inspektorze, tylko na chwilkę. Chciałem wcześniej, ale nie mogłem; miałem trzysta numerów, interes idzie, jak cholera, aż mnie ręce bolą. Stoję na rogu i krzyczę gębą, prawą ręką daję gazetę, lewa bierze pieniądze, prawą wydaję resztę, wrzeszczę: „Dernier Cri"! i dalej w nogi. Jeden pan to mi dał pięć franków i nie chciał reszty, ot czasy!

Szorstkie ściągnięcie brwi na wysokiem czole inspektora Duponta przerwało potok jego barwnych słów, rwących z latających w uśmiechu ust.

— Pocoś tu przyszedł, co? — huknął groźnie.

— Panie inspektorze kochany, mon Dieu, w uczciwej sprawie, słowo! — uderzył się szeroką dłonią w piersi. Mam ważne zeznanie! W sprawie tego zamachu z piekielną maszyną! Zaraz panu powiem, pali mi się pod nogami! bo szkoda czasu. Ale niech pan zapamięta moje nazwisko: Paul Narand, bez stałego miejsca zamieszkania, kolporter „Dernier Cri", wszyscy mnie znają. Bo jakbym dostał tę nagrodę, fi, fi, fi! — gwizdnął przeciągle, obracając oczyma z zachwytem.

— No, ale już będę pyskował do rzeczy. Otóż raz... stoi mi to dziś w rozumie, jak fotografja i że ja też wcześniej sobie tego nie przypomniałem!... Ale w moim fachu niema czasu na przypominanie. Więc raz idę sobie w nocy... będzie temu może z dziesięć dni, krzycząc „Dernier Cri! Dernier Cri!" ale to już może była dwunasta, albo która, bo mi się wtedy akurat cholera zegarek popsuł... No, więc ulicą des Martyrs i stanąłem sobie pod kamienicą, aby — z przeproszeniem pana inspektora — wymoczyć się po całodziennej bieganinie i gdy tak stoję, nagle słyszę „szyp" auto stanęło i zatrąbiło: „ta, ta, ta". Czarna limuzyna.

Inspektor spojrzał porozumiewawczo na Lufę.

— Packard, model 1930 — ciągnął dalej gazeciarz. — Przy kierownicy człowiek z fajką w zębach. Nic w tem sensacji nie było, ani na palec, ot tak sobie, wszystko zwyczajnie, tylko ja stoję w cieniu i leję po murze cicho, cichuteńko... A ot, brama się otwiera i z kamienicy wychodzi dama elegancka, szyk. Człowiek z fajką w zębach coś do niej mówi, otwiera drzwiczki, ona śmieje się, wsiada, reflektory się zapalają, ryp... pa... pa i pojechali a ja stoję, i myślę, że mam jeszcze dwadzieścia numerów do sprzedania. Wytarłem nos i dalej w drogę: „Dernier Cri"!... I takem o tem wszystkiem zapomniał, aż dziś czytam: „Amerykanin, fajka, czarna limuzyna" — rany Boskie! przypominam sobie wszystko. Cholera! Mówię sobie: człowieku, będziesz bogaty, nagroda! Dwadzieścia tysięcy! Byłem akurat na Champs Elysées. „Avanti" krzyknąłem i w nogi, tom leciał jak kobyła! Przygnałem na des Martyrs, idę powoli, oglądam domy, aby rozumie pan, panie inspektorze, przypomnieć sobie dokładnie. Idę i aż mi coś portki do góry podnosi bo naraz ryps, jest! To samo! Ot, tu jakby pan sierżant — demonstrował swobodnie w gabinecie — latarnia, tu, jakby pan inspektor, kamienica i ja pod nią, a tu, jakby biurko — auto. Rany Boskie krzyczę i patrzę na numer i panie inspektorze — krzyknął, łapiąc Duponta za guzik marynarki — wie pan jaki to numer? Trzynasty! — wrzasnął, wznosząc do góry rękę z kaszkietem.

niej: z białej płachty bił w oczy napęczniały czerwienią druku wrzask:

Otoczona mgłą tajemniczości zbrodnia na przedmieściu St. Denis! Wysadzenie w powietrze willi przy pomocy maszyny piekielnej! 12 w nocy. Pogotowie policyjne! Ofiary! Policja na tropie sprawców!

W petitowych zdaniach redakcja owego dodatku raz jeszcze powtarzała znane już ogólniki, obficie je rozpuściwszy w tasiemcowej mgle zdań. Jedynie zamiast: „liczba ofiar przekracza cyfrę 100 osób" napisano, „liczba ofiar, jakkolwiek na razie, z powodu powolnego usuwania gruzów, niestwierdzona, prawdopodobnie okaże się na szczęście, mniejsza".

Najobszerniejszy był trzeci dodatek, wydany nad ranem. Czerwone litery tytułów chlastały w oczy żywą krwią:

Wybuch maszyny piekielnej na St. Denis! Willa Amerykanina Smitha w gruzach. Tajemnica godziny dwunastej w nocy. Wzburzenie wśród ludności. Delegat ministerstwa spraw wewnętrznych na miejscu zbrodni! Na tropie.

Lufa zaczął uważnie i krytycznie wgłębiać się w petitowy tekst. Niecierpliwemi mruknięciami rozgarniał pianę zdań, wyławiając z pod spodu czyste słowa prawdy, której — nawiasem powiedziawszy — nie wiele się spodziewał, bo znał się na dziennikarzach, no i jako świadek wybuchu i detektyw był a u c o u r a n t całej sprawy.

„Dziś o godzinie 12 w nocy południową część naszego miasta zaalarmował odgłos przeraźliwej detonacji. Wyrwani ze snu mieszkańcy w popłochu wybiegli na ulice. Powstało niesłychane zamięszanie. Wśród jęków kobiet i płaczu dzieci, tumultu i wrzawy, ktoś krzyknął: „rewolucja"! Pomiędzy przerażonym tłumem zaczęły się uwijać jakieś podejrzane indywidua, nawołując do napadania na sklepy i wogóle do czynów gwałtownych. Jednak wysokie poczucie obywatelskie nie pozwoliło mieszkańcom tych odległych dzielnic pójść na lep ohydnych podżegań. Do zaburzeń nie doszło, a niecnych podżegaczy sama ludność cywilna oddała w ręce policji.

Tymczasem w zaniepokojony tłum ktoś rzucił wiadomość, iż wybuch nastąpił na przedmieściu St. Denis. Niepowstrzymana fala ludzka, jak lawina runęła w kierunku miejsca detonacji. Ciżba była tak ogromna, iż auta w rekordowym czasie przybyłych przedstawicieli policji, straży pożarnej, pogotowia ratunkowego oraz, między innemi i sprawozdawcy naszego pisma, posuwały się naprzód z ogromnym trudem.

Przybyłym na miejsce wybuchu przedstawił się krew w żyłach mrożący widok.

Gruzy... gruzy... gruzy... Pośród morza cegieł, kamieni, drzewa tkwiły szczątki mebli, odzieży, sterczały powykręcane w spazmie wybuchu sztaby żelaza, trawersów. W powietrzu unosiła się jeszcze przenikliwa woń materjałów wybuchowych, zmięszana z ckliwym swędem spalonych materjałów. Tu i ówdzie pełzały czerwone języki ognia. A wokół szumiące, strwożone koło wybladłych, przerażonych twarzy...

Przybyły w krótkim czasie delegat ministerstwa spraw wewnętrznych, pod wpływem dojmującego wrażenia nie mógł utrzymać się na nogach i osunął się na podsunięty mu szczątek fotela.

Wrażenie było gwałtowne, przejmujące do szpiku kości.

Tłumy rosły. Wciąż nadjeżdżały samochody z policją, lekarzami, prywatne i rządowe: na ciężarowych platformach przybyły dwa bataljony saperów, które wspólnie z sześcioma oddziałami straży pożarnej zabrały się do gorączkowego usuwania gruzów i szukania ofiar.

Trzaskały aparaty fotograficzne sprawozdawców prasowych. Cały teren został oświetlony reflektorami, policja przystąpiła do usuwania tłumów z zagrożonych miejsc. Rozlegały się gwizdki, okrzyki, uderzenia kilofów, dzwonki wozów pożarnych, sygnały pogotowia, upiorny ryk syren fabrycznych i syk wody. Przystąpiono do gaszenia zarzewia ognia.

Władze policyjne rozpoczęły natychmiastowe śledztwo. Już wstępne kroki wykazały dobitnie, iż ma się tu do czynienia z chytrze i dobrze zorganizowanem zbrodniczem wysadzeniem w powietrze willi, przy pomocy maszyny piekielnej. Jak stwierdzono po żmudnych poszukiwaniach w archiwach miejskich, budynek ten należał do niedawno przybyłego do Paryża Amerykanina, Jacka Smitha, młodego miljonera, znanego z ekscentrycznego trybu życia.

Jak nas w ostatniej chwili informują, śledztwo postępuje szybko, naprzód i jest na dobrej drodze; wyników jego z dobrze zrozumiałych powodów, niestety, podać nie możemy. Dodamy jedynie, iż policja jest już na tropie sprawców i w najbliższych godzinach należy oczekiwać sensacyjnych

ny. Wiek: około trzydziestki, może mniej, o to się sprzeczać nie będę; otóż wstał od kierownicy, splunął na chodnik i powiedział do swej towarzyski: „Thank you". Ona była także młoda, jasnowłosa i bardzo wesoła i bardzo się śmiała, jak ten Amerykanin powiedział, wskazując na mnie: „Patrz na tego pokurczonego babsztyla"...

— No, no — przerwał jej Lufa — w każdym razie to nie było ładnie z jego strony, że tak panią nazwał. Wygląda pani, madame, wcale świeżo — uśmiechnął się w duchu — ale czy pani sobie nie przypomina naprzykład, jaki numer miał ten samochód? Jakiej marki?

Rozentuzjazmowana swoją rolą paniusia z strusiem piórkiem, nie zdołała mu odpowiedzieć, gdyż w tej właśnie chwili uwagę jej zajęło co innego. Drzwi gabinetu otworzyły się. Nagła konferencja, zwołana przez delegata ministerstwa spraw wewnętrznych, ukończyła obrady. Dostojnicy, ściskając życzliwie rękę inspektora Duponta, opuszczali gabinet, przechodząc obok wyprężonego służbiście sierżanta Lufy. Gdy już za ostatnim zamknęły się drzwi, inspektor skinął dłonią na swego podwładnego.

X.
NAPIĘCIE OPINJI ŚWIATOWEJ ZEZNANIE GAZECIARZA. TEZA INSPEKTORA DUPONTA.

Upłynęły dwa dni od wybuchu na St. Denis.

Niebywała zbrodnia wstrząsnęła miljonami ludzi, postawiła na nogi tysiące francuskiej i zagranicznej służby śledczej; dziesiątki tysięcy zwięzłych telegramów ciskało dreszcze zgrozy w miljonowe tłumy całego świata. Sprawa stała się sensacją gigantyczną, wszechogarniającą.

Radjodepesze z Waszyngtonu nakazywały ambasadorowi Stanów Zjednoczonych w Paryżu interwenjować u rządu francuskiego w kierunku „większego zapewnienia bezpieczeństwa mienia i życia obywatelom amerykańskim, przebywającym w granicach państwa francuskiego". Miał on również pozostawać w stałym kontakcie z Białym Domem w celu informowania prezydenta U. S. A. o wynikach śledztwa.

Krok ten tłumaczono w Paryżu, jako „nowe zwycięstwo filoniemieckich wpływów w rządzie Stanów Zjednoczonych".

Zbrodniczy zamach nieznanych sprawców zaostrzył również sytuację wewnętrzną republiki francuskiej; opozycyjne stronnictwa w parlamencie ponowiły ostre ataki na rząd. Poseł narodowy Lavalan, w imieniu swego stronnictwa zgłosił interpelację; w długiej, przerywanej oklaskami na prawicy, mowie wykrzykiwał, że rząd, że minister spraw wewnętrznych, że policja, że popieranie radykalizmu w społeczeństwie, że to, że owo, że tamto...

Minister, zaczepiony, replikował: „Wzrost przestępczości w dużej mierze przypisać należy immigracji ludności obcej oraz ogromnemu zacietrzewieniu stronnictw politycznych, które, nie przebierając w środkach walki partyjnej, demoralizują społeczeństwo i t. d.". Zapewnił, iż „intensywne śledztwo, pozostające pod specjalną opieką dyrektora departamentu jest w toku i już w najbliższym czasie doprowadzi do spodziewanych wyników. Interpelowany o szczegóły, zastawił się tajemnicą urzędową, dobrem śledztwa i t. p.

A wzburzenie szerokich mas rosło, wzbierało, jak powódź. Nie uspokoiła go ani odezwa prefekta miasta, ani silne patrole policyjne, krążące po ulicach.

A śledztwo? Powoli posuwało się naprzód, ale do rozwikłania zagadki było daleko... Od dwóch dni, od wczesnego ranka do wieczora inspektor Dupont zajęty był osobiście przesłuchiwaniem wszystkich, którzy mogli lub chcieli udzielić jakiejkolwiek informacji o wybuchu, właścicielu willi i t. p. Olbrzymia nagroda, wyznaczona za wykrycie sprawców, jak magnes ściągała do komisarjatu różnych osobników, żądnych gotówki, sensacji efemerycznej sławy.

W krzyżowym ogniu podchwytliwych pytań znakomitego inspektora Duponta wszystkie „rewelacyjne" informacje świadków okazywały się blahemi lub — najczęściej — wytworami chorobliwej fantazji. Teza zamachu komunistycznego nie znajdowała również potwierdzenia.

Z długiego opowiadania znanej nam już paniusi ze strusiem piórkiem inspektor zanotował tylko jeden fakt, iż Amerykanin posiadał czarną limuzynę; szczegółowego rysopisu jej właściciela paniusia nie potrafiła sprecyzować. Poza tem, jak sprawdzono w zapiskach meldunkowych, właściciel willi był rzeczywiście Amerykaninem: nazwisko jego brzmiało: Jack Smith; w rubryce zawód podane było: „kapitalista". Tyle było rzeczy pewnych. Lecz dane te nie rzucały żadnego lub prawie żadnego światła ani na ich posiadacza, ani na poszukiwanych spraw-

Ostatnie słowo padło niespodziane i oszołamiające, jak piorun z jasnego nieba. Inspektor poderwał się na równe nogi i chwycił gazeciarza za ramiona, patrząc mu w oczy z niedowierzaniem, Lufa aż przysiadł pod uderzeniem nagłej niespodzianki. Gdy po dłuższej chwili przyszli do siebie inspektor zapytał:

— Możesz na to przysiąc?

— Ależ z największą przyjemnością — zapewniał Paul, waląc się kułakiem w piersi — nawet kilka razy. Panie inspektorze, zasługuję w zupełności na zaufanie: pracuję w „Dernier Cri" dziewięć lat! Siedm lat miałem, jak mnie mama za rękę zaprowadziła do administracji i...

— No, no, chłopcze — przerwał mu Lufa — wyglądasz na poczciwego drania — uścisnął mu szeroką dłoń — sam sobie nie zdajesz sprawy, jaką przysługę oddajesz sprawiedliwości — mrugnął porozumiewawczo okiem.

— Bardzo, bardzo ważne wiadomości przyniosłeś nam, chłopcze. Przypuszczam, że po dodaniu ich do już posiadanych, zdołamy w najbliższych godzinach wykryć sprawcę tej ohydnej zbrodni. Dziękuję ci: zapewniam, że w razie pomyślnych wyników wyznaczona nagroda cię nie minie — upewniał inspektor Dupont chłopaka, którego zmizerowana twarz płonęła rumieńcem wniebowzięcia. Był bliski płaczu: miał w ręce zniszczony kaszkiet i wreszcie wybuchnął:

— Hurra! Moja mama nie będzie już sprzedawała jarzyn; kupimy sobie restaurację! Przynajmniej raz się człowiek naje do syta! — wykrzykiwał radośnie, a oczy mu błyszczały.

Serce poczciwego sierżanta Lufy tknęło dziwne współczucie dla tego biednego dziecka ulicy. Oczyma żywej wyobraźni widział, jak zmęczony całodziennym trudem ostatnim wysiłkiem przeciska się pośród miljonowego tłumu, przebiega tętniące szalonym ruchem jezdnie, jak wychudłemi palcami zaciska pasek i zawsze głodnemi ustami krzyczy: „Dernier Cri", „Dernier Cri"... Szybkim tupotem swoich niezdarnych buciorów będzie przemierzał kilometry ulic, pieszcząc w zmęczonej głowie czarowną nadzieję, nadzieję nagrody 20 tysięcy!...

Jakaś smętna myśl opanowała Lufę i chciał jeszcze coś powiedzieć chłopcu, lecz inspektor, wśród zdawkowych łaskawości odprowadził już do drzwi opatrznościowego gazeciarza.

— No, adiu — rzucił na odchodnem. Lecz od drzwi przedpokoju chłopak zawrócił jeszcze, wpadł do gabinetu, odlepił z pod krzesła swoją gumę, rzucił do ust i krzyknąwszy swe: „szanowanie", znikł.

Jeszcze nie ucichł tupot jego butów po schodach, gdy inspektor rozgorączkowany, zwrócił się do Lufy:

— No i co wy na to?

W odpowiedzi Lufa mruknął coś nieokreślonego. Inspektor rzucił nagle:

— Doktór jest w tem wszystkiem!!

Sierżant podniósł zdumione oczy, własnym uszom nie wierzył. Nim zdołał o cokolwiek zapytać, inspektor zaczął mówić szybko, nerwowo; niecierpliwił się i wrzeszczał:

— Zeznanie tego chłopaka rzuciło mi nowe światło na sprawę zamachu dynamitowego. Przecież ten Amerykanin pozostawał w stosunkach z hrabianką Nakońską! To stwierdza zeznanie chłopaka!

Zamyślił się chwilę: — Zadaniem mojem będzie obecnie stwierdzić jaka część współwiny w tym zamachu spada na doktora Kubiaka! Jego ręka w tem wszystkiem to pewna! — krzyknął.

Po chwilowym namyśle, z zmarszczonem czołem zaczął, klucząc od szczegółu do szczegółu, od faktu do faktu, od zeznania do zeznania, wykładać swe, na genjalnej intuicji oparte, wnioski:

— Krótko i węzłowato powiem wam, sierżancie, jak mi się to wszystko przedstawia. Otóż widzicie, doktór Kubiak zakochał się w hrabiance Nakońskiej, ona jego uczucie odrzuca, on szaleje za nią, ona zaś obdarza miłością tego bogatego Amerykanina, Jacka Smitha. Od tego momentu do zbrodni jest tylko jeden krok. Lekarz, powodowany zazdrością, po urządzeniu hrabiance Nakońskiej sceny, zabija ją: to zresztą jest już udowodnione, chodzi tylko o ten zamach dynamitowy. — Zamyślił się.

— Otóż widzicie, z zamordowaniem hrabianki Nakońskiej cała nienawiść doktora zwraca się przeciw jej przyjacielowi, Smithowi. Postanawia go również zgładzić, zwłaszcza iż zeznania jego po śmierci hrabianki Nakońskiej mogłyby się stać obciążające dla doktora. Układa szatański plan, sporządza maszynę piekielną... Wszak mam to w protokole... rewizja przeprowadzona przezemnie w mieszkaniu lekarza wykryła schowane na strychu: cienki przewód elektryczny, dwa litry prochu, przeróżne mechanizmy, kółka i t. p.

— Tak, panie inspektorze — zauważył bystrze sierżant Lufa — ale wybuch nastąpił o dwunastej, a doktora sam aresztowałem o godzinie ósmej